tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 7 (1206)
13-19.02.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

DR JAROSŁAW SUCHOPLES
FINOWIE – NIEZALEŻNI I BOGACI

PAWEŁ SIERGIEJCZYK
NIEMIECKIE FOBIE PRAWICY

USA
SĄD NAD GOOGLE

SENIORÓW PRZYBYWA, A GERIATRÓW UBYWA

ZATRUTE UMYSŁY ZATRUWAJĄ POLAKÓW

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311300 07

SOS

TURCJA/SYRIA

Wejdź na pah.org.pl
i pomóż ofiarom trzęsienia ziemi
w Turcji i Syrii!

pah

Polska Akcja Humanitarna

eprasa.pl 2f577505c6

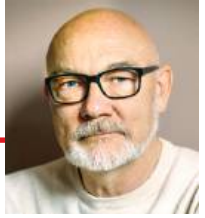

Paweł Dybicz

Polityka i pamięć

Historia bywa trucizną narodów, lecz jej odrzucanie przynosi im śmierć. Każdy naród ma jakieś dzieje, często pełne trudnych, bolesnych albo wstydliwych momentów. Jednak to, jak je postrzega, traktuje, świadczy nie o przeszłości, ale bardziej o nim samym tu i teraz. A gdy do tego historię przykrywa bieżąca polityka, tym bardziej nabiera znaczenia umiejętność wyciągania wniosków z minionych wieków i lat.

80 lat temu, 9 lutego 1943 r., we wsi Parośla I doszło do zbrodni UPA, uznawanej za początek rzezi wołyńskiej. Do zamieszkanej przez Polaków wioski, udając partyzantkę radziecką, weszła sotnia UPA, w której nie brakowało mieszkańców sąsiednich miejscowości. Upowcy związanych i bezbronnych Polaków zamordowali, najczęściej przy użyciu noży i siekier. Ocenia się, że w ten okrutny sposób zostało zabitych od 149 do 173 osób. Niemałą część stanowiły kobiety i dzieci. Zbrodnia miała charakter ludobójstwa, jak wszystkie inne, które popełniano w ramach głoszonej przez ukraińskich nacjonalistów czystki etnicznej.

Ofiary rzezi dokonywanych na ludności polskiej na Kresach i w Małopolsce Wschodniej liczone są w dziesiątkach tysięcy. Ocenia się, że z rąk UPA zginęło ok. 50-60 tys. ludzi. Ofiarami mordów w mniejszej skali byli też Rosjanie, Żydzi czy Ukraińcy.

Polityka eliminowania pamięci o tych ofiarach jest niczym innym jak polityką kłamstwa. To przesłanie dotyczy również pamięci o tym, co sanacyjne władze robiły w stosunku do Ukraińców i prawosławia, jak i o tym, że w wyniku niewspółmiernych polskich działań odwetowych za zbrodnie wołyńskie zginęło 2-3 tys. Ukraińców.

Trzeba mieć całościowy ogląd dziejów własnego narodu, uwzględniając współczesny kontekst minionych wydarzeń. Toteż polscy politycy, a i wielu historyków oraz dziennikarzy, nie mogą udawać, że zbrodni wołyńskich nie było, lub je umniejszać, mówiąc: Sowieci (Rosjanie) popełnili większe. Nie mogą także godzić się na przejawy odradzania się banderyzmu na Ukrainie. A i sami Ukraińcy powinni pojąć, że działania ich nacjonalistów oraz wpisywanie tej ideologii do życia publicznego są wykorzystywane przez rosyjską machinę propagandową jako powód rozpoczęcia wojny, nazywanej eufemistycznie „operacją specjalną".

Niebywała pomoc Polski, a przede wszystkim Polaków, dla ukraińskich uciekinierów dowodzi, że nie mamy wrogiego nastawienia do sąsiadów znad Dniepru. I warto tę postawę otwartości wzmacniać, ale mądrze.

Mówi się, że do przeszłości odchodzi banderyzm, mit założycielski niepodległej Ukrainy, a zastępuje go mit obrońców ojczyzny napadniętej przez Rosję Putina. Że hasło UPA „Sława Ukrajini – Herojam sława!" nabiera nowego znaczenia. Czy tak jest/będzie w rzeczywistości – czas pokaże. Jedno jest pewne: nie uda się zatrzeć zbrodni wołyńskich. Bo pamięć społeczna nie poddaje się polityce tak łatwo.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 2f577505c6

W NUMERZE

KRAJ

8 **Zatrute umysły polityków zatruwają Polaków**
Sojusz żądnych władzy i pieniędzy

10 **Więźniowie ciemnej triady**
– rozmowa z prof. Krystyną Skarżyńską

14 **Prawie 10 mln seniorów**
Zaniedbana geriatria

16 **U Kokoszki hejnał zapieje kogut**
Jadów stał się miastem

42 **Przeciwko lukrowaniu prostytucji**
Praca czy wyzysk

ZAGRANICA

20 **Pomoc na już i na przyszłość**
Walka ze skutkami trzęsienia ziemi

24 **Jak to zrobili Finowie**
– rozmowa z dr. Jarosławem Suchoplesem

30 **Sąd nad monopolem**
USA kontra Google

32 **Uciec, ale dokąd?**
Wielkie migracje

OPINIE

36 **Agnieszka Wołk-Łaniewska**
Wspólny rząd zamiast wspólnej listy

38 **Paweł Siergiejczyk**
Niemiecki ból polskiej prawicy

TECHNOLOGIE

44 **Rynek wart miliardy**
Gry wideo królują w branży rozrywkowej

KULTURA

48 **Najpierw czytać, potem pisać**
– rozmowa z Brygidą Helbig

51 **Qulturalia**

52 **Słoń i gołąb**
Frida Kahlo i Diego Rivera

66 **Sztuka Fantastyczna w Warszawie**

EKOLOGIA

54 **Wojenne ekozbrodnie**
Konsekwencje konfliktów zbrojnych

ZWIERZĘTA

56 **Zimowe lęgi**
Ptaki muszą wycelować z kluciem

OBSERWACJE

59 **Powrót Hani**
Tadeusz nie mówi od 25 lat

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Paweł Dybicz**
Polityka i pamięć

29 **Andrzej Romanowski**
Co się stało z naszą zimą?

35 **Roman Kurkiewicz**
Bagno bagnu nierówne

41 **Tomasz Jastrun**
Lokator

47 **Wojciech Kuczok**
Świecka inkwizycja

20
ZAGRANICA

POMOC NA JUŻ I NA PRZYSZŁOŚĆ
Walka ze skutkami trzęsienia ziemi

48
KULTURA

NAJPIERW CZYTAĆ, POTEM PISAĆ
– rozmowa z Brygidą Helbig

56
ZWIERZĘTA

ZIMOWE LĘGI
Ptaki muszą wycelować z kluciem

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM, ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

eprasa.pl 2f577505c6

W obronie znieważonych

Tuż przed ogłoszeniem Roku Kopernika w Polsce zaczęto sprzedawać książkę „Mikołaj Kopernik. Nowe oblicze geniusza". Wydawcą jest Fronda, autorem Piotr Łopuszański – filozof wykształcony poza Polską i stypendysta polskiego ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Autor książki już we wstępie informuje: „To, co pisano dotychczas o astronomie, było często oparte tylko na domysłach i przypuszczeniach". Zagalopowawszy się w krytyce poprzedników, pisze dalej, że wszyscy upowszechniający wiedzę o Koperniku powinni się tego wstydzić. Szczególnie karci pracowników księgarń i muzealnych bibliotek w Toruniu, Olsztynie, Fromborku, Lidzbarku Warmińskim, Krakowie i za granicą. Wreszcie nakazuje, aby cytować wyłącznie jego książkę. Oniemiałem, bo publicznie zdyskwalifikowano wieloletni dorobek naukowy tysięcy solidnie wykształconych badaczy życia społecznego na Warmii. Do książki wnoszę trzy uwagi. Po pierwsze, przed jej przeczytaniem należy się zapoznać z profilem wydawniczym Frondy. Po drugie, warto poznać dorobek naukowy osób, które dotychczas zajmowały się popularyzowaniem życia i działalności Mikołaja Kopernika. Po trzecie, dobrze jest przestudiować opracowania naukowe na temat odwiecznej walki o władzę silnych nad słabymi i chęci bogacenia się jednych kosztem drugich. A pan Piotr Łopuszański powinien przeprosić tysiące muzealników, bibliotekarzy, księgarzy i pisarzy za nierzetelną ocenę ich działalności.

Dr Feliks Walichnowski

Kultura studencka już opisana

Ryszard Sławiński w glosie do tekstu o Bogusławie Litwińcu (nr 5/2023), wyliczając ważne osiągnięcia kultury studenckiej okresu PRL, sugeruje również wydanie publikacji o polskiej kulturze studenckiej lat 1956-1989 r. Oczywiście jest to postulat słuszny. Być może jednak autor nie zna wydanej w 2011 r. przez krakowską Fundację STU publikacji „Kultura studencka. Zjawisko – twórcy – instytucje" pod redakcją Edwarda Chudzińskiego, wieloletniego naczelnego „Zdania". Licząca ponad 400 stron formatu A4 praca obejmuje właśnie okres PRL i dotyczy wszystkich najważniejszych nurtów tego wyjątkowego (w Europie!) zjawiska, jakim była kultura studencka w Polsce, a więc teatru, muzyki, literatury, plastyki, edytorstwa czy dziennikarstwa. Warto dodać, że wydanie tej publikacji poprzedziła w kwietniu 2011 r. ogólnopolska konferencja naukowa, której tematem była kultura studentów PRL. W konferencji z pewnością uczestniczył Bogusław Litwiniec, obok wielu innych wybitnych twórców tegoż nurtu, takich jak Tadeusz Nyczek, Lech Raczak, Leszek Mądzik, Krzysztof Jasiński, Jan Poprawa, Andrzej K. Waśkiewicz, Krzysztof Mroziewicz i Eugeniusz Mielcarek.

Guru kultury studenckiej

Eugeniusz Kurzawa, Zielona Góra

ZDJĘCIE TYGODNIA

Na obszarach dotkniętych trzęsieniem ziemi w Turcji i Syrii nie ustaje akcja ratunkowa. Liczba ofiar rośnie z każdym dniem. Coraz rzadziej udaje się znaleźć żywych ludzi. Antiochia, 9 lutego 2023 r.

FOT. ABACAPRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 2f577505c6

Od spisu powszechnego w 2011 r. do tego w 2021 r. **ubyło w Polsce ponad 800 tys. rodzin.** A będzie jeszcze gorzej, bo w ubiegłym roku urodziło się jedynie 305 tys. dzieci, o 22 tys. mniej niż rok wcześniej.

•

Zmarł Szewach Weiss, były przewodniczący izraelskiego Knesetu, wieloletni przewodniczący światowej rady Yad Vashem, ambasador Izraela w Polsce. Profesor nauk politycznych Uniwersytetu w Hajfie i wykładowca na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW. Odznaczony przez prezydenta Kwaśniewskiego Orderem Orła Białego. Wielokrotnie protestował przeciw określeniu „polskie obozy zagłady".

•

Pomysłowość ministrów z PiS w przekazywaniu pieniędzy z budżetu państwa na liczne organizacje, fundacje i stowarzyszenia powoływane przez ludzi związanych z obozem władzy bije rekordy w miarę zbliżania się do końca kadencji.

•

Według stanu na koniec 2020 r. na krajowej liście oczekujących na przeszczep narządów było **1799 osób**. Najwięcej oczekiwało na przeszczep nerki (1007 osób), serca (415 osób) i płuc (168 osób) – raport NIK.

•

Dr Zdzisław Słowik, twórca i wieloletni **redaktor naczelny „Res Humana",** z powodów zdrowotnych zakończył kierowanie tym pismem. Pozostaje w nim jako Redaktor Senior. Serdecznie dziękujemy za lata bliskiej współpracy. Nowym szefem został **Robert Smoleń,** a jego zastępcą **prof. Mirosław Chałubiński.**

•

Walczący o funkcję prezesa Trybunału Konstytucyjnego jego sędzia i wiceprezes Mariusz Muszyński nazywa Julię Przyłębską „byłą prezes". Walka o wpływy między PiS a Solidarną Polską toczy się więc w TK, który stał się atrapą instytucji powołanej do innych celów.

•

854 tys. zł (brutto) za osiem miesięcy pracy zarobił były prezes TVP Jacek Kurski.

•

Biskup kalisko-kołobrzeski Edward Dajczak złożył rezygnację z urzędu, jako przyczynę podając depresję. Uczciwa decyzja dodająca odwagi innym chorym.

•

Andrzej Pilecki, 92-letni syn zamordowanego w 1948 r. rtm. Witolda Pileckiego, domagał się od skarbu państwa 26 mln zł odszkodowania i zadośćuczynienia. Sąd Okręgowy w Warszawie przyznał mu 1,5 mln zł. W 1990 r. żona, syn i córka Pileckiego dostali 500 mln starych złotych odszkodowania. Radca prawny Anna Bufnal reprezentująca Pileckiego jest oburzona małą kwotą zadośćuczynienia.

•

59 mln osób skorzystało z usług PKP Intercity w 2022 r.

•

2 139 666 pojazdów zarejestrowano w Warszawie na koniec 2022 r. W ciągu roku przybyło prawie 135 tys. nowych pojazdów. **Na 1 tys. mieszkańców stolicy przypada już 850 aut.** W Berlinie ok. 300, a w Nowym Jorku – 246. Bycie potęgą w tej dziedzinie nie jest powodem ani do dumy, ani do radości.

PRZEBŁYSKI

Kariery braci Mazurków

Willa temu. I tamtemu. Bo jak zaczyna się palić pod siedzeniem, to trzeba jakoś zadbać o rodzinę. O kumpli też. Na pytanie, skąd dojna zmiana bierze te zgrabne budyneczki, chętnie odpowie Polski Holding Nieruchomości. Państwowy kolos ma nieruchomości warte ok. 3,2 mld zł (!). Będzie co rozdawać. A kto zarządza tym biznesem? Od 1 maja 2018 r. Marcin Mazurek. Specjalista od bankowości, m.in. dyrektor w Kredobanku SA na Ukrainie i w Inteligo Financial Services SA. Z tematem nieruchomości zetknął się dopiero za rządów PiS. Równie błyskotliwą karierę robi jego brat. Robert Mazurek, prawicowy dziennikarz. Szerzej znany z wypasionej imprezy urodzinowej. Jedli i pili tam politycy wszystkich opcji. Lewica także. Może liczą na jakąś willę?

Matyszkowicz. Gwarant z betonu

Wygląda na smutasa. Kompletnie bez poczucia humoru. A tu proszę, w „Gazecie Polskiej" Mateusz Matyszkowicz, prezes TVP (kiedyś publicznej), co rusz żartuje z czytelników. „Nie jestem politykiem", mówi człowiek ubabrany w polityczne akcje PiS po czubek bujnej fryzury. Kłamie, ogłaszając, że „w Polsce świadomość konserwatywna wiąże się z szacunkiem do ludzi". Może nie ogląda tego, co robi TVP, bo po prostu się brzydzi. Albo ogląda i nie rozumie, że jest tam wiele programów, które są podręcznikową szczujnią. Na ludzi, którzy nie zgadzają się z władzą. I jeszcze taki żarcik: „TVP jest gwarantem wolnego słowa". No, no, prezesie Matyszkowicz, partia jest z pana zadowolona.

Marnowanie życia w IPN

To nie jest zła wiadomość. Pierwsze pokolenie prokuratorów Instytutu Pamięci Narodowej zaczyna przechodzić na emeryturę. Z wrodzoną inteligencją Robert Jaruga (tygodnik „Nie") pochylił się nad ich losem: „Nabawili się pylicy, grzybicy, kurzajek i tocznia rumieniowatego przez kontakt ze śmierdzącymi, zawilgoconymi archiwaliami. Niektórzy popadli w alkoholizm! Występują nawet o przywileje inwalidzkie". Przez 24 lata budżet IPN wzrósł do 400 mln zł, a zatrudnienie 30-krotnie. Do ponad 2,5 tys. ludzi. Wszystkie wille rozdane kolegom przez ministra Czarnka to ledwie cząstka budżetu IPN. Tyle kasy i co? Gry dla dzieci i wystawy prezentujące historię w formie zrozumiałej dla tiktokowych idiotów. Cieniutkie to. Weźcie Jarugę na doradcę, to wymyśli wam coś mądrzejszego.

Senior Luxury, a nawet Chief Officer

By uwolnić głowę od bełkotu ludzi, którzy na chleb z szyneczką zarabiają jako politycy, sięgamy po prasę dla eleganckich pań. Piękne zdjęcia. Photoshop robi cuda. Z każdej, z każdego zresztą też, robi młódkę – lub młodziana. Z czasów maturalnych albo chociaż studiów. Bajkowe fotki. Nie one jednak najbardziej nas rajcują. Uwielbiamy podpisy pod zdjęciami z tej czy innej gali, rozmaitych rautów i promocji.

Luxury Lifestyle Director, Sales Director International, Managing Director, Senior Account Executive, Chief Commercial Officer, Corporate Relations Director. Po polsku te tytuły nie brzmią już tak halo. A o to przecież chodzi, by poszpanować.

FOT. YOUTUBE, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 2f577505c6

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

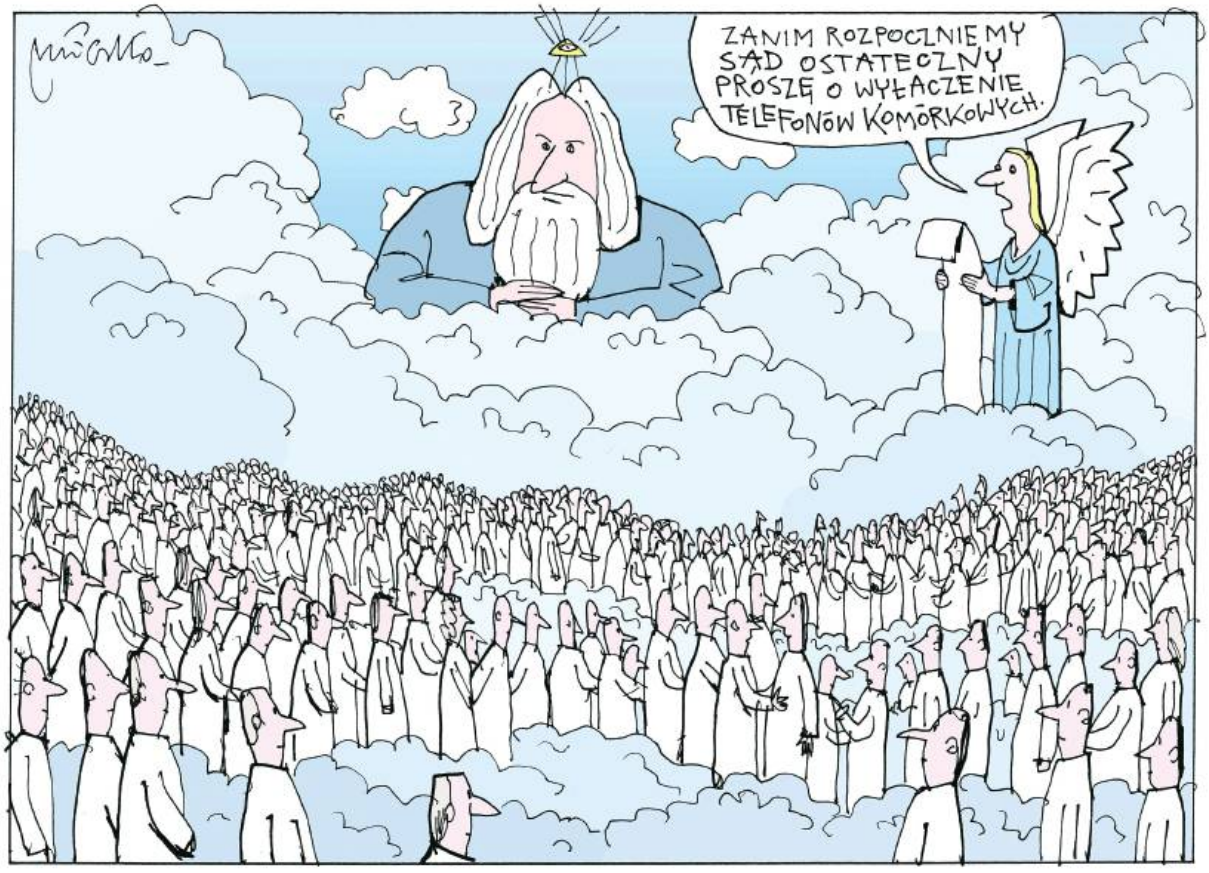

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego Polaków nie oburza uwłaszczanie się PiS?

DR EWA PIETRZYK-ZIENIEWICZ,
Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW

Polacy już do tego przywykli, ponieważ u nas afera goni aferę. A wszystko to napędzane jest medialnym zgiełkiem. Zaczęliśmy to puszczać mimo uszu. W dużej mierze dlatego, że mamy znacznie poważniejsze problemy, od inflacji począwszy, a na wojnie skończywszy. W grę wchodzi też zasada reaktancji, którą w tym wypadku można opisać jako stawianie oporu zbyt dużej ilości bitów informacyjnych na jeden temat. Wtedy budzi się w człowieku zdrowy wszak odruch i nadmiar informacji o kolejnych aferach odbija się od nas jak od ściany.

PROF. ROBERT ALBERSKI,
dziekan Wydziału Nauk Społecznych UWr

To zależy, o jakich Polakach mowa. Jesteśmy w tej chwili jako społeczeństwo podzieleni na bańki informacyjne. A każda z nich ma trochę inny ogląd rzeczywistości, bo docierają do nich różne fakty. Dlatego w zależności od bańki obraz świata trochę się zmienia. Kiedy więc mówimy o historiach dotyczących np. afery z willami, to jedni będą oburzeni, drudzy stwierdzą, że wszystko jest w porządku, a jeszcze inni w ogóle nie będą znać sprawy. Z tej przyczyny trudno dzisiaj odtworzyć jeden spójny pogląd opinii publicznej czy wspólne emocje w odniesieniu do jakiejś sprawy. Przypomina mi się sytuacja, kiedy Donald Trump, odnosząc się do jakichś krytycznych opinii, powiedział: „Wy macie swoje fakty, a ja mam swoje fakty". I dzisiaj właśnie taki podział dotyka Polaków.

HENRYK MARTENKA,
dziennikarz, felietonista tygodnika „Angora"

Oburza, ale nielicznych i na krótko. Co prawda, 70% Polaków ocenia źle ministra Czarnka i jego „uwłaszczeniowy mecenat", lecz nie przekłada się to na pogorszenie notowań jego partii, od lat zabetonowanych na poziomie nieco ponad 30%. Wzbiera jednak społeczna zgaga, niesmak po wrażeniu ogólnego przyzwalania na serię przekrętów, którą obdarzyło nas PiS. Niesmak bierze się z podziału społeczeństwa, zepsucia obyczaju politycznego, nieufności, nawet pogardy wobec polityków, wreszcie notorycznego zakłamywania faktów przez PiS. Ale jest też inny powód… Może decydujący. W latach 80. do Łańcuta na festiwal jechała Maria Fołtyn, artystka pełnokrwista. Pod Rzeszowem, przejeżdżając przez jakąś wioszczynę, ujrzała siedzącą na przyzbie staruszkę, ubraną w piękny strój ludowy. Maria kazała auto zatrzymać i uniesiona zachwytem pobiegła ku babince, ta zaś, widząc zacnej postury, niemłodą damę w czarnej mantylce, krzyknęła z przestrachu, zerwała się i ukryła w obejściu. Fołtyn zniesmaczona wróciła do samochodu i tylko mruknęła: „Lud polski jest głupi…".

Not. Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 2f577505c6

Zatrute umysły zatruwają Polaków

Sojusz ludzi żądnych władzy i pieniędzy

Robert Walenciak

To trzeba było zobaczyć na własne oczy. Debatę w Sejmie, gdy opozycja atakowała ministra Czarnka za to, że dał z budżetu MEN 40 mln zł prawicowym fundacjom na zakup nieruchomości, co okrzyknięto programem Willa+. Czarnek nie był pokorny, sam atakował opozycję. A Kaczyński co twardsze słowa ministra nagradzał brawami. Cieszył się i klaskał.

Oto mogliśmy się przekonać, że dla osoby numer 1 w państwie najpiękniejszą rozrywką jest sejmowa pyskówka. I najbardziej z jego szeregów podobają mu się ci, którzy najmocniej opozycji się odwijają.

Przepraszam, ale czy na tym polega polityka? Kto komu mocniej się odwinie? To jest najważniejsze kryterium oceny ministra? Że z publicznych pieniędzy da swoim i jeszcze nawymyśla krytykom?

Życie polityczne, owszem, mało kiedy było przyzwoite, teraz jednak stało się podłe.

Od kiedy pamiętam, życie polityczne w Polsce zdefiniowane było marzeniem. Epoka Gierka – to było marzenie o uprzemysłowieniu Polski, skoku cywilizacyjnym. „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej". Epoka Jaruzelskiego – to z kolei był czas bez wielkich marzeń, tylko żeby przetrwać. I warto było przetrwać, bo po roku 1989, gdy otworzyło się okno historii, Polska rozpoczęła wyścig o swoją przyszłość. Byliśmy w to zaangażowani. Gospodarka, czyli słynne powiedzenie Grzegorza W. Kołodki: „Produkcja rośnie, inflacja spada", wejście do NATO, wejście do Unii… Potem chcieliśmy mieć w tej Unii mocną pozycję.

Dla Kaczyńskiego najpiękniejszą rozrywką jest sejmowa pyskówka. I najbardziej podobają mu się ci, którzy najmocniej opozycji się odwijają.

A jakie wielkie cele ma dzisiejsza władza? W ogóle jakie ma cele? Milion samochodów elektrycznych? Promy pływające po Bałtyku? To bujda. Jak można budować samochody, nie mając fabryk, inżynierów, biur projektowych? Jak można budować promy, wygaszając stocznie? A może, jak opowiadają niektórzy, władza chciała Wielkiej Polski i Trójmorza? To przecież miraż, pisał o tym zresztą tydzień temu Jakub Dymek.

Jakie więc są cele? Może takie, o których Jarosław Kaczyński zdążył już parę razy powiedzieć – że chciałby pogrążyć tych, co byli przed nim na górze, i chciałby nowych elit, swoich. No i Kościoła w roli wychowawcy narodu. Ale to też bzdura, bo Zenek Martyniuk zawsze będzie

Jarosławowi Kaczyńskiemu nie przeszkadza to, że Mateusz Morawiecki był doradcą Donalda Tuska. Ważne, że jest użyteczny.

eprasa.pl 2f577505c6

Pisowcy jak jeden mąż bronią ministra Czarnka, ciesząc się, że karmi swoich.

Zenkiem Martyniukiem, choćby nie wiem ile dostał festiwali.

Jeśli życie publiczne zaczyna się składać z pustych opowieści, z pustego pomstowania, to coś jest nie tak. Tylko z kim? Z nami, wyborcami, czytelnikami, ludźmi, którzy ten spektakl obserwują? Czy może z nimi?

Tydzień temu pisałem, że Polska pogrąża się w paranoi. Że politycy zarażają nas swoim szaleństwem. I czyż tak nie jest? W polskim systemie politycznym wszystko kręci się wokół Jarosława Kaczyńskiego – jego upodobań, jego fobii. Każdy przecież wie, co wodzowi się podoba – polityczna korrida. O złym Tusku i złej opozycji słyszymy zatem co chwila. Każdy wie, czym zmiękczyć najważniejszego prezesa – i znaczą Polskę kolejne maszkarowate (on estetą nie jest, więc nie szkodzi) pomniki Lecha Kaczyńskiego. Mamy złych Niemców, świat nam zazdrości, zamach w Smoleńsku… Armia lizusów zawsze wie, jak się przypochlebić.

A teraz przyłóżmy do tych zachowań opinie fachowców. W wydanej kilka lat temu książce „Paranoja polityczna. Psychologia nienawiści" amerykańscy autorzy Robert Robins i Jerrold Post wyróżnili siedem elementów charakteryzujących umysł paranoika. Są to m.in. podejrzliwość, mania wielkości, wrogość, lęk przed utratą niezależności, urojenia.

Podejrzliwość? Mania wielkości? Urojenia? Toż to siła napędowa narracji PiS. Katastrofa smoleńska nie mogła być zwykłą katastrofą. Musiała być spiskiem, wielkim spiskiem, bo Lech Kaczyński Rosji zagrażał. A my, dzielny Antoni Macierewicz, złamany śmiercią brata Jarosław i cała rzesza ludzi PiS, ten spisek przejrzeliśmy! To knowania Tuska z Putinem!

Tych spisków, zawiązywanych ze strachu przed rosnącą siłą Polski, jest więcej. Wszystkie są przenikliwie ujawniane! Spisek niemiecki, spisek brukselski – uczestniczy w nim opozycja, ta współczesna targowica, która najpierw służyła Moskwie, a teraz służy Niemcom. Opowieści tego typu wylewają się z pisowskich gazet, z ekranu.

„Nie ma na świecie ludzi dużo mądrzejszych niż ja", mówi Jarosław Kaczyński i najwyraźniej w te słowa wierzy. Jak i w to, że jest „samym dobrem". Tak bowiem siebie ocenia. A samo zło to ci, którzy akurat podnieśli głowę. Sędziowie, nauczyciele, lekarze, demonstrujące kobiety…

Kategoria „podniesionej głowy" jest w identyfikacji tych złych kluczowa. Do Kaczyńskiego można przyjść, tak jak Piotrowicz, z PZPR, z prokuratury – nie ma to znaczenia. Można przyjść, jak Morawiecki, od Tuska – nie jest to istotne. Można przyjść z Unii Wolności, jak Duda – też będzie to wybaczone. Można nawet przyjść z SB, jak Kujda – okaże się to drobiazgiem. Ważne, czy dana osoba lub grupa jest prezesowi posłuszna i użyteczna, czy nie. I w takiej kategorii widziane jest dobro i zło. Zupełnie jak na wojnie, gdzie to, co służy nam, jest dobre i moralne, a to, co służy wrogowi, podłe.

„Paranoik jest wojowniczy i łatwo się irytuje, nie ma poczucia humoru, jest niezwykle wrażliwy na oznaki lekceważenia, kłótliwy, spięty, nastawiony obronnie – piszą Robins i Post. – Elementem tej obronnej postawy jest nieustanna gotowość do ataku".

Mamy zatem kolejne wojny, które prowadzi PiS. I mamy jak w banku, że tych wojen nie zabraknie, bo taka jest natura prezesa. Nawiasem mówiąc, tę przypadłość w swoim czasie wykorzystywał Tusk, gdy był premierem. Kiedy rząd wpadał w kłopoty i ówczesna opozycja zaczynała zyskiwać przewagę, Tusk wysyłał Janusza Palikota z misją drażnienia Kaczyńskiego. Nazywało się to „przesuwaniem prętem po klatce tygrysa". Palikot wyskakiwał z jakimś zdaniem, a Kaczyński dostawał ataku wściekłości i tym oto sposobem o Tusku media zapominały, a jego problemy gdzieś się rozpływały.

„Nie ma na świecie ludzi dużo mądrzejszych niż ja", mówi Jarosław Kaczyński i najwyraźniej w te słowa wierzy. Jak i w to, że jest „samym dobrem".

eprasa.pl 2f577505c6

Ale to było kiedyś. Dzisiaj prezes PiS lepiej się kontroluje. A przede wszystkim w tych wojnach nie jest sam. Wspierają go media, których powstaniu patronował, wspiera go armia ludzi od niego zależnych.

Pamiętajmy, pierwszą ofiarą każdej wojny jest prawda. Wystarczy spojrzeć na polskie życie publiczne i widać jak na dłoni, że media pisowskie działają w trybie wojennym. Czyli nie tylko uprawiają partyjną propagandę, ale i walczą, zarówno z przeciwnikami politycznymi, jak i z obywatelami. Z ich prawem do prawdy.

Oszukiwanie ludzi, dezinformacja to rzeczy w paranoicznym świecie oczywiste. Gdy Nikita Chruszczow w 1960 r. przybył na sesję ONZ w Nowym Jorku, zaskoczony był liczbą samochodów na ulicach i towarów w sklepach. „Ściągnęli samochody z całego kraju, aby zrobić na nas wrażenie" – tak to tłumaczył. Spiskiem, bo najprostsze wyjaśnienia do niego nie docierały.

Jeśli więc w pierwszych latach III RP media mogły w wielu aspektach kontrolować polityków, to dziś politycy kontrolują media. Narzucają im ton. Efekt jest widoczny. Zatrute umysły polityków zatruwają Polaków. Badania to potwierdzają – robimy się coraz bardziej pesymistyczni, skłóceni, niezadowoleni z życia. Awantury, pomówienia, krętactwa tworzą oblepiającą maź, z której nie sposób się uwolnić. Tak tworzy się chaos. Bo jeżeli do wyjaśniania politycznych zjawisk biorą się politycy, a nie naukowcy czy niezależni publicyści, to chaos mamy gwarantowany. I kolejny rozkwit różnych fałszywych teorii, bo nikt nie potrafi chaosu tłumaczyć tak sprawnie jak paranoicy.

Taki świat, to trzeba zawsze przypominać, jest wymarzonym środowiskiem dla oszustów i naciągaczy. Mamy zresztą na to określenie – łowienie ryb w mętnej wodzie. Historia sprzedającego respiratory handlarza bronią to już klasyka. Ale przecież nie była jedyna. Istotna jest ta „mętna woda". Uderza zachowanie polityków PiS podczas sejmowej przepychanki w sprawie owych 40 mln i Willi+. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, by te dotacje jeszcze raz przejrzeć, może zweryfikować, bo w końcu są to publiczne pieniądze. Pisowcy jak jeden mąż bronili ministra Czarnka, ciesząc się, że karmi swoich… I ciesząc się, że opozycja „wyje", bo to oznaka, że ją zabolało. Myślenia o dobru wspólnym tu nie ma.

Pierwszą ofiarą każdej wojny jest prawda. Widać jak na dłoni, że media pisowskie działają w trybie wojennym. Walczą z prawem obywateli do prawdy.

A jak wygląda dzisiejsza Polska? Ile razy dziennie słyszymy o mafii VAT-owskiej, złych Niemcach, esbekach? Jak to się ma do rzeczywistości? Z drugiej strony państwo polskie stało się szalenie tajemnicze. Obrosło rozmaitymi tajemnicami służbowymi, dowiedzieć się czegoś od urzędnika państwowego to cud. Chyba że jest to oficjalny komunikat. Panowanie nad informacją, nad tym, co do ludzi dociera, jest wszak kluczowe. Powie ktoś, że to w dzisiejszych czasach niemożliwe, mamy przecież media niepodporządkowane PiS, mamy internet, media społecznościowe… Owszem, teoretycznie mamy wiele źródeł informacji, ale ich mnogość – chaos, który tworzą – powoduje, że ludzie zamykają się w swoich bańkach informacyjnych. I w to, co mówią tamci drudzy, nie wierzą.

Oto mamy sojusz. Tych, co widzą świat przez okulary paranoika i chcą mieć władzę i uwielbienie, z tymi, którym spiskowy obraz rzeczywistości tłumaczy ją najlepiej. Oraz rozmaitej maści cwaniakami, którzy podłączyli się pod „dobrą zmianę" i dobrze im się z tym żyje. Nawet bardzo dobrze.

Robert Walenciak

Rozmawia Robert Walenciak

Czy nie brzmi to groźnie, że do polityki ciągną paranoicy?

– Ale kto tak mówi i na jakiej podstawie? Jeżeli przez paranoików będziemy rozumieć osoby, które mają psychiatryczną diagnozę uporczywych urojeń, to ze względu na tajemnicę lekarską nikt takich statystyk nie ujawnia. Obserwując zachowania polityków i korzystając z dostępnych wyników badań opinii publicznej na ich temat, mogę powiedzieć, że dziś ważne miejsca we władzy zajmują osoby przekonane, że żyjemy w koszmarnym miejscu i czasie, że wszędzie czają się wrogowie, że nie ma możliwości współpracy, a relacje społeczne i międzygrupowe mogą być jedynie antagonistyczne. Tak nie jest tylko u nas, podobne zjawiska opisują analitycy polityki w USA, w Europie Zachodniej, w Izraelu, Rosji.

Belgijska badaczka demokracji Chantal Mouffe już 10 lat temu pisała, że niektórzy politycy (ale i zwykli obywatele obserwujący politykę) myślą o demokracji w formie opartej na sprzeczności interesów. Głównym celem jest walka o władzę, a potem jej utrzymanie, towarzyszy temu traktowanie przeciwników politycznych jak wrogów. Takich, których trzeba nie tylko pokonać w wyborach, ale także zniszczyć im reputację, odebrać szacunek publiczny, czasem majątek. Tak rozumiana polityka dla wielu ludzi jest nie do zniesienia, nic dziwnego, że dystansują się od niej.

Samo dobro kontra wielkie zło

Co motywuje polityków do takiego myślenia? Że oni są szlachetni, a przeciwnicy do szpiku kości źli?

– Po pierwsze, pewien rodzaj zachwytu nad sobą – że jesteśmy moralnie czyści, użyję tu słów prezesa Kaczyńskiego, który mówił o sobie w jednym z wywiadów, że w nim jest „samo dobro". Przeciwnicy uosabiają samo zło. Takiemu rozumowaniu bardzo często towarzyszą „paranoiczne" elementy w postaci myślenia spiskowego. Widzimy to w sposobie opowiadania o świecie takich polityków jak Donald Trump czy niektórzy

eprasa.pl 2f577505c6

Więźniowie ciemnej triady

Polityka jest jak wojna. Dlatego coraz bardziej jej nie lubimy

liderzy polskiej Zjednoczonej Prawicy. W tego rodzaju myśleniu kluczowym elementem jest przekonanie, że ja, moja grupa, moja partia, ale to może być też cały naród, jest ofiarą jakiegoś dobrze zorganizowanego, ale ukrytego gdzieś głęboko wrogiego obozu. A ten wróg tylko czeka, żeby pokrzyżować nasze dobre zamiary, zmienić naszą politykę, uderzyć w naszą niezależność, niepodległość.

Oto stan zagrożenia!

– Tak, bo przesadnie dobrej samoocenie (publicznie okazywanej) towarzyszą skrywana niepewność i strach przed porażką. Z jednej strony, mówimy, że jesteśmy najmądrzejsi, supermoralni, wszystko nam się należy, świat powinien patrzeć na nas, podziwiać i brać przykład. Z drugiej – mamy ciągłe przekonanie, że jakieś potężne siły zewnętrzne kopią pod nami dołki, źle nam życzą, są tak silne i dobrze zorganizowane, że nie bardzo można sobie z nimi poradzić.

Niby tacy silni, ale wciąż się chwieją.

– Bo prawda jest taka, że ci ludzie ani nie są przedmiotem tajnych spisków, ani nie znajdują się w centrum zainteresowania świata. Tymczasem tak myślą osoby, które spiskowe koncepcje tworzą lub przyjmują. Ci wyobrażeni wrogowie chcą skrycie odebrać władzę, nie działają jawnie. A jednocześnie my jesteśmy na tyle przenikliwi, że widzimy to zło. Oni chcą swoje działania ukryć, a my je wskazujemy palcem. Po prostu widzimy więcej. To daje poczucie kontroli nad złożoną i niepewną rzeczywistością. Choć, dodajmy, niektóre rozpowszechniane teorie spiskowe mogą być puszczane w obieg cynicznie, ich autorzy wcale nie muszą w nie wierzyć.

PROF. KRYSTYNA SKARŻYŃSKA
– psycholog, prowadzi zajęcia na Uniwersytecie SWPS, członkini Rady Programowej Instytutu Spraw Publicznych oraz Międzynarodowego Instytutu Społeczeństwa Obywatelskiego. Specjalizuje się w psychologii politycznej i psychologii społecznej.

Wierzą, że inni uwierzą.

– W tym podejściu do rzeczywistości, paranoicznym czy też bliskim paranoi, że wszyscy są przeciwko nam, mamy dwa w jednym: z jednej strony, poczucie zagrożenia, z drugiej – poczucie własnej wyższości.

> Dziś ważne miejsca we władzy zajmują osoby przekonane, że wszędzie czają się wrogowie.

Że inni nam zazdroszczą i z zazdrości chcą nam zaszkodzić.

– Dlatego musimy się bronić. Poza tym my mamy władzę, bo trafnie odczytaliśmy potrzeby naszego narodu. Ci z opozycji są od nas gorsi moralnie, bo są egoistami, spiskują z Zachodem, jeżdżą do Unii… Proszę zobaczyć, jak rozszerza się lista tych „gorszych", rzekomo szkodzących Polsce – to cała demokratyczna opozycja, ludzie ją popierający, lekarze, sędziowie, pielęgniarki, aktywistki Strajku Kobiet… Mamy listę zdrajców.

Pokażę ci twojego wroga

Jeśli dajemy sobie moralne prawo wyższości i uznajemy, że tylko my wiemy, czego potrzebuje naród, wtedy nasi przeciwnicy automa-

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 2f577505c6

tycznie stają się wrogami narodu. Można więc zrobić z nimi wszystko.

– Jeżeli ktoś jest wrogiem, który zagraża naszej grupie, to każdy środek przeciwko niemu jest dobry. I ludzie mogą to zaakceptować. Skąd się bierze taka postawa? Otóż badania psychologiczne dowodzą, że osoby, które mają problem ze złożonością rzeczywistości, z jej zmiennością, wieloznacznością, i gubią się w szybko zmieniającym się świecie, radzą sobie, uciekając w uproszczenia, schematy. Tłumaczą sobie świat w sposób najprostszy, dzieląc na swoich i obcych, przyjaciół i wrogów. To ułatwia im funkcjonowanie i daje złudne poczucie bezpieczeństwa.

Tłumaczą prosto i wiedzą lepiej.

– Gdybyśmy takie postawy wiązali jedynie z dogmatyzmem czy radykalizmem, nie zwrócilibyśmy chyba uwagi na to, że myślenie spiskowe częściej trafia się na prawicy. A to dlatego, że prawicowe, konserwatywne poglądy są łatwiejsze do przyjęcia, podkreślają potrzebę zgodności z tradycją, postępowania według przyjętych reguł, zgodnie z dobrze znanymi schematami myślowymi. Takim osobom, nieufnym wobec nowości, łatwiej niż liberałom czy lewicowcom przyjąć kolejny schemat oraz spiskowe wytłumaczenie. To ostatnie daje przecież złudzenie kontroli poznawczej nad złożoną, wieloznaczną rzeczywistością. Badania to potwierdzają.

Osoba zainfekowana myśleniem paranoicznym jest przekonująca, bo wierzy w to, co mówi, jest pełna energii. Nie dzieli włosa na czworo, wszystko wie. Pociąga jako lider.

– Owszem, takie osoby stają się popularne, przyciągają uwagę. Bo są wyraziste. To jest nieszczęście dzisiejszych mediów, które wyrazistość preferują, gdyż ona przyciąga uwagę widzów. Mamy tego w nadmiarze – ostre, nienawistne wypowiedzi poruszają emocje widzów. Służy to nadużywającym takiej mowy politykom, bo dzięki temu są zauważalni i rozpoznawalni.

Czy oni opowiadają to z głupoty, bo w to wierzą, czy z rachuby, że przyniesie im zysk?

– Jedni tak, drudzy owak. Część ma poczucie nieprzystawania do złożonego, zróżnicowanego świata. Dla nich każdy, kto prezentuje inne wartości, jest wrogiem. Ale odnoszę też wrażenie, że wiele wypowiedzi polityków na temat wrogów to wypowiedzi cyniczne.

Spiskowe myślenie częściej trafia się na prawicy.

Tak czy inaczej, tworzy się teatr jednego aktora. Oraz jego wrogów i przyjaciół.

– Badacze, oceniając takie sytuacje, zwrócili uwagę na jeszcze jeden element – przecież ci politycy „od zawsze" tacy nie byli. Zmieniają się.

Dlaczego?

– Wprawdzie pewne cechy osobowości są stałe, ale badania nad rolą osobowości polityków dowodzą, że niektóre cechy sprzyjają „psuciu" się polityków w procesie sprawowania władzy. Wielu psychologów pokazuje, że trzy cechy osobowości, które określa się jako ciemną triadę, zwiększają podatność na myślenie spiskowe i wiążą się z silniejszym nadużywaniem władzy.

Idą po swoje

Te trzy złe cechy to...

– Makiawelizm, narcyzm i skłonności psychopatyczne. Makiawelizm jest rozumiany jako przypisywanie innym ludziom cech negatywnych, niemoralności, egoizmu, głupoty. W związku z tym, jeżeli jesteś człowiekiem, który chce coś w życiu osiągnąć, powinieneś wykorzystywać słabości innych. I bez żadnych oporów dążyć do sukcesu. W dodatku osobowość makiawelistyczna sprzyja realizowaniu własnych planów bez względu na ich koszty dla innych ludzi oraz wykorzystywaniu braku jasnych reguł i procedur działania.

Druga cecha to narcyzm, przesadnie dobre, choć nie do końca pewne, mniemanie o sobie, wymagające ciągłego potwierdzania. Mówimy zarówno o narcyzmie indywidualnym, jak i kolektywnym, dotyczącym wyobrażenia o własnej grupie. W polityce obecny jest jeden i drugi. Nadmiernie wysoka, ale chwiejna samoocena polityka prowadzi do przewrażliwienia, drażliwości w reakcji na krytykę. Każdy, kto krytykuje mnie albo moją grupę, mój rząd, moje państwo czy naród, staje się moim wrogiem. I jednocześnie obiektem, na którym narcyz się koncentruje, bo musi rozprawić się z nim, obnażyć jego niecne zamiary, brak kompetencji, niemoralność.

To się udaje?

– Pomaga w tym trzecia cecha ciemnej triady – niekliniczna psychopatia, czyli słabe odczuwanie emocji, brak empatii, skłonność do manipulowania, nieliczenie się z przyjętymi normami, wybuchowość.

Strach się zbliżyć.

– Narcystyczny polityk potrafi schlebiać, uwodzić wyborców. Zależy mu na podziwie i aprobacie, może więc dużo obiecywać i stosować różne techniki wkradania się w łaski potencjalnego elektoratu. Psychopata umie się pokazać jako osoba charyzmatyczna. Makiawelista nie lubi procedur i przejrzystości w polityce, bo to ogranicza jego możliwości bezprawnego działania. A jak to się ma do sprawczości? Żadna cecha ciemnej triady nie gwarantuje lepszych osiągnięć ani w polityce, ani w życiu. Im dłużej ludzie o tych charakterystykach osobowości sprawują władzę, tym bardziej są skłonni do jej nadużywania. Przeszkadza im „imposybilizm" władzy, gdy prawo ogranicza ich plany. To są ludzie, którzy „idą po swoje", nie patrząc na emocje i straty, jakie ich działania przynoszą

Prawica, zwłaszcza PiS, zwłaszcza po Smoleńsku, traktowała siebie i była widziana przez część społeczeństwa jako „skrzywdzona".

eprasa.pl 2f577505c6

innym. Wahań nie mają. Koszty się nie liczą.

W polityce te koszty mogą dotyczyć milionów.

– Bycie przy władzy, nie tylko politycznej, poprawia samopoczucie, podnosi samoocenę. Nastawia na potencjalne nagrody bardziej niż na koszty. Dlatego przy planowaniu zadań politycy nie doceniają przeszkód, nie dopuszczają myśli, że coś może się nie udać czy więcej kosztować. Wszystko ma pójść jak po maśle, bo są świetni.

w roku 2015 najpierw wyprodukowała poczucie zagrożenia, np. ze strony uchodźców, a potem na tym poczuciu zagrożenia opierała sporą część swojej polityki. Przez 25 lat, do roku 2014, nie odczuwaliśmy zewnętrznych zagrożeń. Były inne rzeczy, które boleśnie dotykały społeczeństwo. Wiele osób czuło, że nie korzysta z dobrodziejstw zmiany, która dokonała się po roku 1989. Właściwie to wszyscy politycy o tym wiedzieli, ale nie wszyscy potrafili coś z tym zrobić.

Z silniejszym nadużywaniem władzy wiążą się trzy cechy osobowości: makiawelizm, narcyzm i skłonności psychopatyczne.

Im dłużej sprawują władzę, tym bardziej są w sobie zadufani.

– Tak, choć pewnie nie wszyscy. Różne rzeczy mogą pójść nie tak, zwłaszcza jeśli są planowane z uwzględnieniem jednego punktu widzenia. Kiedy nie ma dyskusji, głosów krytyki, zwiększa się ryzyko porażki. Poza tym zmieniają się czasy, zmienia otoczenie i to wszystko powinno być brane pod uwagę. A narcystyczni i makiawelistyczni politycy mają słabą gotowość do patrzenia na zadanie czy problem z różnych perspektyw. Trzeba jednak pamiętać, że trudniej przyjąć inną niż własna perspektywę, gdy działa się w silnym stresie, w pośpiechu. A politycy często działają w takich warunkach. Z drugiej strony są badania, które pokazują, że jeżeli w karierze politycznej odgrywa się różne role, wymagające współpracy, uzgadniania stanowisk, niekoniecznie z osobami identycznie myślącymi, to zdolność uwzględniania różnych punktów widzenia wyraźnie rośnie.

Solidarność poniżanych

A jak to się dzieje, że Polacy wybierają takich ludzi? Że stawiają na tych, którzy pokazują im świat spisków i wrogów?

– Nie wszystkie cechy, o których mówiliśmy, ujawniają się w kampanii wyborczej. A co do naszej „zjednoczonej prawicy”… Rzeczywiście,

Ci ludzie czuli się zostawieni na lodzie.

– Władza w PRL interesowała się, przynajmniej deklaratywnie, losem zwykłego człowieka, a w III RP, przy rządach liberalnych, oni takiego poczucia nie mieli.

Aż przyszło PiS i dało 500+. Ktoś tych ludzi wreszcie dostrzegł.

– Wiąże się to z poczuciem niesprawiedliwości żywym wśród części społeczeństwa. Także poczuciem krzywdy, niespełniania obietnic i nadziei, które wiązano z transformacją i Solidarnością. Ale dodajmy jeszcze jeden element. Również prawica, zwłaszcza PiS, zwłaszcza po Smoleńsku, traktowała siebie i była widziana przez część społeczeństwa jako „skrzywdzona”. W 2010 r. osoby z poczuciem krzywdy, niekoniecznie wyrządzonej przez polityków, zdecydowanie solidaryzowały się z Jarosławem Kaczyńskim.

Dlaczego?

– Widziały w nim ofiarę. Bo stracił brata i cierpi, chroni chorą matkę. Bo był niedoceniany. Ten nastrój był podtrzymywany przez miesięcznice, przez różne spiskowe narracje o tym, co się stało w Smoleńsku. W ten sposób powstał wiele wyjaśniający silny związek emocjonalny między grupami osób uważających się za ofiary.

Solidarność pokrzywdzonych, lekceważonych.

– To może wyjaśniać, dlaczego osoby popierające PiS w roku 2010 zostały przy nim pięć lat później mimo tylu poważnych błędów i potknięć. Psycholodzy społeczni nazywają to „ślepym zaufaniem” do osób widzianych jako podobne ze względu na doświadczenie krzywd. Tak to różne sytuacje i nastroje układają nam życie polityczne.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

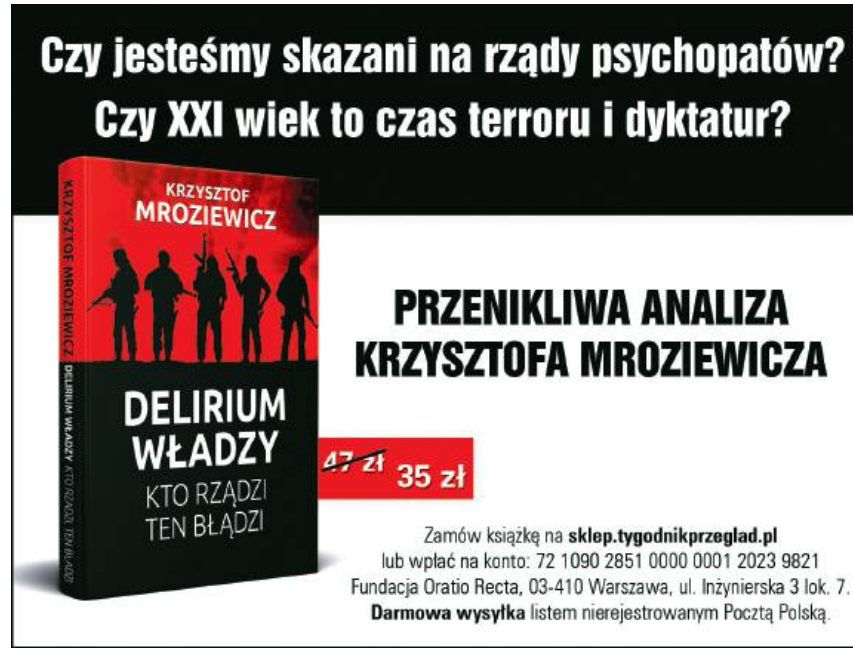

eprasa.pl 2f577505c6

Prawie 10 milionów seniorów

Do 2050 r. liczba osób starszych wzrośnie, tymczasem mamy zaledwie 518 geriatrów

Anna Stachowiak

Podczas gdy w Austrii czy Szwajcarii na 100 tys. pacjentów w podeszłym wieku przypada kilkadziesiąt łóżek, w Polsce ten wskaźnik wynosi... półtora miejsca. W krajach Unii Europejskiej na milion mieszkańców przypada od 16 do 50 geriatrów, w Polsce – 12,8.

Nie ma standardów opieki geriatrycznej, a na konsultację lekarską trzeba czekać miesiącami. Mimo że geriatria teoretycznie uznana została za kwestię priorytetową, o wizycie u takiego specjalisty większość pacjentów – i opiekujących się nimi osób – może tylko pomarzyć. A szkoda, bo z badań wynika, że dobra opieka geriatryczna zmniejsza ryzyko śmierci seniora (o 22% po roku od interwencji szpitalnej, o 14% dla wszystkich), zwiększa możliwość dalszego mieszkania starszej osoby w domu (o 47% po roku od interwencji szpitalnej, o 26% dla wszystkich), zmniejsza ryzyko ponownego przyjęcia do szpitala i po prostu poprawia funkcjonowanie osoby w podeszłym wieku (o 72% zwiększa szansę na poprawę stanu po pobycie w szpitalu). Jednak w większości szpitali I i II stopnia nie ma oddziałów geriatrycznych, potrzebujący takiej opieki są więc przyjmowani na inne oddziały, głównie wewnętrzne. Stanowią tam około połowę pacjentów.

Geriatra, czyli kto

Są choroby w starości i choroby ze starości. Te w starości to również schorzenia, na które człowiek cierpiał wcześniej – cukrzyca, nadciśnienie, choroby tarczycy albo choroby niedokrwienne serca. Choroby ze starości wynikają po prostu ze starzenia się organizmu, zmniejszenia się funkcji poznawczych, wiotczenia mięśni. Do tzw. wielkich zespołów geriatrycznych można zaliczyć depresję, otępienie, chorobę Parkinsona, majaczenie, osteoporozę, chorobę zwyrodnieniową stawów, niedożywienie, słaby wzrok czy zespół słabości. Geriatra wie, jak leczyć całościowo, podczas gdy lekarz chorób wewnętrznych, kardiolog lub ortopeda leczy jedną, konkretną chorobę. A senior chodzi od lekarza do lekarza, zaliczając wizytę u kardiologa, neurologa i ortopedy.

Karol, 73 lata: Nigdy nie byłem u geriatry. Chodzę do kardiologa, diabetologa, ortopedy, okulisty i psychiatry. Część na NFZ, część prywatnie. Na wizyty na NFZ czekam czasem trzy miesiące, prywatnie jest o wiele szybciej. Raz żona zasugerowała, żebym może poszedł do geriatry, lekarka ogólna dała mi skierowanie, ale dowiedziałem się, że trzeba czekać nawet pół roku. To bez sensu.

W wywiadzie dla „Gazety Senior" geriatra Edyta Karasek mówiła: „Organizm w starości ma mniej rezerw i mniejsze możliwości regeneracji, dlatego bardzo łatwo o nagłe załamanie stanu zdrowia w wyniku ostrego zachorowania, jakim może być zakażenie dróg moczowych, zapalenie płuc, złamanie kości, krwawienie z przewodu pokarmowego. Dla chorowania w starości charakterystyczne są również atypowe objawy chorób występujących powszechnie, np. majaczenie w wyniku infekcji, sepsy, niewydolności krążeniowo-oddechowej, depresja bez smutku, pseudodemencja lub brak objawów, np. brak gorączki w zapaleniu płuc, brak bólu w zawale mięśnia serca czy

FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS

eprasa.pl 2f577505c6

zapaleniu otrzewnej. Dużym problemem są upadki, dlatego geriatra ocenia ryzyko ich wystąpienia".

Edyta Karasek podkreślała poza tym, że dla chorowania w podeszłym wieku typowa jest wielochorobowość, dlatego geriatra zbiera dokładny wywiad i ocenia ogólny stan zdrowia, mając wiedzę o wszystkich lekach, które przyjmuje pacjent – tego nie robi lekarz innej specjalizacji podczas wizyty w gabinecie. Często prywatnym. Choć i tu niełatwo się dostać.

Małgorzata: Moja mama ma 88 lat. Ma chore serce, słabo widzi, ostatnio bardzo pogorszył się jej słuch. Ma kłopoty z chodzeniem, ostatnio w nocy upadła podczas wizyty w łazience. U geriatry byłyśmy raz, prywatnie, w zasadzie posłuchał mamę, popatrzył na badania i zgodził się z diagnozami innych lekarzy. Jak mama się źle poczuje, jedziemy na SOR. Tak też było po tym upadku w łazience. Na szczęście się nie połamała. Jak jesteśmy na SOR, połowa pacjentów jest po sześćdziesiątce. Podobnie jest w szpitalu. W szpitalu blisko nas oddziału geriatrycznego nie ma.

Lekarzy geriatria nie interesuje

Młodzi lekarze nie są zainteresowani kształceniem się na geriatrów. Zajęcia z geriatrii są na studiach medycznych dopiero od 2016 r., a i to w małym wymiarze godzinowym. Dodatkowo oddziałów geriatrycznych jest tak mało, że nawet jeśli ktoś taką specjalizację wybierze, trudno mu dostać się na staż. Jeśli już geriatrą zostanie, to w szpitalach często funkcjonuje na zasadzie konsultanta – bo oddziału nie ma.

Z danych Naczelnej Izby Lekarskiej wynika, że w czerwcu 2021 r. w Polsce było 518 geriatrów. Przez pięć lat, do połowy 2021 r., specjalizację tę ukończyło 101 lekarzy. „W latach 2017-2019 w całym kraju wybrało ją zaledwie dwóch rezydentów, w 2020 r. trzech, a w 2021 r. tylko jeden. Stąd też w 2017 r. wśród aktywnych zawodowo geriatrów 52% stanowili lekarze w wieku powyżej 50. roku życia, w 2018 r. – 55%, a w 2019 r. i w 2020 r. już 56%", brzmi fragment raportu NIK.

Brakuje także pielęgniarek i innego personelu, który ma kwalifikacje w zakresie pielęgniarstwa geriatrycznego, opieki długoterminowej i paliatywnej bądź pielęgniarstwa zachowawczego. Z kolei lekarze, którzy pracują na oddziałach geriatrycznych, są – co oczywiste przy tych liczbach – przeciążeni pracą. Ci zatrudnieni na kontraktach pracowali często bez przerwy przez 24 godziny lub dłużej. Rekordziści, jak sprawdziła NIK, nawet 120 czy 150 godzin. Takie obciążenie pracą negatywnie wpływa na jakość świadczonej opieki i zwiększa prawdopodobieństwo popełnienia błędu.

Najwyższa Izba Kontroli wyliczyła w raporcie, że średni roczny koszt leczenia seniora (biorąc pod uwagę wszystkie świadczenia) jest o 1380 zł wyższy niż koszt leczenia na oddziale geriatrycznym. NIK przeprowadziła audyt, kontrolując oddziały geriatryczne w szpitalach w okresie od 1 stycznia 2017 r. do 6 października 2021 r. Okazało się, że w pięciu województwach najważniejsze wskaźniki dostępności pogorszyły się – chodzi o liczbę oddziałów szpitalnych, poradni, personelu oraz liczbę pacjentów przypadających na jednego geriatrę. Najgorzej było w Świętokrzyskiem, gdzie na jednego specjalistę przypadało 60 tys. pacjentów. Pierwsze miejsce pod względem jakości opieki zajęło województwo śląskie, tam jednak na wizytę trzeba było czekać najdłużej, bo nawet dwa miesiące. W Warmińsko-Mazurskiem nie zorganizowano ani jednego oddziału geriatrycznego, a w Podlaskiem i Zachodniopomorskiem zaledwie po jednym.

Wanda, 77 lat, pielęgniarka w przychodni: Geriatra? W zasadzie taką rolę odgrywa lekarz, sam dobrze po siedemdziesiątce, który przyjmuje w naszej poradni. Telefon w rejestracji się urywa, a pacjenci przychodzą z chorym sercem, grypą, bolącą nogą i słabą morfologią. Tak jest codziennie. Sama leczę się na depresję u znajomej, a prywatnie, u kardiologa, na serce.

„Kluczowym problemem był brak specjalistów w tej dziedzinie, zarówno lekarzy, jak i pielęgniarek, a także, mimo uznania geriatrii za priorytetową dziedzinę medycyny, brak kompleksowych rozwiązań służących jej rozwojowi", brzmi fragment raportu NIK.

1140 łóżek dla starych ludzi

Mimo że teoretycznie istnieje współpraca między Ministerstwem Zdrowia, oddziałami Narodowego Funduszu Zdrowia i Narodowym Instytutem Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji, działania tych instytucji są niespójne, w efekcie nie zapewniają seniorom odpowiedniej opieki. Zauważmy, że choć powołano ministerialny zespół ds. zdrowotnej polityki senioralnej oraz Narodową Radę Geriatrii i Gerontologii, zespół nie podjął działalności, a rada ostatnio spotkała się w 2016 r.

Choć powołano ministerialny zespół ds. zdrowotnej polityki senioralnej oraz Narodową Radę Geriatrii i Gerontologii, to zespół nie podjął działalności, a rada ostatnio spotkała się w 2016 r.

Całościowa opieka geriatryczna (COG) stosowana jest jedynie w połowie skontrolowanych przez NIK szpitali. Kontrola potwierdza jednocześnie, że taka opieka pozwala na optymalizację nie tylko leczenia, ale i kosztów. To ważne wnioski, bo Polska się starzeje. Z danych GUS wynika, że na koniec 2021 r. liczba ludności wyniosła ok. 38,3 mln, w tym 22,3% stanowiły osoby w wieku poprodukcyjnym (60 lat i więcej); w 2020 r. było to 16,8%. Z kolei prognoza rozwoju demograficznego pokazuje, że w 2050 r. ponad 32% Polaków będzie miało 65 lat lub więcej.

Tymczasem na dzień 1 września 2021 r. w Polsce dla pacjentów 65+ dostępnych było 1140 łóżek geriatrycznych, co stanowi zaledwie 15% potrzeb. Żeby objąć potrzebujących opieką, liczba ta musiałaby wzrosnąć siedmiokrotnie.

■

eprasa.pl 2f577505c6

U Kokoszki hejnał zapieje kogut

Jak **wieś Jadów** jednego dnia zamieniła się w miasto

Ewa Smolińska-Borecka

Ulicę przed Gminnym Ośrodkiem Kultury w Jadowie odcinają dwa wozy strażackie ustawione w poprzek. To na wszelki wypadek, by żaden zagapiony kierowca nie wjechał w tłum ludzi. Trwa właśnie jadowski finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, który po raz kolejny zorganizowały miejscowa Ochotnicza Straż Pożarna i Koło Łowieckie Cyranka. Tegoroczny finał jest o tyle szczególny, że 29 dni wcześniej Jadów przestał być wsią, a stał się miastem.

Kto da więcej

Alejką miejskiego parku, rozpościerającego się na głównym placu, pędzi mężczyzna na wózku inwalidzkim. W ostatniej chwili uskakuję, by nie wpaść pod koła. Mężczyzna szczerze się uśmiecha, więc nie robię uwag o przekraczaniu prędkości. Jest w doskonałym humorze, bez wątpienia z powodu imprezy na rzecz WOŚP. Obdarza mnie komplementami i stwierdza, że na przeprosiny chciałby ucałować moją dłoń. Potem odjeżdża. Brawurowo przejeżdża przez ulicę i znika za rogiem. Ja zaś myślę, że warto było zorganizować tę imprezę, bo nie tylko pozwala zebrać środki na diagnozowanie sepsy, ale też wprawia w dobry humor tych, którzy nie mają zbyt wiele okazji do radości.

W namiotach przed ośrodkiem kultury smakowita oferta, na słodko i słono, m.in. ciasta, grillowana kiełbasa czy karkówka. Chętnych wielu. Zapłata – ile można, ile serce dyktuje, a pieniądze wrzuca się do puszek WOŚP. Dziś już wiele puszek się wypełniło. Panie z czterech kół gospodyń wiejskich: z Nowego Jadowa, Nowinek, Myszadeł i Wujówki, są zadowolone i uśmiechnięte, zachęcają do częstowania się i do wrzucania. Wystarczy chwilę poobserwować, żeby się przekonać, że mieszkańcy gminy, po pierwsze, świetnie się znają, co osobę z dużego miasta zawsze zaskakuje, bo tam człowiek jest anonimowy, a po drugie, są dla siebie serdeczni i się lubią.

W sali widowiskowej trwa zabawa dla dzieci. Wcześniej były występy zespołów muzycznych, potem będą koncerty kolejnych grup i aukcja podarowanych przedmiotów oraz usług, która zasili kolejną puszkę Orkiestry. Przed budynkiem i w sali widowiskowej tłum coraz większy. Z powodu aukcji, ale także zespołu Bobi, który jest hitem wieczoru. W szczytowym momencie w sali jest ponad 200 osób. To dużo jak na gminę, która ma ponad 7 tys. mieszkańców. Dzięki aukcji można się przekonać, że są bardzo hojni i lubią się włączać do społecznego działania. Każdy przedmiot wywołuje ostrą licytację, a cena od początkowej złotówki rośnie nawet do ponad tysiąca, dwa razy osiąga aż 3 tys. zł. Przekazany przez burmistrza medal wybity z okazji odzyskania praw miejskich przez Jadów i nowo wydana książka o historii gminy z wpisem burmistrza osiągnęły ponad 100 zł każda.

W styczniu w Jadowie nie ma zbyt wielu przybyszy spoza gminy. Być może jestem jedyną obcą osobą. W małych społecznościach obcego łatwo zauważyć. Ludzie są trochę nieufni, bo jeśli ktoś zjawia się akurat w dniu finału WOŚP, to nie wiadomo, jakie ma intencje. Po 31 latach tego narodowego zrywu na rzecz

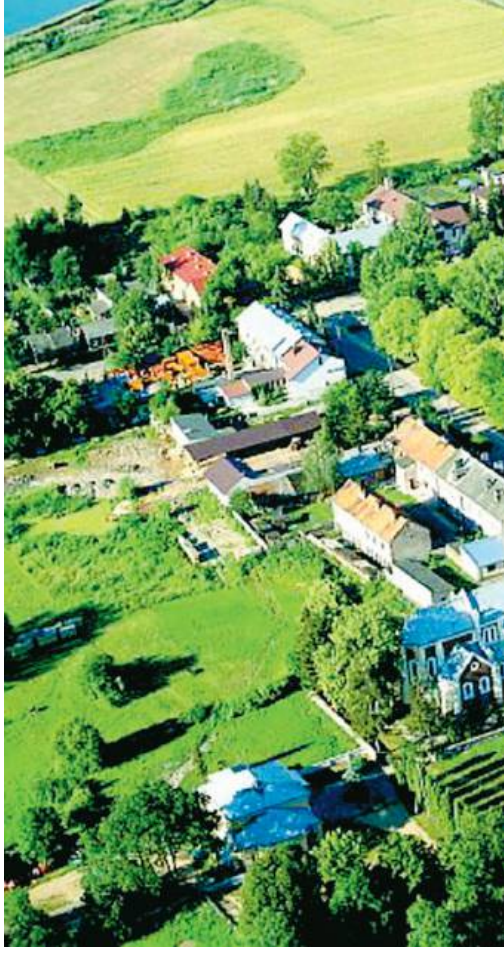

Orkiestry akcja nadal jest hejtowana. Ale tu, w gminie Jadów, wspierają ją chyba wszystkie miejscowe firmy, wolontariusze z puszkami i setki widzów. Jadowianie więc swojego finału WOŚP gotowi są bronić. Wypytują mnie, czy przypadkiem nie przysłał mnie o. Rydzyk.

Co mieszkańcy gminy myślą o tym, że Jadów stał się miastem? Najczęściej nie mają zdania albo mają, ale nie chcą na ten temat się wypowiadać. Dlaczego? Nie wiadomo. Faktem jest, że kiedy w ubiegłym roku przeprowadzano w gminie konsultacje społeczne w tej sprawie, wzięło w nich udział ledwie ponad 8% mieszkańców sołectwa Jadów i ponad 8% mieszkańców pozostałych 27 sołectw gminy. Mężczyzna w średnim wieku mówi: – No cóż, pan wójt chciał zostać burmistrzem. I tyle. Ale to dla nas może też ma jakieś plusy?

Ludzie zauważają jednak raczej minusy. – Boimy się, że wzrosną podatki i opłaty – wyliczają. – Od 1 stycznia wzrosła opłata za śmieci, chociaż w sąsiednich gminach, jak słyszeliśmy, nie wzrosła.

eprasa.pl 2f577505c6

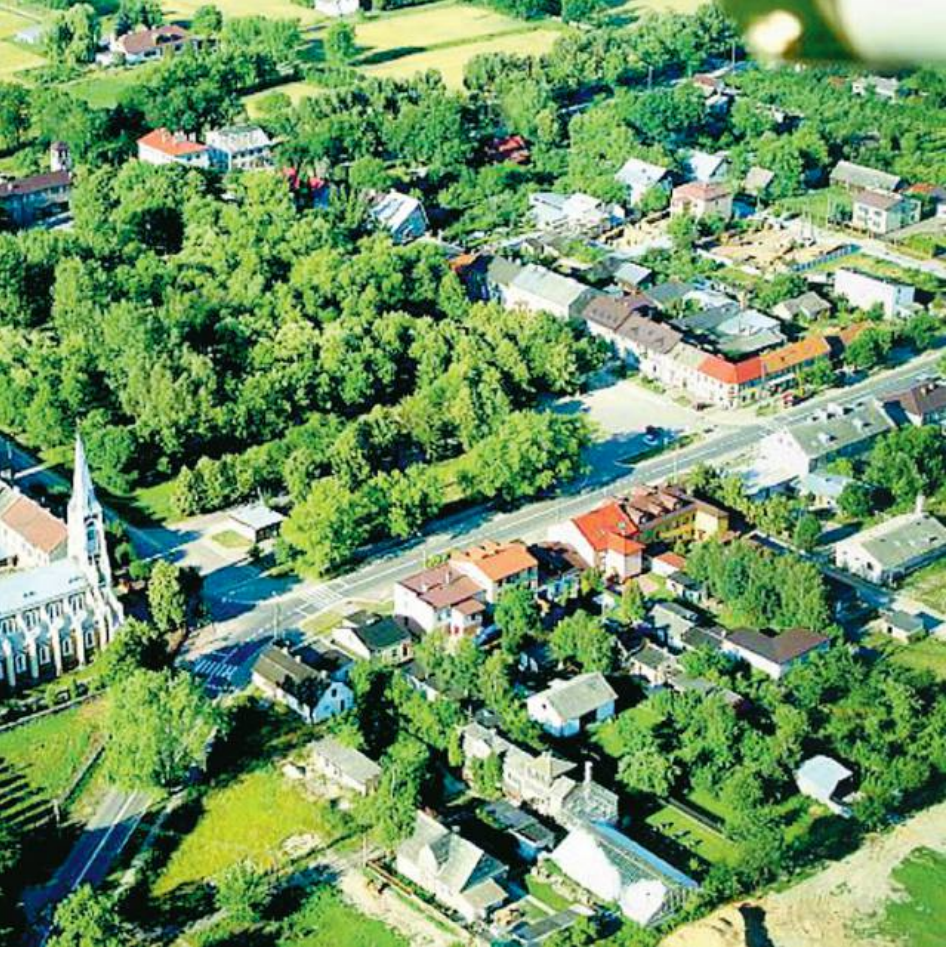

zawodową i technikum. No, może przydałaby się jakaś kawiarnia albo bar. Ale to nie zadanie dla burmistrza. Jest natomiast coś, co zatruwa życie mieszkańcom Jadowa. Komunikacja. Do Warszawy, dokąd większość dojeżdża do pracy, połączenie jeszcze jest dobre. Ale do okolicznych gmin dojechać niełatwo.

O godz. 20, jak stało się tradycją, poleciało „światełko do nieba". A następnego dnia na stronie internetowej WOŚP ukazała się informacja, że sztab w Jadowie zebrał do puszek 28 861 zł, a do e-skarbonki wpłynęło 3100 zł.

Na jarmarku w dzień targowy

Plac Gustawa Orlicz-Dreszera w Jadowie ma kształt warszawskiego placu Konstytucji i jest od niego nieco większy. Betonoza nie zniszczyła pięknego starodrzewu, a park z funduszy unijnych został odnowiony. Z przyjemnością można spacerować alejkami, przysiąść na ławce, poćwiczyć na urządzeniach plenerowej

Jadowski finał WOŚP zorganizowała m.in. miejscowa Ochotnicza Straż Pożarna.

Bo gmina to naczynia połączone, jeśli jakieś regulacje są w Jadowie, muszą być także w pozostałych wioskach.

Co powinno powstać w Jadowie z racji tego, że stał się miastem? Osoby pytane nie zastanawiały się nad tym. Mają gminny ośrodek kultury z przestronną salą widowiskową, który ostatnio w konkursie zdobył projektor i elektrycznie sterowany ekran. Czyli kino nie jest potrzebne. Tym bardziej że w sezonie letnim projekcje filmowe, głównie dla dzieci, organizuje w parku miejskim Jadowskie Stowarzyszenie Historyczne. W mieście działa biblioteka, która w samym Jadowie ma ponad 17 tys. woluminów i 454 czytelników na ponad 900 mieszkańców. A są jeszcze filie w czterech wsiach. Jest Zespół Przedszkolno-Szkolny, który obejmuje nie tylko podstawówkę, ale także szkoły ponadpodstawowe: siłowni czy na placu zabaw dla dzieci, a miłośnicy rzeźb z drewna mają całą kolekcję postaci i ławek. Te figury to efekt plenerów rzeźbiarskich organizowanych przez gminny ośrodek kultury. W pobliżu placu, na tyłach kamieniczek, oddzielony od centrum miasta elewacjami domów, rozciąga się plac targowy.

W Jadowie dniem targowym jest środa. Tak było, kiedy Jadów był wsią, i tak jest teraz, kiedy stał się

eprasa.pl 2f577505c6

miastem. Gdy panuje przenikliwy chłód i siąpi deszcz, jak tej środy, kupujących nie ma zbyt wielu, choć prawie 130 stanowisk mieści się pod dachem. Jeśli pytać sprzedających, czy podnieśli ceny z tego powodu, że targowisko funkcjonuje teraz w mieście, to zaprzeczają. Kiedy zaś spytać kupujących, czy ceny wzrosły – ci wahają się. Bo jak tu stwierdzić, czy ruchy cenowe są wynikiem inflacji, czy spowodowała je zmiana statusu miejscowości? Stoją przed straganami i wytężają pamięć, żeby przypomnieć sobie ubiegłoroczne, wiejskie ceny. – Jabłka to chyba tyle samo kosztowały, ziemniaki też i pietruszka – zastanawia się kobieta w średnim wieku. – Pani zobaczy, pęczek koperku za 6 zł! Czy to nie skandal?! – potrząsa zdenerwowana zielonymi gałązkami. Ale po chwili się uspokaja. – No tak, w zeszłym tygodniu był za 3 zł, ale pęczek był ze dwa razy mniejszy.

Mężczyzna pcha rower obwieszony zakupami. Na bagażniku i ramie m.in. kilkadziesiąt kilogramów ziemniaków, wiele bochenków chleba. Rowerzysta mówi, że przyjeżdża na targowisko w Jadowie, bo to się opłaca, chociaż mieszka jakieś 4 km od miasta. Obok, też z rowerem, ale pustym, jego sąsiad z tej samej miejscowości. Oni, jako ludzie z sąsiedniej gminy, nie decydowali o tym, czy Jadów zostanie miastem. Na pytanie, czy ta zmiana ze wsi na miasto będzie korzystna dla mieszkańców Jadowa, zastanawiają się. – Eeee… – waha się ten z ziemniakami. – Eeee… – wtóruje mu ten z pustym rowerem. I ostatecznie stwierdzają, że albo nic się nie zmieni, albo się pogorszy.

Pojawia się miejscowy biznesmen, który lubi zajrzeć na targowisko. Czy się cieszy, że teraz mieszka w mieście? Raczej nie. Jest przekonany, że więcej z tego będzie kłopotu niż pożytku. Bo nawet jeśli teraz ceny czy opłaty wzrosły nieznacznie lub wcale, to jeszcze nic nie znaczy. Wzrosną, nie ma przebacz.

Minusów nie ma

Burmistrz Dariusz Kokoszka do fotografii założył krawat, choć na co dzień tego nie robi, kiedy idzie do pracy. Mówi, że jeszcze nie przyzwyczaił się do nowego stanowiska i gdy słyszy: „Panie burmistrzu", to ciągle się dziwi. I jeszcze jedno go wciąż zaskakuje – choć od 1 stycznia, kiedy Jadów stał się miastem, minęło już wiele dni, nie słabnie zainteresowanie mediów i potencjalnych usługodawców. Ale ciekawość mediów wynika też z innego powodu. – We wrześniu ub.r. nasi poszukiwacze z Jadowskiego Stowarzyszenia Historycznego znaleźli w Jadowie 14 monet krzyżackich pochodzących z drugiej połowy XIV w., a więc starszych niż najstarsze wzmianki o miejscowości – podkreśla burmistrz Dariusz Kokoszka. – W grudniu archeolodzy z Warszawy znaleźli kolejne cztery monety. To prawdopodobnie największy krzyżacki skarb znaleziony na Mazowszu.

Jadów ma prawdziwy rynek i park odnowiony z funduszy unijnych.

Pierwsze wzmianki o Jadowie pochodzą z 1424 r. 51 lat później wieś otrzymała prawo organizowania jarmarków, co dało zastrzyk energii do rozwoju miejscowości. Ale dopiero w 1823 r., kiedy była własnością hrabiego Stanisława Zamoyskiego herbu Jelita, dzięki jego zabiegom uzyskała status miasta. Miastem był Jadów jedynie 47 lat, bo w roku 1870 car rosyjski prawa miejskie mu odebrał jako karę za wsparcie powstania styczniowego. Czy ich odzyskanie teraz jest z kolei nagrodą za wsparcie dla rządzących?

– Nie, moim zdaniem to wyrównanie krzywd, które nam wyrządzono przed laty, sprawiedliwość dziejowa – twierdzi burmistrz. – A jeśli chodzi o współpracę z rządzącymi, samorząd musi z nimi współpracować dla dobra mieszkańców. Na szczeblu gminy nie ma polityki, wspólnie rozwiązujemy problemy. Przygotowywaliśmy się do odzyskania praw miejskich przez wiele lat. Istotne było

eprasa.pl 2f577505c6

to, czy miejscowość ma odpowiednią infrastrukturę. W Jadowie mamy wszystkie media: wodę, kanalizację, gaz i światłowód. Ale bez wątpienia liczyła się też historia Jadowa, fakt, że wcześniej już był miastem. Z 15 miejscowości, które 1 stycznia 2023 r. otrzymały prawa miejskie, aż 12 kiedyś już było miastami.

– Kiedy występuje się o prawa miejskie, ważna jest również struktura zatrudnienia mieszkańców – kontynuuje Dariusz Kokoszka. – Gdyby większość była rolnikami, nie moglibyśmy o nie się ubiegać. Ale u nas większość to osoby pracujące poza rolnictwem, w Warszawie i w gminie. Ważne było także, czy mieszkańcy Jadowa i gminy chcą, by wieś stała się miastem. Przeważająca większość osób, które wzięły udział w konsultacjach społecznych, odpowiedziała, że tak.

To prawda. Ale w konsultacjach wziął udział nikły procent mieszkańców. Dla większości było to obojętne. – Faktycznie, bardziej tym odzyskaniem praw miejskich ekscytują się osoby mieszkające poza gminą niż miejscowi – przyznaje burmistrz. I dodaje. – Istotne było też to, że zabudowa Jadowa ma charakter miasteczka. Centralnym miejscem jest rynek, plac gen. Orlicz-Dreszera, wokół którego są najważniejsze instytucje świeckie i kościelne – w tym sanktuarium Świętego Krzyża z relikwiami Świętego Krzyża. Te czynniki, które wymieniłem, dają całość. Absolutnie nie ma znaczenia liczba mieszkańców. My mamy ponad 900, więc jest to małe miasteczko, ale nie najmniejsze.

Władzom ówczesnej wsi, czyli wójtowi i radzie gminy, zależało na tym, żeby prawa miejskie uzyskać w tym roku, kiedy przypada 200. rocznica ich poprzedniego nadania. – Zacząłem dokładnie analizować wszystkie za i przeciw – wspomina Dariusz Kokoszka. – Okazało się, że nie ma żadnych minusów, bo wszystkie przywileje wsi nam zostają, czyli np. środki zewnętrzne z Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich czy dodatek wiejski dla nauczycieli. Za to z racji tego, że staliśmy się miastem, mamy dużo plusów, m.in. środki zewnętrzne dla miast, które w perspektywie będą dość pokaźne. Już dwa razy spotkałem się z tym, że coś jest tylko dla miasteczek, a dla wsi nie. Poza tym sam fakt nadania praw miejskich przyniósł nam rozgłos i promocję za darmo. Mam telefony od osób, które chciałyby zarobić na tym, że staliśmy się miastem. Na przykład ktoś zaproponował, że skomponuje hejnał, oczywiście nie za darmo. Spytałem go: „Czy otrzymamy go razem z wieżą?”, bo poza wieżą sanktuarium innej nie mamy. Poza tym, żartując z mojego nazwiska, Kokoszka, śmieję się, że w mieście, którym rządzę, hejnał musiałby piać kogut. Myślę, że prawa miejskie znajdą pozytywny odzew w całej gminie. Nie chcemy być metropolią z blokami i fabrykami. Chcemy być małym, fajnym, przyjaznym miasteczkiem, w którym dobrze się mieszka. A jesteśmy też otwarci na turystów, na gości, którzy tu chętnie przyjeżdżają i dobrze się u nas czują.

Dariusz Kokoszka jeszcze się nie przyzwyczaił do nowego stanowiska i gdy słyszy: „Panie burmistrzu”, to ciągle się dziwi.

Ale mieszkańcy, jak to mieszkańcy, podejrzewają, że burmistrzowi ta zmiana statusu musiała się opłacać. Zastanawiają się, czy z tego powodu otrzymał podwyżkę wynagrodzenia. Dariusz Kokoszka twierdzi, że nie. Pensja nie zależy od statusu miejscowości. Podobnie jak pensje urzędników samorządowych i diety radnych.

A kto, jak można sądzić, stracił na tym, że Jadów zmienił się w miasto? Pani sołtys sołectwa Jadów, bo sołectwo chyba przestało istnieć? – A tu panią zaskoczę – mówi burmistrz. – Zdecydowaliśmy, że nie będziemy tworzyć dzielnicy, co można by zrobić, ale zostanie sołectwo.

Ludzie jednak, zamiast się cieszyć z tego, że Jadów jest miastem, boją się o swój byt. Bo już zauważyli podwyżki podatków i opłat za śmieci. Burmistrz zapewnia, że nie ma to nic wspólnego ze zmianą statusu miejscowości. Podatki wzrosły przez inflację, opłaty za śmieci z tego samego powodu, ale i dlatego, że wzrosła ilość śmieci.

Same superlatywy

Proboszcz parafii Świętego Jakuba Apostoła i sanktuarium Świętego Krzyża ks. Bogdan Lewiński staje w uchylonych drzwiach plebanii. Wydaje się zaskoczony, choć pewnie wcześniej gospodyni powiedziała mu, że pytali o niego ludzie z gazety. I że jeszcze się pojawią. Pod jego opieką jest 3800 parafian, czyli ponad połowa mieszkańców gminy. Właściwie nie ma nic konkretnego do zakomunikowania w sprawie zmiany statusu miejscowości. – Same superlatywy mogę powiedzieć – stwierdza krótko, co oznacza, że tę zmianę popiera. – Pisać, pisać i będzie pięknie.

Pytany, czy datki zbierane na tacę będą większe niż wcześniej, tłumaczy, że nie. – Znaczenie ma nie to, czy wierni są z miasta, czy z wioski, tylko ich hojność – mówi. Czy jego parafia, od kiedy kościół ma siedzibę w mieście, awansowała w hierarchii kościelnej? Nie. O to, czy „co łaska” za różne posługi będzie teraz wyższe, dyplomatycznie nie pytam.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE (4)

eprasa.pl 2f577505c6

Pomoc na już i na przyszłość

Walka ze skutkami trzęsienia ziemi w Turcji i Syrii potrwa jeszcze długie lata

Mateusz Mazzini

W takich sytuacjach zawsze powtarza się trywialne stwierdzenie, że najważniejszy jest czas. Trzeba jak najszybciej dotrzeć na miejsce katastrofy i próbować odnaleźć tych, którzy mogli przeżyć zawalenie się ich domów, bloków czy miejsc pracy. Tu obowiązują bardzo ścisłe ramy, w których należy się poruszać. Marian Sajnog, polski ratownik z GOPR, opisał je bardzo plastycznie w niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Polityka", mówiąc, że wszystko kręci się wokół trójki. Trzech minut bez tlenu, trzech dób bez wody i 33 dni bez jedzenia, które jest w stanie wytrzymać człowiek. Tyle teoria, bo praktyka często bywa inna. Założenia te nie biorą pod uwagę uszkodzeń ciała, których można doznać w walącym się budynku. Nie mówią też nic o warunkach panujących na zewnątrz, a te były największym przeciwnikiem służb uczestniczących w akcji ratunkowej w Turcji i Syrii. W chwili powstawania tego tekstu, 7 lutego wieczorem, temperatura w Gaziantep, największym mieście w okolicach epicentrum trzęsienia ziemi, wynosiła w dzień minus 1 st. C. Nocą i przy silnym wietrze była jeszcze niższa. Dodatkowo prognozowano przelotne opady deszczu i śniegu. Wstrząs nastąpił o godz. 4.17 nad ranem, ktokolwiek zatem przeżył katastrofę, znalazł się pod gruzami w takim ubraniu, w jakim kładł się spać. Dlatego oprócz urazów, szoku, braku tlenu, wody i jedzenia do listy przeciwników ekip ratunkowych dopisać należy hipotermię.

FOT. ABACAPRESS/FORUM

eprasa.pl 2f577505c6

8 lutego 2023 r. Akcja ratownicza w tureckim Hatay po trzęsieniu ziemi.

Bez względu na to, jak wielka ostatecznie okaże się skala trzęsienia, jedno wiadomo od razu: ani Turcy, ani tym bardziej Syryjczycy sami nie uporają się z jego skutkami. Ani natychmiastowymi, czyli tysiącami ludzi uwięzionych pod gruzami, ani długookresowymi. Mnóstwo osób straciło życie, jeszcze więcej dach nad głową. Wstępne wyliczenia Caritasu wskazują, że pomocy humanitarnej potrzebuje już teraz 4,1 mln osób. Liczba ta może oczywiście wzrosnąć w kolejnych tygodniach, jednak dobrze pokazuje skalę koniecznego wsparcia. Setki tysięcy osób nie będą w stanie wrócić do swoich domów, bo tych albo zwyczajnie już nie ma, albo grożą zawaleniem i nie nadają się do ponownego zamieszkania. Dlatego, mimo że w akcjach ratunkowych liczy się czas, nie wolno zapomnieć, że jest on pojęciem relatywnym, a skutki takiej katastrofy będą ogromne bez względu na to, jaki horyzont zdarzeń przyjmiemy.

Wyzwania dla ratowników

Już w pierwszych godzinach po trzęsieniu ziemi pomoc Turcji zadeklarowało 30 państw i Unia Europejska, oferując szeroką gamę instrumentów i działań przydatnych w takich sytuacjach. W większości są to ekipy ratunkowe, których liczebność waha się od kilkunastu do ponad 100 osób. W tej chwili to pomoc najważniejsza, bo wyszkolonych ludzi na miejscu brakuje najbardziej. Nie tylko do szukania ofiar, ale i do zarządzania tymi, którzy przeżyli. Materiały telewizyjne z południa Turcji, wyemitowane m.in. przez BBC i Al-Dżazirę, pokazały bowiem dziesiątki osób, które próbują przeszukiwać rumowiska na własną rękę. Czasami słyszą wołania o pomoc, czasami są po prostu w szoku i pcha ich desperacja. To samo w sobie stanowi zagrożenie, nie tylko dlatego, że cywile przeszkadzają ratownikom.

Ruiny budynków mogą być śmiertelnie niebezpieczne. Z instalacji często ulatnia się gaz, sterty kamieni są niestabilne, nie mówiąc o wstrząsach wtórnych, które w południowej części Turcji miały miejsce jeszcze po kilkudziesięciu godzinach od głównego trzęsienia. W dodatku szukanie żywych pod gruzami to praca niezwykle wyczerpująca fizycznie, żaden ratownik nie jest w stanie wykonywać jej bez przerwy w wielogodzinnym cyklu. Ważne zatem, żeby w okolice epicentrum jak najszybciej dostało się jak najwięcej wykwalifikowanego personelu.

Samo to może się okazać wyzwaniem, bo w wyniku trzęsienia ziemi mocno ucierpiała turecka infrastruktura. Kluczowy jest więc transport lotniczy i użycie helikopterów. A na miejscu inteligentne rozlokowanie dostępnych zasobów. Doświadczeni w akcjach ratunkowych lekarze i strażacy podkreślają, że często pierwszą barierą do sforsowania jest język. Obszary objęte tą katastrofą to głównie tereny wiejskie, głębokie peryferie, gdzie znajomość angielskiego jest słabsza niż w dużych miastach. Dlatego lokalnych ratowników z reguły deleguje się do zadań organizacyjnych, kontaktu z władzami publicznymi i zarządzania cywilami. Ratownik z zagranicy to człowiek na tej ziemi obcy, co jednak może być sporym atutem. Nie jest emocjonalnie związany z miastem czy wsią, nie stracił tu rodziny, nie cierpi z powodu narodowej klęski. Może więc chłodno ocenić sytuację i skierować siły tam, gdzie ma to największy sens.

Ofiary lepsze i gorsze

Miejsce katastrofy to zawsze grząski teren, dosłownie i w przenośni. Gęsto od emocji, często tych złych, choć jak najbardziej zrozumiałych. Dlatego poza ratownikami potrzeba ekspertów z innych dziedzin. Czesi, Amerykanie, Izraelczycy i Grecy do Turcji wysłali też inżynierów, którzy być może zostaną na miejscu dłużej niż reszta ekip. Ich wiedza wykorzystywana będzie w ocenie skutków trzęsienia dla poszczególnych budynków i ryzyka kolejnych zawaleń. Desperacko wręcz potrzeba psychologów, ale tu znów kłaniają się problemy językowe. Dlatego kraje, które nie mają odpowiednio przeszkolonych specjalistów, oferują po prostu pieniądze. Dotacje celowe przekazywane na konta organizacji pomocowych. Tak zrobiła Nowa Zelandia, przesyłając 632 tys. dol. tureckiemu Czerwonemu Półksiężycowi i połowę tej sumy syryjskiemu odpowiednikowi tej organizacji. Chiny każdemu z tych podmiotów przesłały po 200 tys. dol.

Tyle, jeśli chodzi o deklaracje. Realizacja tej pomocy to wyzwanie samo w sobie, bo na obszarach zrujnowanych wstrząsami sytuacja zmienia się z minuty na minutę. Dlatego zagraniczne ekipy potrzebują partnerów na miejscu. Co ciekawe, nie zawsze są to partnerzy oficjalni, czyli rządowi. Przynajmniej tak samo ważne jest wciągnięcie w proces organizacji pozarządowych, zwłaszcza zajmujących się pomocą humanitarną na co dzień. Po pierwsze, ich pracownicy są przyzwyczajeni do pracy w szkieletowych, permanentnie niedofinansowanych strukturach, mierząc się z brakami personelu. Po drugie, często są aktywni właśnie na obszarach wiejskich, poza dużymi miastami. Po trzecie, co znowu kluczowe w kontekście turecko-syryjskiej katastrofy, mają doświadczenie w pracy z osobami głęboko straumatyzowanymi. A takich w tej części świata nie brakuje.

Według danych Human Rights Watch na terenie Turcji na co dzień przebywa 3,6 mln uchodźców syryjskich – ofiar wojny domowej. Prawie milion mieszka właśnie w prowincjach Hatay, Gaziantep i Şanliurfa, najbardziej dotkniętych skutkami wstrząsów, jak wylicza Biuro Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców. Oznacza to, że ci, którzy przeżyli

Pomoc jest potrzebna nie tylko do szukania ofiar, ale też do zarządzania tymi, którzy przeżyli.

eprasa.pl 2f577505c6

tragedię zbrojnego konfliktu, znajdują się teraz w krytycznej sytuacji, z uwagi na brak dostępu do jedzenia czy energii elektrycznej, ale również ograniczone szanse na pomoc ze strony tureckiego rządu.

Z wpływem trzęsienia ziemi na los uchodźców trzeba będzie się zmagać długie tygodnie. Ważne jednak, żeby już teraz nie różnicować ofiar katastrofy, nie dzielić ich na lepsze i gorsze ze względu na narodowość czy wyznanie. Zwłaszcza że w wyniku wstrząsów w samej Turcji kilkaset tysięcy osób stanie się uchodźcami we własnym kraju. Trzęsienie ziemi zniszczyło całe wioski czy dzielnice, powrót do nich w tej chwili jest wykluczony, a odbudowa nie zamknie się nawet w ciągu kilku lat. Poszkodowanych czeka wewnątrzkrajowa migracja i wszystkie procesy z nią związane: szukanie pracy w nowym środowisku, próby osiedlenia się z dala od domu rodzinnego, konieczność przekwalifikowania się, przeżycia w wielkim mieście. W ten sposób kryzys wywołany katastrofą naturalną bardzo szybko może się przerodzić w kryzys natury społecznej i ekonomicznej.

W wyniku wstrząsów w samej Turcji kilkaset tysięcy osób stanie się uchodźcami we własnym kraju.

Żeby temu zapobiec, przynajmniej w części, współpraca zagranicznych ekip ratunkowych, ale i rządów czy służb dyplomatycznych, z lokalnymi partnerami z trzeciego sektora jest absolutnie kluczowa. Mowa tu nie tylko o wspomnianych charytatywnych instytucjach religijnych, ale także o organizacjach czysto pomocowych, takich jak International Rescue Committee (IRC), Międzynarodowy Komitet Ratunkowy, którego przewodniczącym jest w tej chwili były szef brytyjskiego MSZ, laburzysta David Miliband. IRC ma na terenie Turcji ponad tysiąc pracowników i wolontariuszy i już prowadzi działania pomocowe po obu stronach granicy. Na przykładzie tej organizacji widać, jak szeroko zakrojona musi być akcja, bo IRC robi dosłownie wszystko, od rozdawania żywności, środków higieny osobistej i koców, przez pomoc medyczną, po bezpośrednie transfery pieniężne oraz pomoc w identyfikowaniu ciał i znajdowaniu informacji na temat zaginionych bliskich.

Podobną rolę odgrywają Białe Hełmy, instytucja znana dzięki zaangażowaniu humanitarnemu na terenach ogarniętych wojną domową w Syrii. W opublikowanym we wtorek 7 lutego apelu jeden z wolontariuszy Hełmów, Ismail Alabdullah, pisał, że najważniejszym wyzwaniem pozostaje transport rannych do szpitali i punktów medycznych. Tych w Syrii brakuje na co dzień, a część została uszkodzona w wyniku trzęsienia ziemi. Niektórym rannym da się pomóc na miejscu, inni wymagają natychmiastowych zabiegów lub długotrwałego leczenia i rehabilitacji. To kolejne pole do popisu dla społeczności międzynarodowej – nie zapomnieć o Syryjczykach, tych u siebie w kraju i tych w Turcji. Zapewnić im pomoc nie tylko w formie działań strażaków z psami ratowniczymi, ale też poprzez odbudowę tego, co potrzebne na co dzień.

Problem długoterminowy

Wreszcie pozostaje potrzeba pomocy długoterminowej i sporo racji ma ten, kto powie, że to tutaj problemów będzie najwięcej. Lada moment opadnie kurz po zawalonych budynkach, a wraz z nim – medialne zainteresowanie i uwaga całego świata. Pozostaną miliony osób w kryzysie, tysiące przeżywających głębokie traumy. Na to zapewne nałożą się istniejące spory wokół uchodźców i polityk migracyjnych. Dlatego kluczowe jest, by wysiłki związane z odbudową i zarządzaniem (po) kryzysowym w Turcji i Syrii nie stały się przedmiotem sporów w polityce międzynarodowej.

Niestety, nie znamy jeszcze nawet pełnego bilansu ofiar, a już rozpętywane są awantury dyplomatyczne. Za pierwszą odpowiada Bassam Sabbagh, syryjski ambasador przy Narodach Zjednoczonych, który w dość autorytarny sposób stwierdził w poniedziałek 6 lutego, że to władze w Damaszku powinny być w całości odpowiedzialne za koordynowanie pomocy międzynarodowej na terytorium Syrii, wliczając w to obszary, których rząd Baszara al-Asada w tej chwili nie kontroluje.

Na stołeczne lotnisko trafiają coraz liczniejsze transporty humanitarne, ale nie wszystkie rządy chcą współpracować z dyktatorem, nawet przy ratowaniu ludzkich istnień. W kolejnych dniach problem będzie narastał, bo władze centralne nie przepadają za instytucjami choć trochę kontestującymi ich politykę, w tym Białymi Hełmami. W dodatku, jak zauważa cytowany przez „Guardiana" Mark Lowcock, były wysoki rangą urzędnik ONZ ds. pomocy humanitarnej, większość obszarów Syrii dotkniętych katastrofą znajduje się pod kontrolą sił opozycyjnych, wspieranych przez Turcję. Ten kraj przyjął już zdecydowaną większość personelu ratowniczego – według danych rządu w Ankarze 7 lutego zagranicznych ratowników aktywnych w Turcji było prawie 3,3 tys. Ilu dotarło do Syrii? Nie wiadomo, ale na pewno o wiele mniej. W obliczu napięć politycznych i utrudniania całego procesu przez Damaszek sytuacja ta zapewne długo się nie zmieni, o ile w ogóle. I być może właśnie to jest największą tragedią w kontekście ubiegłotygodniowego trzęsienia ziemi. Nawet w obliczu tysięcy ofiar śmiertelnych górę biorą kalkulacje polityczne. Jeśli widok wyciąganych spod gruzów ciał nie jest w stanie tego zmienić, trudno się spodziewać, by cokolwiek innego to zrobiło.

Nie znamy jeszcze pełnego bilansu ofiar, a już rozpętywane są awantury dyplomatyczne.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2f577505c6

NOWA HUTA otrzymała tytuł

Pomnika Historii

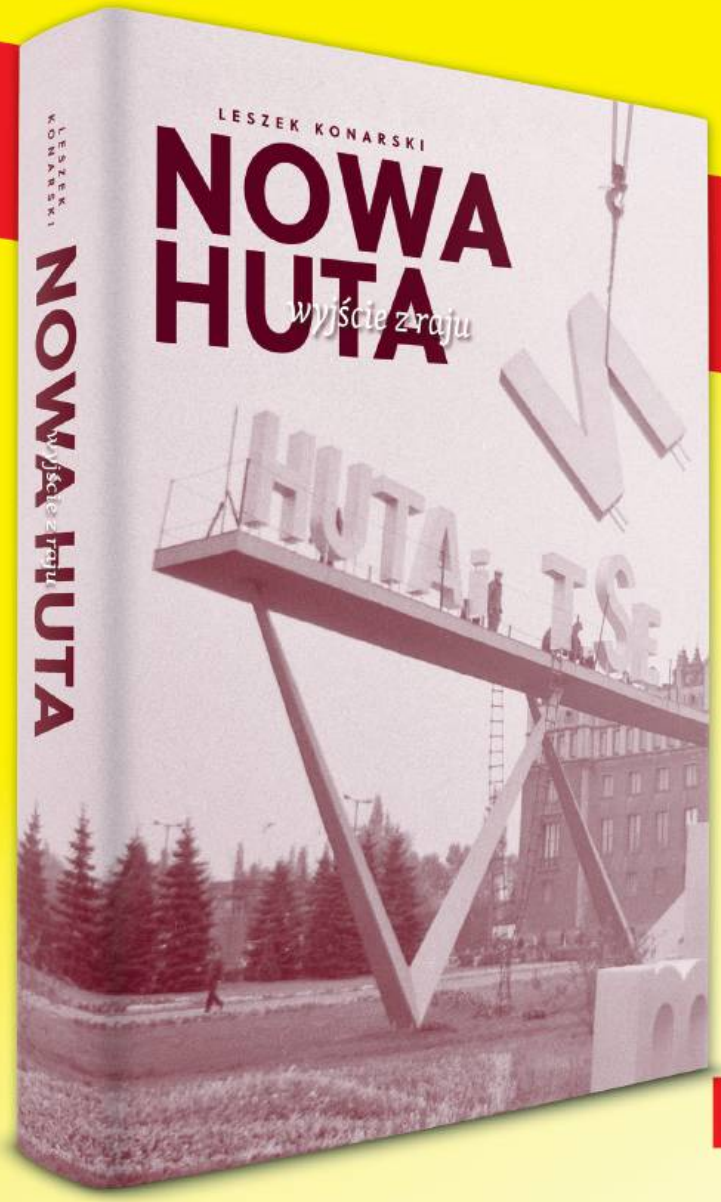

TĘ KSIĄŻKĘ WARTO PRZECZYTAĆ!

O tych, którzy budowali socjalistyczne miasto.

O marzeniach o idealnym mieście i szczęśliwym życiu.

~~49 zł~~ 39 zł

Książka Leszka Konarskiego znalazła się wśród 15 finalistek GRAND PRESS – Książka Reporterska Roku 2020!

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +12,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 2f577505c6

Jak to zrobili Finowie

Byli na łasce ZSRR, są niezależni. Byli biedni, są bogaci

Rozmawia Robert Walenciak

Finlandia znalazła się pod koniec II wojny światowej w grupie państw pokonanych. Była praktycznie na łasce ZSRR. W dodatku było to państwo biedne, dość zacofane gospodarczo. Jak udało się Finom wyjść z tej sytuacji? Obronić niepodległość i zbudować dobrobyt?

Panie ambasadorze, zacznijmy od roku 1944. Jak to się stało, że Rosjanie nie wkroczyli do Finlandii? I nie zaprowadzili tam komunizmu?

– Panie redaktorze, chyba lepiej jednak zacząć od roku 1940. Finlandia przegrywa wojnę zimową, rozpoczętą przez ZSRR 30 listopada 1939 r., ale zachowuje to, co najważniejsze – niepodległość, a Armia Czerwona ponosi w czasie walk horrendalne straty. W 1941 r. Finowie chcą rewanżu i odzyskania utraconych ponad rok wcześniej obszarów. Przyłączają się zatem do III Rzeszy. Jednak latem 1944 r. przychodzi czas generalnej ofensywy Armii Czerwonej.

Rosjanie chcieli złamać opór armii fińskiej, wysłali więc przeciwko niej ok. 400 tys. dobrze wyposażonych żołnierzy, ale wojska radzieckie zostały wtedy, z niemiecką pomocą, zatrzymane w bitwach obronnych. Wkrótce okazało się, a był to już początek lipca 1944 r., że inne obszary działań stały się ważniejsze dla ZSRR.

Mając w pamięci wojnę zimową

To był czas wielkich radzieckich zwycięstw operacji Bagration i niemieckich klęsk.

– Dlatego Stalin przeniósł wojska z frontu fińskiego na te inne, ważniejsze z jego punktu widzenia kierunki. Berliński, rumuński, węgierski… Kiedy więc Finowie zawarli rozejm we wrześniu 1944 r., na obszarze ich kraju w granicach z roku 1940 nie było Armii Czerwonej.

Na razie…

– Jednak Rosjanie do kolejnej wojny z Finlandią się nie palili. Już w 1944 r., gdy negocjowano porozumienie rozejmowe, Stalin powiedział stojącemu na czele fińskiej delegacji Juho K. Paasikiviemu, późniejszemu prezydentowi: „Wy swojemu marszałkowi wiele zawdzięczacie".

Miał na myśli Carla Gustafa Mannerheima.

– Tak. Natomiast przy innej okazji Paasikivi powiedział radzieckiemu dyktatorowi: „Ja jestem już stary, ale musicie pamiętać, że jeśli wkroczycie do Finlandii, to będą do was strzelać zza każdego krzaka i kamienia". I Stalin chyba brał to pod uwagę.

Szczególnie po doświadczeniach wojny zimowej i roku 1944.

– Proszę zobaczyć, Rosjanie w wojnie na Ukrainie stracili przez niecały rok ok. 130 tys. żołnierzy. A w czasie wojny zimowej 1939-1940 według różnych szacunków tylko w ciągu trzech i pół miesiąca – niemal 250 tys. ludzi! Myślę, że Stalin nie miał już także pełnego zaufania do fińskich komunistów. Oni przed wojną zimową, w 1939 r., przekonywali w Moskwie, że kiedy tylko żołnierze Armii Czerwonej przekroczą granicę, fińska klasa robotnicza natychmiast wznieci powstanie i rządzący Finlandią reakcyjny reżim upadnie. Nic takiego się nie stało. To pokazało Moskwie, że trzeba ostrożnie, że Finlandia to niewygodny przeciwnik, a strategicznie w sytuacji wytworzonej w wyniku II wojny światowej nie aż tak ważny jak wcześniej.

Porównując z Polską – my też mieliśmy słabą partię komunistyczną, ale zupełnie inne położenie. Można rzec: kluczowe.

– I mieliśmy już na swoim obszarze wojska radzieckie. A to przesądzało sprawę. Bardzo chętnie porównuje się sytuację Finlandii z sytuacją Czechosłowacji, bo stamtąd po II wojnie światowej armia radziecka się wycofała. Ale armia czechosłowacka, która przyszła z ZSRR, była całkowicie zinfiltrowana przez komunistów. Natomiast armia fińska była zupełnie inna.

JAROSŁAW SUCHOPLES
– były ambasador RP w Helsinkach

eprasa.pl 2f577505c6

Antykomunistyczna.

– W pewnym okresie zdominowana przez fińskich komunistów była policja. Stało się tak, gdy pod presją radziecką Finowie musieli dopuścić komunistów do rządu i kiedy w latach 1946-1948 komunista Yrjö Leino był ministrem spraw wewnętrznych. Ale w roku 1948, kiedy doszło do sytuacji kryzysowej i zdawało się, że Finlandii grozi przewrót komunistyczny…

…czyli scenariusz czechosłowacki!

– On groził, ale do niego nie doszło. Dlatego, że władze miały siłę w postaci armii. Policję rozwiązano, przez pewien czas jej funkcję pełniło wojsko. A potem policję zorganizowano od nowa, już bez komunistów. Ponadto wtedy obowiązywało już Porozumienie o przyjaźni i pomocy wzajemnej z ZSRR.

Wybór Stalina

No właśnie, a co na to Moskwa?

– W latach 1944-1947 nadzór nad Finlandią sprawowała Aliancka Komisja Kontroli, złożona z przedstawicieli ZSRR i Wielkiej Brytanii, z Andriejem Żdanowem na czele. Amerykanów w niej nie było, bo USA nie wypowiedziały Finlandii wojny, a tylko w 1944 r. zerwały stosunki dyplomatyczne. Brytyjczycy dostali z Londynu zalecenie: macie się nie wtrącać, Finlandia to domena Rosjan. A Finowie przyjęli taktykę taką jak zawsze: jeżeli podjęliśmy jakieś zobowiązanie, to musimy je wypełnić. I zrobili wszystko, żeby wykonać warunki rozejmu, które później stały się warunkami pokoju zawartego w lutym 1947 r. Rosjanie zwlekali z jego ratyfikacją.

Dlaczego?

– Żeby jak najdłużej utrzymać bezpośredni wpływ na sytuację w Finlandii. Dopóki nie było ratyfikowanego pokoju, działała Aliancka Komisja Kontroli. Dlatego ZSRR ratyfikował go ponad pół roku później, we wrześniu.

I to był dodatkowy czas na zbudowanie radzieckich wpływów.

– Niby tak, ale fińscy komuniści zorientowali się już, że przywódcy ZSRR nie są przekonani do idei przewrotu w Finlandii, a bez radzieckiego poparcia nie śmieli podjąć takich radykalnych działań. Przecież nawet gdy rząd rozwiązał tę opanowaną przez komunistów policję, nie doszło do jakiejś próby rebelii. Tymczasem władze fińskie wszystkie warunki zawieszenia broni, a potem pokoju, wypełniały, żeby tylko Rosjanie nie mieli powodu do bezpośredniej ingerencji. I w tym duchu zawarte zostało w kwietniu 1948 r. wspomniane Porozumienie o przyjaźni i pomocy wzajemnej – my nie dopuścimy do tego, by terytorium Finlandii zostało wykorzystane do agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu, nie zaangażujemy się w żaden sojusz skierowany przeciwko ZSRR, a wy nie będziecie podejmować działań zmierzających do podważenia demokratycznego charakteru naszego państwa. I wtedy Finowie mogli już rozwiązać policję zdominowaną przez komunistów i pozbyć się ich z rządu.

Finom udało się przekonać Stalina, że nie musi montować komunistycznego reżimu w ich kraju?

– Nie ująłbym tego tak. Swoją rolę odegrało więcej czynników. Z pewnością Stalin wiedział, że Finlandia jest na jego łasce i że będzie posłuszna. Czytałem taki materiał o wydarzeniach z roku 1950. To było kilka miesięcy przed wybuchem wojny w Korei i później, w pierwszych miesiącach jej trwania. Wtedy Amerykanie zastanawiali się, co zrobić, jeśli Rosjanie wejdą do Finlandii. I wniosek był taki: damy jej wsparcie moralne i dyplomatyczne. To wszystko. Uznaję tę argumentację, bo nic nie można było zrobić. Kraj z ponad 1,3 tys. km granicy z ZSRR, gdzieś tam, w stosunkowo odległym zakątku Europy. Co więcej można by zrobić?

Z zagrożenia uczynili atut

Na dodatek biedny.

– Wtedy jeszcze tak. Chociaż Finowie mają niesamowitą zdolność robienia czegoś z niczego. Nawet ze swojej biedy, trudnej sytuacji, potrafili uczynić atut. Kiedy spłacali reparacje, to Rosjanie życzyli sobie nie pieniędzy, ale towarów: dajcie nam ileś tam maszyn czy statków, ale też np. gotowych drewnianych domów. Musieli zatem stworzyć, niekiedy od podstaw, całe gałęzie przemysłu. Co ciekawe, produkcja domów modułowych ruszyła już w czasie wojny na potrzeby przesiedleńców z obszarów utraconych na rzecz Związku Radzieckiego. W 1945 r. pewna liczba takich domków przez ZSRR trafiła na warszawski Jazdów. Finowie Rosjan spłacili całkowicie na początku lat 50. XX w. i wtedy te same towary zaczęli im sprzedawać za twardą walutę.

A Rosjanie kupowali?

– Były już łańcuchy dostaw, nawiązane kontakty, a fińskie produkty cieszyły się dobrą opinią. Finowie chętnie przyjmowali od Rosjan różne zamówienia. I na tym zbudowali swój dobrobyt w latach 60. i 70. Przekształcili to, co było ciągłym zagrożeniem, czyli sąsiedztwo z ZSRR, w atut. My będziemy wam sprzedawać statki, domy drewniane, silniki elektryczne itd., a wy będziecie nam wysyłać ropę i inne ważne dla Finlandii surowce.

I druga sprawa – dyscyplina społeczna i umiejętność zawierania ▸

Finlandię zbudowano na fundamencie równości obywateli. Od tego w zasadzie nie ma wyjątków. Zwłaszcza w urzędach.

Dr Jarosław Suchoples – absolwent Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego. W roku 2000 uzyskał stopień doktora w Instytucie Historii Uniwersytetu w Helsinkach. Wykładał m.in. na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. W latach 2013-2015 profesor Państwowego Uniwersytetu Malezyjskiego (UKM) w Bangi k. Kuala Lumpur. W 2017 r. powrócił do Finlandii jako ambasador RP. Obecnie jest samodzielnym pracownikiem naukowym Uniwersytetu w Jyväskylä w Finlandii.

eprasa.pl 2f577505c6

kompromisów. Dyscyplinę widzieliśmy np. podczas niedawnej pandemii. Tam nie było czegoś takiego, że wprowadzono nakaz noszenia masek. Natomiast było zalecenie. I zdecydowana większość do niego się stosowała! A o zdolności do zawierania kompromisów pomówimy za chwilę.

Czyli jest zaufanie do rządu.

– To sprzężenie zwrotne. Z jednej strony, decyzje są podejmowane przez organy państwowe w sposób transparentny. Obywatel doskonale wie, że może władzy na różnych szczeblach zaufać. Z drugiej, rządzący wiedzą, że mogą polegać na obywatelach, którzy mają do nich zaufanie, i że tego zaufania nie mogą zawieść.

I nie można łamać prawa.

– Jeżeli popatrzymy na różne narody europejskie i np. zapytamy Francuza, co jest najważniejszym wyznacznikiem francuskości, w sensie tożsamości politycznej, on pewnie powie, że świeckość republiki. Polak – że historia itd. A dla Fina tym wyznacznikiem jest przestrzeganie prawa. Przywiązanie Finów do prawa jest wręcz legendarne. Ten kraj jest dzięki temu niesamowicie poukładany. W Finlandii prawie zawsze wiem, czego się spodziewać w sferze publicznej. Drugą sprawą jest to, że Finlandię budowano, szczególnie po wojnie domowej z roku 1918, na fundamencie równości obywateli. Od tego w zasadzie nie ma wyjątków. Każdy traktowany jest tak samo. Szczególnie dotyczy to urzędów. Czasami wydaje się, że przesadnie się tego przestrzega, ale jeśli spojrzeć na to z pewnej perspektywy... Wolę to od naszego chaosu i nieprzewidywalności oraz braku zaufania w kontaktach na linii obywatel-państwo i pomiędzy ludźmi.

Oprócz równości zaufanie i zasada transparentności leżą u podstaw istnienia fińskiego państwa i społeczeństwa.

Epoka Wielkiego Brata

Oni przetrwali lata 40. i 50., a potem krok po kroku zaczęli się uwalniać od Rosji. Grać własną grę polityczną.

– Tak naprawdę stało się to dopiero w latach 90., kiedy rozpadł się ZSRR. Do tego momentu w Finlandii obowiązywał dogmat: Rosjan nie wolno drażnić, bo od ich zaufania do nas zależy nasza niepodległość, nasza wolność. Do śmierci Stalina i początków rządów Chruszczowa Finowie godzili się na to, że w polityce zagranicznej mieli ograniczone pole manewru. Dopiero kiedy Rosjanie w 1955 r. pozwolili im przystąpić do ONZ, polityka zagraniczna Finlandii zaczęła się trochę rozwijać. Ale na przełomie lat 50. i 60. Kreml pokazał, jakie są granice tej niezależności. W 1958 r. rząd premiera Karla-Augusta Fagerholma, którego skład nie podobał się Moskwie, musiał podać się do dymisji. Później mamy rok 1961 i kolejny kryzys, kiedy to Rosjanie zażądali, w obliczu zaostrzenia sytuacji międzynarodowej, przeprowadzenia przewidzianych w porozumieniu z 1948 r. konsultacji z władzami fińskimi, czego te chciały za wszelką cenę uniknąć.

Dlaczego?

– Ponieważ w ich wyniku Finlandia mogła zostać np. zmuszona do zaakceptowania radzieckiej obecności wojskowej na swoim terytorium. Zupełnie przypadkowo, mówię to oczywiście z ironią, radziecka nota została wysłana w okresie nabierającej w Finlandii tempa prezydenckiej kampanii wyborczej. Główny oponent cieszącego się zaufaniem Kremla prezydenta Urho K. Kekkonena, Olavi Honka, miał realne szanse na zwycięstwo. Wtedy, w obliczu radzieckich żądań, Kekkonen pojechał do Nowosybirska i osobiście z Chruszczowem „wyjaśnił" wszystkie problemy. I okazało się, że konsultacje nie są już potrzebne, a Honka wycofał się z wyborów. Prawdopodobnie Kekkonen z Chruszczowem po prostu zaaranżowali kryzys w 1961 r., z czego obydwaj wyciągnęli korzyści. Z radzieckiego punktu widzenia prezydentem Finlandii pozostał polityk gwarantujący utrzymanie dobrych relacji z ZSRR. Natomiast on sam utrzymał się na urzędzie jeszcze przez ponad 20 lat.

Czyli po wojnie Moskwa dyktowała, który polityk ma iść do więzienia jako odpowiedzialny za „rozniecenie wojny przeciwko ZSRR i współpracę z Niemcami", a później decydowała, kto może być prezydentem, ministrem, a kto nie?

– Często nie wprost, ale tak było. Finowie zatem dążyli do tego, żeby ich kraj uznano za część Skandynawii, ponieważ to region pokojowy, który chce unikać konfliktów, chce budować i utrzymać swój dobrobyt. Zresztą to budowanie dobrobytu też nie odbywało się bez przeszkód. Były momenty trudne. Na przykład w latach 60. z Finlandii, kraju wówczas niespełna pięciomilionowego, 100 tys. osób wyjechało do Szwecji za chlebem. Myśmy doświadczyli czegoś podobnego niedawno, więc dobrze wiemy, jak niekorzystne są skutki takiego masowego zjawiska.

Jak uciec od Rosji?

Przełomem był rok 1975 i podpisanie w Helsinkach Aktu końco-

eprasa.pl 2f577505c6

Finlandia jest dziś chyba jedynym krajem w Europie mającym armię z poboru.

wego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

– A dlaczego to było dla Finów ważne? Europa Środkowa była regionem zdominowanym przez ZSRR. Północ, Skandynawia – już nie. Chcieli więc wymusić zmianę myślenia o geopolitycznym położeniu Finlandii – że jest częścią Skandynawii. I wydawało się, że im się to udało i że w roku 1975 zostało przypieczętowane. Po prostu zdawało się, że wszyscy uznali Finlandię za neutralny pomost między Wschodem a Zachodem, bo tam można zorganizować taką konferencję, a jak ma się spotkać prezydent USA z I sekretarzem KC KPZR, to Helsinki są jednym z kilku miejsc, gdzie to może nastąpić. Od roku 1975 Finowie zaczęli grać znacznie powyżej swojej wagi. Finlandia od tego czasu zaczęła uchodzić za „pokojowe mocarstwo". Oczywiście to określenie było mocno na wyrost, ale funkcjonowało i przyczyniało się do umacniania międzynarodowej pozycji tego kraju.

Jednak to się skończyło.

– Nie powiedziałbym tak. Tu chodzi o coś innego. Kiedy w 2015 r. na granicy z Rosją zaczął się kryzys migracyjny, Finowie zdali sobie sprawę, że jeśli w Moskwie ktoś uzna, że Finlandia nie jest niezależnym państwem północnym czy skandynawskim, tylko leży w rosyjskiej strefie wpływów, to z dnia na dzień efekty ich trwających całe dekady starań, by wyrwać się z Europy Środkowej, zostaną przekreślone. Stąd wzięła się ich gwałtowna reakcja i złożenie wniosku o przystąpienie do NATO.

Zatrzymajmy się na roku 2015.

– Nie. Już przecież w 2007 r. mieliśmy rosyjski cyberatak na Estonię. To był dla Finów pierwszy sygnał. Później, w roku 2008, wojnę w Gruzji. W 2014 r. Rosja zagarnęła Krym i wywołała pełzającą wojnę na wschodzie Ukrainy. To już było bardzo poważne ostrzeżenie. A rok 2015 był szokiem. Na granicy rosyjsko-fińskiej zjawiło się ponad 30 tys. uchodźców, głównie z Syrii. Finowie wtedy zadali sobie pytanie: a co będzie, jak nam Rosjanie przyślą 200 tys. albo 300 tys. migrantów na granicę? A nas jest tylko 5,5 mln! Oni to odczytali jako bezpośrednie, spowodowane przez Rosję zagrożenie stabilności ich państwa.

Wtedy stracili zaufanie do Rosjan i Putina.

– Tak. W 2017 r. uczestniczyłem w uroczystości otwarcia Centrum Doskonałości ds. Zagrożeń Hybrydowych w Helsinkach. Przybyli prezydent Finlandii Sauli V. Niinistö i premier Juha Sipilä. Obydwaj w obecności szefowej dyplomacji Unii Europejskiej Federiki Mogherini oraz sekretarza generalnego NATO Jensa Stoltenberga i wielu zagranicznych dyplomatów mówili, że Rosja jest przeciwnikiem! Otwartym tekstem! Kropką nad i była zeszłoroczna agresja na Ukrainę. Co najważniejsze, przekonała opinię publiczną, że członkostwo Finlandii w NATO jest najwłaściwszą odpowiedzią na pojawiające się ze strony Rosji zagrożenia.

Pragmatyzm i zaufanie

Lata 60. i 70. to czas, kiedy Finlandia zaczęła się przekształcać w kraj bogaty.

– Tam kilka razy w ciągu powojennego półwiecza doszło do kryzysu gospodarczego. Pierwszy był spowodowany wojną i koniecznością spłaty reparacji. Drugi – w latach 60., gdy Finowie masowo emigrowali do Szwecji. Wreszcie trzeci, na początku lat 90., gdy rozpadł się ZSRR, co pozbawiło Finlandię rynku zbytu na jej towary i doprowadziło do gwałtownego wzrostu bezrobocia. W szczytowym momencie wynosiło ono 23%! Mieliśmy poza tym w XXI w. kryzys wywołany upadkiem Lehman Brothers. Co Finowie w takiej sytuacji robią? Przedstawiciele rządu, pracodawców i związków zawodowych siadają do stołu i negocjują, żeby wypracować wspólne rozwiązania. I to takie, by załatwić sprawy na teraz, ale również wypracować wyjście w przyszłość. To jest też kwestia ich innowacyjności, inwestowania w naukę, szczególnie w nauki ścisłe, lecz także budowania bibliotek.

Mają ten zwyczaj, że jak jest kryzys, to siadamy i rozmawiamy.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2f577505c6

– A to, co ustalimy – wdrażamy, korygujemy na bieżąco. Czasami np. związki zgadzają się, na jakiś czas, na obniżkę płac, bo tego wymaga interes i państwa, i zwykłych ludzi. Lepiej przecież zarabiać przez pewien czas trochę mniej, ale mieć pracę. Godzą się na to, wierząc niebezpodstawnie, że jak minie trudny okres, będzie można to sobie zrekompensować. To jest fiński modus operandi. Oczywiście błędy też popełniali.

Nokia zbankrutowała.

– Jak na to zareagowali? Zrozumieli, że jako mały naród muszą iść w stronę innowacyjności i szukać nisz do zagospodarowania. Dzięki temu fińskie produkty, ale i usługi stały się atrakcyjne. Finlandia to również niezwykły pragmatyzm – trzeba rozmawiać z każdym i prezentować swój punkt widzenia wszędzie, gdzie się da, po to, by umacniać swoją pozycję i tworzyć sieci powiązań, w których Finlandia odgrywa istotną, niekiedy wręcz kluczową rolę. Tak też Finowie rozumieją budowanie międzynarodowego prestiżu swojego państwa.

A czy lubią rozczulać się nad sobą?

– Żalenie się nie jest raczej w ich naturze, może z wyjątkiem wspominania wojny zimowej – że zostali właściwie sami naprzeciw ZSRR. Ale to ma podtekst bohaterski. Gdy przychodzi koniec listopada, w mediach jest mnóstwo publikacji na temat wojny zimowej, to element ich wychowania patriotycznego. Proszę pamiętać, że Finlandia jest dziś chyba jedynym krajem w Europie mającym armię z poboru. Poza tym to także czynnik budowania więzi społecznych. Rodzice są dumni z synów służących w wojsku, a gdy mężczyźni (chociaż coraz więcej kobiet wstępuje na ochotnika do armii) rozmawiają między sobą, to wręcz zwyczajowo pytają, gdzie kto służył w wojsku. To się przenosi na stowarzyszenia, organizacje, kręgi przyjaciół... Razem byliśmy w armii, znamy się, możemy sobie ufać.

Wciąż mówi pan o zaufaniu.

– Dlatego że – oprócz równości – zaufanie i zasada transparentności leżą u podstaw istnienia fińskiego państwa i społeczeństwa. Dominuje przy tym postawa odpowiedzialności za swój kraj. Ponadto Finowie już w przedszkolach i szkołach uczą się działania kolektywnego. Wspólnie działają, debatują i ważą racje. To jest pewien styl myślenia o problemach i sposobach ich rozwiązywania, który przekłada się na funkcjonowanie całego społeczeństwa i przyczynia do wykształcania postaw obywatelskich. Jak widzimy, na ogół skutecznie.

Dla Fina wyznacznikiem państwowości jest przestrzeganie prawa. Przywiązanie Finów do prawa jest wręcz legendarne.

Robert Walenciak

eprasa.pl 2f577505c6

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Co się stało z naszą zimą?

Zadaję to pytanie akurat w dniu, w którym zima – przynajmniej w Krakowie – wróciła. A wcześniej mieliśmy tu nawet jeden śnieżysty tydzień – w grudniu. Ale czy naprawdę nie ma problemu? W moim dzieciństwie nie do wyobrażenia był deszczowy styczeń. Nie zawodzi mnie przecież pamięć, gdy wspominam, jak „pani od polskiego", poświęcając godzinę lekcyjną poszerzaniu naszego słownictwa, mówiła, że „z gałęzi zwisają okiście", a słowo „okiście" klasa, patrząc w okno, na głos powtarzała. To było w grudniu i Boże Narodzenie też wtedy było mroźne, śnieżyste – to była norma. Gdy zaś w lutym mróz spadał poniżej 15 stopni, szkołę zamykano. Chyba co najmniej dwukrotnie cieszyliśmy się takimi dodatkowymi feriami.

„W tym roku zima jest odwołana", zawyrokowała moja siostra. Zachwyciło mnie to zdanie, ale nie zostało wypowiedziane teraz, lecz kilka lat temu. Czyli wciąż postępuje zanik zimy. Może w tym roku to się zmieni, lecz jakkolwiek będzie, czujemy: klimat się ociepla. Jeszcze surowszy niż za mojej pamięci był jednak przed 200-300 laty: wtedy zamarzał nawet Bałtyk. Oczywiście zamarzał nie cały i nie zawsze, ale podobne sytuacje musiały się powtarzać, skoro jeszcze przed wojną zdarzało się, że ciężarówki jeździły na przełaj Zatoką Pucką – po lodzie. A zatem w ciągu kilkudziesięciu lat klimat tak bardzo się zmienił. W trakcie jednego – mojego – pokolenia.

Zmienił się nie tylko w Polsce. Topi się przecież czapa lodowa w Arktyce i na Antarktydzie, kurczą lodowce alpejskie, wzrasta poziom oceanów, częściej niż dawniej powstają huragany. Piazza San Marco w Wenecji raz po raz znajduje się pod wodą. Wszystko to nie zawsze jest winą człowieka, lecz nigdy nie można rzec, że nie ma z nim nic wspólnego. Czy jesteśmy świadomi zagrożeń? Ale jak tu zajmować się problemami ogólnoludzkimi, skoro nawet nie potrafimy rozumieć problemów sąsiadów? Może na początek wystarczyłaby szczypta wrażliwości na innych – choćby na racje czeskie w sporze o kopalnię Turów? Bo o Niemczech czy Unii Europejskiej już nie wspomnę. A czy potrafimy słuchać ekologów? I czy nie powinniśmy wrócić do idei parków narodowych? Okres PRL był czasem ich rozkwitu: w jednej dekadzie lat 50. otwarto ich osiem, a do roku 1989 – 13. Jeszcze w pierwszej dekadzie III RP powstało siedem dalszych, ostatni, Ujście Warty, w 2001 r. I otóż od tego właśnie momentu o nowych parkach narodowych nie chcą słyszeć ani władze centralne, ani lokalne.

Powstawanie parków nie przywróci oczywiście śnieżnych zim ani nie zahamuje kryzysu klimatycznego. Odbudowałoby jednak naszą troskę o przyrodę. Za mojej najwcześniejszej pamięci – by znów te czasy przywołać – termin „ochrona przyrody" towarzyszył mi stale i chyba nie tylko dlatego, że mama była botanikiem, słuchaczką na UJ wykładów prof. Władysława Szafera. Dobrze wiedziałem, które rośliny i które zwierzęta znajdują się pod ochroną. Troska o przyrodę, w tym i działalność Ligi Ochrony Przyrody, wtedy – po zniszczeniach wojennych – znajdowała się jakoś w centrum zainteresowania. Zarówno zainteresowania rodziny, jak nielubianych przez nią partii i rządu.

Ale dzisiejsza partia i dzisiejszy rząd – tak uwielbiane przez patriotyczny naród – mają problemy ważniejsze od przyrody. Tymczasem biznes dokonuje bezlitosnej eksploatacji naturalnego środowiska człowieka, a Kościół rzymskokatolicki lubi jedynie cytować słowa z Księgi Rodzaju: „Czyńcie sobie ziemię poddaną". Choć równie dobrze mógłby cytować zbratanego z przyrodą św. Franciszka z Asyżu. Lecz najgorsi są i tak politycy: w imię sukcesu wyborczego nie mają odwagi podnieść ochrony przyrody do rangi programu. A najniebezpieczniejsi z polityków – to właśnie dzisiejsi rządzący: partia i rząd, demokratycznie wybrani prawicowcy.

Oto problemy prawicy: biznes spoconych mężczyzn lub zabawa niedorosłych chłopców.

Jakiż to bowiem zbieg okoliczności. Brazylijski prezydent, Jair Bolsonaro, nie wahał się dewastować lasów Amazonii i ryzykować w ten sposób nieodwracalną zmianę klimatu całego globu. PiS nie ma tak niszczycielskich możliwości, ale nie wahało się zdewastować Mierzei Wiślanej po to tylko, by z półwyspu zrobić wyspę. Oto problemy prawicy: biznes spoconych mężczyzn lub zabawa niedorosłych chłopców. Panowie, róbcie, co chcecie, byle nie kosztem natury. Śnieżne zimy nie wrócą, lecz przynajmniej my zadbajmy o przyrodę. Spowalniajmy proces globalnego ocieplenia, słuchajmy ekologów, róbmy swoje. Czy do tego, by robić swoje, nie jest konieczne odsunięcie od władzy PiS?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2f577505c6

Sąd nad monopolem

USA (znów) będą się procesować z internetowym gigantem

Jakub Dymek

Pod koniec stycznia prokurator generalny USA Merrick Garland i jego zastępczyni Vanita Gupta przed kamerami telewizyjnymi zapowiedzieli nowe postępowanie Departamentu Sprawiedliwości. Ogłosili, że wystąpią z pozwem antymonopolowym przeciwko internetowemu gigantowi Google. Zarzucają firmie, że jest monopolistą w dziedzinie reklamy internetowej, i domagają się odsprzedania przez nią części jej technologii, aby ponownie umożliwić konkurencję na tym rynku. Traf chciał, że akurat o tej porze amerykańscy wydawcy mediów nie mieli nic ważniejszego do omówienia i konferencja szybko przebiła się na czołówki. A może miał z tym coś wspólnego fakt, że Departament Sprawiedliwości właśnie w imieniu twórców, mediów i wydawców występuje dziś przeciwko internetowemu molochowi? Media mają szczególny powód, by argumenty Garlanda i szefa zespołu antymonopolowego, Jonathana Kantera, nagłośnić, prawda?

Bo też o słowo monopol sprawa się rozbija. Choć coraz częściej pojawia się ono w ustach polityków i przedstawicieli amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości jako określenie tego, co robi Google, obywatele USA wciąż nie doczekali się spektakularnego zwycięstwa w inicjowanych przez rząd postępowaniach. Serię pozwów przeciwko Google'owi złożył jeszcze w 2020 r. Departament Sprawiedliwości, któremu szefował William Barr, człowiek Trumpa. Z osobnymi skargami wystąpiły również poszczególne stany. Administracja Bidena te starania kontynuuje – a sprawa z końca stycznia może się okazać przełomowa.

Google naruszył zasady wolnej konkurencji i złamał prawo – stwierdzili na konferencji 24 stycznia 2023 r. prokurator generalny Merrick Garland i jego zastępczyni Vanita Gupta.

„Może" nie znaczy jednak „musi". Walka z monopolami miała być jednym z priorytetów administracji prezydenta Bidena, ale prędko i wbrew oczekiwaniom wielu istotniejsze stały się globalna rywalizacja z Chinami i wojna w Ukrainie. Poza tym rezultaty w podobnych postępowaniach nie przychodzą zazwyczaj szybko. I nie zawsze są korzystne dla pozywających.

Rekin reklamy online

O co chodzi w najnowszym pozwie? Śledczy Departamentu Sprawiedliwości odnaleźli w wewnętrznych dokumentach Google'a dające do myślenia porównanie, które pozwala to wytłumaczyć. Firma ma na rynku – czyli giełdzie – reklamy internetowej taką przewagę jak bank, który byłby zarazem właścicielem Nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych. Prawdę mówiąc, da się znaleźć jeszcze bardziej obrazową analogię działania monopolu na rynku reklamy internetowej. Google jest jak właściciel targowiska, który jednocześnie jest właścicielem wszystkich straganów, kontroluje ceny towarów, pobiera marżę od każdej strony transakcji i przy okazji obstawia wyjścia, aby kupujący i handlarze nie mogli przedostać się swobodnie na konkurencyjny bazar.

Te proste przykłady są konieczne. Szczegółowe tłumaczenie, dlaczego i o co toczy się spór, grozi zanudzeniem czytelnika. W dodatku tworzy wrażenie, że chodzi wyłącznie o techniczną, nieistotną dla zwykłego człowieka kwestię. Pozew Departamentu Sprawiedliwości dotyczy bowiem technologii dostarczania reklam internetowych na stronach nadawców – a konkretnie mechanizmu wyceny i handlu ową

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 2f577505c6

przestrzenią. Amerykańscy prokuratorzy dowodzą, że dzięki swojej pozycji niezbędnego pośrednika Google może pobierać bardzo wysokie marże od obydwu stron transakcji reklamowej. Czyli od tych, którzy wynajmują przestrzeń na stronach np. poczytnego tygodnika, ale i od tych, których reklama ostatecznie tam trafi. Według szacunków zawartych w pozwie mowa nawet o 35 dol. z każdych 100 dol. wydanych na reklamę za pośrednictwem należących do Google'a narzędzi. Dużo? I to jak!

„Dziś Google kontroluje narzędzia cyfrowe, których prawie każdy większy nadawca używa do sprzedawania reklam na swoich stronach; kontroluje też narzędzie, dzięki któremu miliony dużych i małych reklamodawców kupują przestrzeń, jak również giełdę, czyli technologię, za pomocą której w czasie rzeczywistym łączy kupujących i sprzedających reklamy online", czytamy w komunikacie Departamentu Stanu.

Co więcej, sama ta pozycja monopolisty wynika – jak twierdzą prokuratorzy – z antykonkurencyjnych działań giganta: kupowania stanowiących konkurencję firm i zmuszania użytkowników usług do korzystania wyłącznie z narzędzi reklamowych Google'a.

„Strategia Google'a od początku zakładała, że nie może być wyłącznie wyszukiwarką internetową, ale będzie się rozwijać i przejmie kontrolę nad reklamą online. Był jednak pewien problem: rynek reklam u wydawców treści kontrolował inny nieomal monopolista, DoubleClick – tłumaczył niedawno dziennikarz, autor książki „Goliath" i specjalista od monopoli w USA, Matt Stoller. – Serwery DoubleClick zajmowały niezwykle uprzywilejowaną pozycję, a narzędzia Google'a nie były w stanie się przebić", bo wydawcy nie chcieli przechodzić przez „koszmarny" proces zmiany usługodawcy.

W tej sytuacji, kontynuuje Stoller, „ówczesny prezes Google'a Eric Schmidt zrobił to, co zrobiłby każdy porządny monopolista, gdy urząd nadzoru nie patrzy". Kupił konkurencję i dzięki temu „wszedł w posiadanie wszystkich elementów niezbędnych do samodzielnego ustawienia tego rynku". W ciągu 10 kolejnych lat Google połączył wszystkie te usługi w sposób skutecznie wykluczający rywali, przekonuje Stoller. Departament Stanu mówi właściwie to samo, nawet jeśli nieco bardziej rozwlekłym i najeżonym fachowymi terminami językiem.

Cios w niezależne dziennikarstwo

Gdyby jednak chodziło tylko o spór technologiczny i interes branży reklamy, sprawa nie byłaby tak istotna. Tym razem Departament Sprawiedliwości dał do zrozumienia, że idzie o coś ważniejszego: fundamentalne amerykańskie wartości. Na konferencji prasowej Garland i Gupta przypomnieli, że wolność słowa, nieskrępowana konkurencja i otwarty internet to uzupełniające się i kluczowe dla dzisiejszej demokracji kwestie.

Kierujący zespołem antymonopolowym Jonathan Kanter tłumaczył w niedawnym wywiadzie dla kultowego podcastu „Pivot", że odbieranie mediom należnych przychodów przez Google'a niszczy cały mechanizm finansowania dziennikarstwa w liberalnej demokracji. Gdy media nie mają kontroli nad tym, komu i za ile mogą sprzedać reklamy, a niezależnie od rynkowych warunków cenę dyktuje ktoś inny – cały system staje się skrzywiony. Media nie są w stanie finansować dobrego i niezależnego dziennikarstwa, podupada więc debata publiczna, a wraz z tym obniża się jakość demokratycznej polityki. Nominację Kantera na stanowisko szefa zespołu antymonopolowego najgłośniej oprotestował… właśnie Google, domagając się wyłączenia z podobnych postępowań i zarzucając konflikt interesu. Słysząc tego rodzaju wypowiedzi Kantera, łatwiej zrozumieć dlaczego.

Ale retoryka całego Departamentu Sprawiedliwości nie pozostawia już złudzeń. „Google postępował w sposób naruszający zasady wolnej konkurencji i bezprawny, aby wyeliminować zagrożenie dla jego dominującej pozycji na rynku technologii dostarczania reklamy cyfrowej – mówił Garland. – Monopole zagrażają zasadom wolnego i uczciwego rynku, na którym opiera się nasza gospodarka. Niszczą innowacje, szkodzą przedsiębiorcom i pracownikom, podnoszą koszty dla konsumentów". To istotna zmiana w porównaniu z poprzednią kadencją demokratów, gdy koncerny technologiczne były hołubione przez Biały Dom Baracka Obamy, a sekretarz stanu Hillary Clinton nie ustawała w przekonywaniu, że demokrację niesie światu amerykański sektor technologiczny. W tej chwili politycy i urzędnicy w USA boją się nawet, że potęga Wielkiej Technologii zagraża amerykańskiej demokracji.

Niech osądzą przysięgli

Dotychczas ani federalne agencje, ani poszczególne stany nie miały wielkiego szczęścia w sądowych starciach z korporacjami z Doliny Krzemowej. Sędziowie nie byli łaskawi dla argumentów przedstawianych przez stronę rządową. Tym razem Departament Sprawiedliwości wpadł na sprytny pomysł. Domaga się procesu przed ławą przysięgłych. Tak aby – jak na filmach! – prawnicy obu stron przedstawili swoje racje reprezentantom amerykańskiego społeczeństwa i przekonali ich do zajęcia stanowiska wobec zarzutów. Winny albo niewinny? To poważna zmiana: obie strony będą musiały przemówić ludzkim językiem, zamiast wymieniać najeżone skomplikowanymi terminami pisma prawnicze i kłócić się o precedensy za zamkniętymi drzwiami.

Proces w sprawie zagrożeń dla demokracji, w którym o winie w końcu zadecydują nie eksperci, ale także reprezentanci demosu? To dopiero będzie innowacja.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2f577505c6

Uciec, ale dokąd?

W 2022 r. ponad 100 mln ludzi uciekało przed wojną, głodem czy katastrofami klimatycznymi

W Koks Badźar w Bangladeszu znajduje się największy na świecie obóz dla uchodźców. Zdecydowana większość z nich to Rohingjowie.

Grzegorz Kordylas

Ponad 100 mln ludzi uciekało w 2022 r. przed wojną, głodem, katastrofami klimatycznymi, autokratyczną władzą lub wszystkimi tymi czynnikami naraz. To niechlubny rekord w historii globu, jednak w obliczu rosnącej populacji i piętrzących się problemów, które nie wiadomo jak skutecznie rozwiązać, można przypuszczać, że na jego pobicie nie będziemy musieli długo czekać.

Migracje w poszukiwaniu lepszego miejsca do życia to nic nowego ani dla ludzi, ani dla żadnego innego gatunku zamieszkującego naszą planetę. Każdy okres w naszej historii cechuje się wędrówkami ludów, które zmieniły oblicze regionów, a niejednokrotnie i całych kontynentów. Na kształt dzisiejszej Europy najbardziej wpłynęły migracje z czasów między IV a VII w. (tzw. wielka wędrówka ludów), kiedy to m.in. na terenach dzisiejszej Polski pojawili się pierwsi Słowianie. Wędrówkę mamy w genach, podobnie jak wiele gatunków zwierząt. Wilk szary, tępiony przez człowieka od wieków, choć jest tak podobny do nas pod wieloma względami, pokonuje rocznie nawet 7,2 tys. km. A to i tak spacerek w porównaniu z burzykiem szarym, wędrownym ptakiem oceanicznym, który w ciągu roku potrafi przelecieć 64 tys. km.

Zwierzęta nie zwracają jednak uwagi na granice państwowe i z małymi wyjątkami raczej nie zmagają się z nadmiernym rozrostem populacji, który utrudniałby zdobywanie nowych terenów. Największym zaś wrogiem pozostaje dla nich człowiek i jego wpływ na środowisko. Niestety, dla drugiego człowieka także.

Choć wydaje się, że ciągły ruch wpisany jest w nasze DNA, sytuacja zmienia się diametralnie, kiedy weźmiemy pod uwagę, że jest nas 8 mld, jak również przyczyny dzisiejszych migracji. Te 100 mln uchodźców stanowiłoby w okresie wspomnianej wielkiej wędrówki ludów połowę ówczesnej populacji. Obecnie to zaledwie ułamek całej ludzkości. Z jednej strony, zbyt mało, aby los uchodźców przykuwał naszą uwagę na co dzień. Z drugiej – zbyt wiele, by wszyscy mogli się osiedlić w państwach gwarantujących respektowanie praw człowieka.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2f577505c6

Błędne koło ucieczki przed wojną

Ponad 2 mld ludzi żyje dzisiaj w miejscach naznaczonych konfliktem zbrojnym. W 2022 r. do tego grona dołączyli mieszkańcy środkowej i zachodniej Ukrainy (wojna na wschodzie kraju trwa od 2014 r.). Tylko w ciągu pierwszych trzech miesięcy rosyjskiej inwazji ponad 8 mln Ukraińców uciekło do krajów ościennych, a kolejne 8 mln stało się uchodźcami wewnątrz własnego kraju. Dodatkowo, według danych Departamentu Stanu USA, niemal milion osób zostało siłą wywiezionych do Rosji. Największa europejska wojna od czasu wojny w Bośni i Hercegowinie w latach 90. to jedna z wielu, które trawią naszą planetę.

Od 2015 r. trwają walki w Jemenie, gdzie saudyjski książę i następca tronu Muhammad ibn Salman liczył na szybkie zwycięstwo nad partyzantami Huti, wspieranymi przez odwiecznego wroga Saudyjczyków – Iran. Co najmniej 20 z 32 mln obywateli Jemenu potrzebuje do przeżycia pomocy z zewnątrz. Trudno sobie wyobrazić, że to jedno z najbiedniejszych państw na świecie może być miejscem, do którego uciekają uchodźcy z innych krajów, ale to prawda. Mieszka tu ponad 130 tys. Somalijczyków i Etiopczyków, dla których wojna to chleb powszedni. Ostatnie dwa lata minęły w Etiopii pod znakiem wojny o Tigraj. Ten mający autonomiczne zapędy region został w 2020 r. zaatakowany przez wojsko premiera Abiy Ahmeda Alego, który ledwie kilka miesięcy wcześniej został uhonorowany Pokojową Nagrodą Nobla. Co ciekawe, przed wojną Etiopia była domem dla uchodźców z ponad 25 państw, a jeszcze w 2019 r. mogła się poszczycić jedną z najbardziej postępowych polityk wobec uchodźców w Afryce. Ledwie dwa lata później obozy dla uchodźców z Tigraju porównywano do obozów koncentracyjnych.

To zaledwie kilka przykładów beznadziejnej ucieczki przed wojną, która w biednych państwach Afryki Wschodniej i Bliskiego Wschodu dociera praktycznie do każdego zakątka i sama w sobie jest traumą na całe życie. Często jednak okazuje się dopiero początkiem wędrówki pełnej niewiadomych. Jej zwieńczeniem może być azyl w Europie, Stanach Zjednoczonych, Arabii Saudyjskiej lub Rosji (cztery najczęstsze kierunki migracji), ale dla tych, którzy będą mieli mniej szczęścia, zakończy się ona umieszczeniem w obozie dla uchodźców. Obozy te z czasem zmieniają się w prymitywne miasta zamieszkane przez kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a oczekiwanie na azyl trwa w nich wieczność. Najwięksi pechowcy zginą na morzu, zostaną uprowadzeni przez organizacje przestępcze lub schwytani przez prześladujący ich reżim. Mimo to wszystkie te zagrożenia jawią się jako mniejsze zło w porównaniu z losem, jaki czeka ich we własnym kraju.

Bez domu, bez praw

170 mld dol. – tyle strat przyniosło 10 największych katastrof klimatycznych w 2022 r. A to i tak przybliżone dane, wynikające z raportu organizacji Christian Aid. Letnie powodzie w Pakistanie zalały jedną trzecią kraju i dotknęły ponad 33 mln obywateli, zmuszając 7 mln do przeprowadzki. Powódź spowodowała epidemię malarii i dengi. Na brazylijskie Petrópolis w ciągu trzech godzin spadła ilość deszczu odpowiadająca przeszło 40-dniowym opadom o tej porze roku, co doprowadziło do tragicznych w skutkach lawin błotnych oraz powodzi i przyczyniło się do śmierci ponad 230 osób. Huragan Ian spustoszył jesienią Kubę i południowo-wschodnie wybrzeże USA, wyrządzając szkody porównywalne jedynie z największymi w ostatnich dekadach huraganami Katrina (2005) i Harvey (2017). Kilka miesięcy później 2,5 mln Amerykanów było bez prądu przez potężne burze śnieżne, które nawiedziły USA i Kanadę.

W Chinach i Europie najbardziej we znaki dała się susza. Liczbę ofiar letnich upałów na Starym Kontynencie szacuje się na ponad 26 tys. Temperatury sięgające często powyżej 40 st. (w miejscowości Pinhão w Portugalii – 47 st. C) doprowadziły do pożarów nie tylko na Półwyspie Iberyjskim, ale także w Wielkiej Brytanii, Słowenii, Rumunii i we Francji. A to państwa najbardziej dotknięte pożarami, bo mniejsze lub większe katastrofy tego typu zdarzały się praktycznie na całym kontynencie.

Każda z powyższych tragedii ma jeden wspólny mianownik – zmiany klimatyczne. Ci, którzy przez kaprysy natury tracą cały swój dobytek i nie mają dokąd wracać, nazywani są uchodźcami klimatycznymi. W Pakistanie cztery miesiące po wielkiej powodzi nadal ponad 5 mln ludzi nie wróciło do domów. W niektórych częściach prowincji Sindh i Beludżystan woda może się cofnąć dopiero za kilka miesięcy. Za powódź odpowiadają nie tylko ulewne deszcze, które spadły na Pakistan we wrześniu, ale również fala upałów, która nawiedziła ten kraj kilka miesięcy wcześniej. Temperatury powyżej 50 st. C przyśpieszyły topnienie górskich lodowców, których w całym kraju jest ponad 7 tys. Według raportu Global Climate Risk Index z 2021 r. Pakistan znajduje się w dziesiątce krajów, które w dwóch pierwszych dekadach XXI w. najbardziej odczuły zmiany klimatyczne, choć odpowiada za mniej niż 1% emisji gazów cieplarnianych do atmosfery.

W książce „Hothouse Earth: An Inhabitant's Guide" Bill McGuire, specjalista od zagrożeń geofizycznych i klimatycznych szacuje, że do 2050 r. nawet 250 mln mieszkańców regionów szczególnie narażonych na zmiany klimatyczne – a więc przede wszystkim Afryki Subsaharyjskiej i Azji Południowej – będzie zmuszonych do migracji w miejsca, gdzie da się żyć. Problem w tym, że na razie prawo międzynarodowe nie uwzględnia takiego pojęcia jak

W Chinach i Europie najbardziej dała się we znaki susza. Liczbę ofiar letnich upałów na Starym Kontynencie szacuje się na ponad 26 tys.

eprasa.pl 2f577505c6

uchodźca klimatyczny, wobec czego człowiekowi, który ucieka przed upałem, suszą, huraganem, powodzią lub innym kataklizmem, nie przysługują prawa, które ma osoba uciekająca np. przed wojną. Status uchodźcy reguluje konwencja podpisana w 1951 r. Nietrudno się domyślić, że zmiany klimatyczne były wtedy zmartwieniem zaledwie garstki naukowców. Politycy nie kwapią się do zmian w tej kwestii, spadłby bowiem na nich obowiązek ochrony poszkodowanych przez zmiany klimatu.

Tymczasowa wieczność

Na wybrzeżu Zatoki Bengalskiej, w bangladeskim mieście Koks Badźar, znajduje się największy na świecie obóz dla uchodźców. Zdecydowana większość z nich to Rohingjowie – muzułmanie z sąsiedniej Mjanmy, którzy po dekadach prześladowań ze strony buddyjskiego rządu zostali z niej w 2017 r. po prostu wyrzuceni. Nawet dla tych Rohingjów, którzy pamiętają terror władz z lat 70. i 80., wydarzenia z 2017 r. były szokiem do dziś odciskającym na nich piętno: masowe morderstwa, gwałty i wypędzenie setek tysięcy ludzi, którzy przez rzeki i dżunglę dostali się do sąsiedniego Bangladeszu. Na pograniczu obu krajów w ciągu kilku tygodni wyrósł ogromny obóz dla uchodźców. Tysiące chat, w których jesienią 2017 r. w ciągu zaledwie dwóch tygodni zamieszkało ponad 200 tys. Rohingjów.

Pięć lat później, według szacunków UNHCR i organizacji Save The Children, jest ich tam nawet 900 tys. W latach 2018-2019 w obozie przybyło ok. 100 tys. noworodków, część urodziły kobiety zgwałcone przez birmańskich żołnierzy. Dorośli nie mogą pracować w Bangladeszu, a dzieci nie mają dostępu do państwowej edukacji. Początkowo miejscowi ochoczo przybyli na pomoc ofiarom terroru, lecz uchodźców przybywało, a warunki życia stawały się coraz cięższe również dla tubylców.

Obecna rzeczywistość Rohingjów to pozbawione nadziei życie z dnia na dzień na przeludnionym terenie. Nie mogą podróżować, a jeśli nawet chcieliby przekupić urzędników, by otrzymać niezbędne dokumenty, kosztowałoby ich to w przeliczeniu na naszą walutę od kilku do kilkunastu tysięcy złotych. Ludzie, których całym dobytkiem bywa plandeka z tworzywa sztucznego, o takiej kwocie nawet nie marzą. Powrót do Mjanmy nie wchodzi w grę. W lutym 2021 r. władzę przejęło tam wojsko nastawione do Rohingjów jeszcze gorzej niż obalony rząd noblistki Aung San Suu Kyi.

W nie lepszej sytuacji są uchodźcy z Bliskiego Wschodu i Afryki, którzy trafili do obozów na terenach Libii, Grecji, Jordanii, Turcji czy Libanu. Większość uciekających przed wojną w Syrii (ponad 7 mln) dotarła nie do Europy, ale właśnie do jednego z państw ościennych, gdzie naprędce budowano dla nich tymczasowe obozy. Kraje te początkowo prowadziły politykę otwartości i starały się zapewnić uciekinierom podstawowe dobra i prawa, takie jak dostęp do opieki zdrowotnej i edukacji. Skala migracji doprowadziła jednak do sporego obciążenia i tak już nadwyrężonych gospodarek. Miejscowa ludność, początkowo skora do pomocy, z czasem sama zaczęła odczuwać skutki problemów ekonomicznych, takich jak wysoka inflacja w Turcji, stopniowy upadek państwa libańskiego (do czteromilionowego Libanu w krótkim czasie uciekło 1,5 mln Syryjczyków) czy ogólnoświatowy kryzys wywołany pandemią koronawirusa. Nic dziwnego, że sprawa uchodźców stała się pożywką dla populistów.

Wiosną zeszłego roku prezydent Erdoğan ogłosił projekt, w ramach którego nawet 1 mln z 3,6 mln syryjskich uchodźców ma wrócić do domu. To zagrywka polityczna przed wyborami, która ma przysporzyć mu sympatii obywateli – Turcy mają już dość gości zza granicy. Od tamtego czasu organizacje takie jak Human Rights Watch alarmują o przymusowych deportacjach Syryjczyków schwytanych przez tureckie władze. Problem w tym, że Syria nie jest dziś bezpieczniejszym państwem, niż była w 2011 r., gdy wybuchła tam wojna między prezydentem Al-Asadem a jego własnym narodem. Wręcz przeciwnie – uchodźcy wracający do Syrii są często na celowniku służb bezpieczeństwa dyktatora. Jedyną pociechą może być fakt, że siły Al-Asada nie sprawują dziś władzy na terenie północnej Syrii, podzielonej między Kurdów, Turków i syryjską opozycję. W ostatnich dniach sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała po katastrofalnym trzęsieniu ziemi.

Na dalszym planie

Bycie uchodźcą to próba przetrwania kolejnego dnia ze świadomością, że jest się nieproszonym gościem. 100 mln uchodźców to 100 mln historii, a wszystko wskazuje, że z biegiem lat historii tych będzie przybywać. Asymilacja przynosi różne rezultaty, politycy bogatych krajów przezornie badają nastroje społeczne związane z imigrantami, a społeczność międzynarodowa wydaje się bezsilna. I choć stać nas na symboliczne gesty, np. stworzenie reprezentacji uchodźców na igrzyska olimpijskie, z realnym problemem coraz trudniej się uporać. Należałoby go rozwiązać u źródła – zapewniając ludziom bezpieczeństwo w ich własnym państwie. Aby tak się stało, dyktatorzy musieliby jednak respektować prawo międzynarodowe, w szczególności prawa człowieka. Zamiast tego widzimy proces przywracania do łask prezydenta Baszara al-Asada i pierwsze kroki do normalizacji stosunków m.in. z Jordanią, Bahrajnem czy ZEA. Tymczasem Władimir Putin przygotowuje się do ćwiczeń marynarki wojennej na Oceanie Indyjskim wspólnie z Chinami i RPA. W świecie wielkiej polityki losy milionów ludzi schodzą na dalszy plan.

Grzegorz Kordylas

Człowiekowi uciekającemu przed upałem, suszą, huraganem nie przysługują prawa, które ma osoba uciekająca np. przed wojną.

eprasa.pl 2f577505c6

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

„Zawsze myślałem, że moje książki są ciekawsze niż moje życie. Ale świat postanowił się z tym nie zgodzić", powiedział Salman Rushdie w rozmowie z Davidem Remnickiem dla „New Yorkera". Brytyjski pisarz, pochodzący z Indii, obłożony w 1988 r. fatwą przez ajatollaha Chomeiniego po opublikowaniu powieści „Szatańskie wersety", patrzy na świat jednym okiem. Po ataku nożownika, który w czerwcu ub.r. zadał mu kilkanaście ciosów, stracił oko, nie w pełni włada ręką, utracił czucie w palcach, pisze dzisiaj z trudem. Najpewniej kolejną powieść napisze o doświadczeniu zamachu, w podobnym autobiograficznym kształcie jak wcześniejszą, zatytułowaną „Joseph Anton", opisującą lata przeżyte w ukryciu, kiedy ochraniała go brytyjska policja. Wtedy musiał się konfrontować z opiniami, wedle których fatwę sam sprowokował, obrażając „uczucia religijne" muzułmanów. Zamachowiec, 24-letni Hadi Matar, Amerykanin, którego rodzice pochodzą z Libanu, już po aresztowaniu powiedział tabloidowi „New York Post": „Nie lubię go. Nie uważam go za bardzo dobrą osobę. To ktoś, kto zaatakował islam, zaatakował system wartości i wierzeń". Osobisty nosiciel fatwy. No i te moje ulubione „wartości", wierzenia, uczucia religijne. Rushdie z sarkazmem zauważa, że kiedy się ukrywał, było to dla wielu osób problemem: „Nie podobało im się to, przecież powinienem był umrzeć. Teraz, gdy prawie umarłem, wszyscy mnie kochają".

Bagno bagnu nierówne

Dlaczego właściwie pochylać się nad tą historią? Może dlatego, że mamy u nas kogoś na podobieństwo ajatollaha, miewamy politycznych nożowników, a najbardziej znany z nich, zabójca prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, którego na oczach tysięcy widzów zasztyletował na scenie podczas finału WOŚP przed czterema laty, wciąż nie usłyszał wyroku. Prokuratura przez trzy lata biedziła się ze sporządzeniem aktu oskarżenia wobec człowieka, który jawnie opowiada się za PiS, a śledczym mówił, że głosował na Andrzeja Dudę, popiera Prawo i Sprawiedliwość i chciałby, aby jego sprawą zajął się Zbigniew Ziobro. Nadal nierozstrzygnięta jest kwestia poczytalności zabójcy.

Emocje polityczne zaczynają już w Polsce buzować, wszak za kilka miesięcy ważne wybory – PiS osadzi się na trzecią kadencję albo będzie musiało oddać władzę. Czy zechce, jeśli przegra? Opozycja, to już raczej pewne, żegna się ze snem o jednej liście przeciw Złemu. To dobrze, myślę sobie. To najgorsze, co może nas czekać, mówią inni, głównie ci z Koalicji Obywatelskiej. Donald Tusk już nie chce paktować i namawiać, żeby pod jego skrzydłami przegonić obecną władzę. Szymon Hołownia, przywódca partii z rodziny tere-fere kuku (w Polsce w każdych wyborach pojawia się taka formacja znikąd, wbrew, czysta jak pupcia wykąpanego niemowlaka, niepokalana wcześniejszymi rządami, tylko nie bardzo wiadomo, czego oprócz władzy chce), przytula się do słabnących z roku na rok ludowców, a Tuskowi mówi „nie". Agrounia tuli do serca sieroty po Gowinie. Lewica zwiera odrębne szyki na szeroko albo tak teraz tylko deklaruje. Jakoś to napięcie zupełnie nie spędza mi snu z powiek. Ta lista, jedna, wspólna, zgody, jedności, gdzie jedynym wiązadłem jest „PiS musi odejść". Też bym wolał, ale nie za cenę każdej jedności. Wolałbym tej jedności wypatrywać gdzie indziej.

350 naukowców zajmujących się ochroną ekosystemów mokradłowych wystosowało apel o to, żeby realne stało się „natychmiastowe zwiększenie efektywności ochrony i restytucji mokradeł. Aby wdrożyć te plany, potrzebujemy dziś współpracy różnych środowisk ponad wszelkimi podziałami. Mokradła zajmowały ok. 18% powierzchni Polski, ale niemal wszystkie, w efekcie degradacji, przestały spełniać niegdysiejsze funkcje ekosystemowe. Wskutek melioracji ok. 85% torfowisk straciło cechy ekosystemów bagiennych, zmieniając się z pochłaniaczy dwutlenku węgla w źródła jego emisji do atmosfery. Regulacja i dopływ zanieczyszczeń znacząco pogorszyły stan ekologiczny ok. 80% rzek, upośledzając ich zdolności samooczyszczania i niszcząc różnorodność siedlisk. Również stan lub potencjał ekologiczny ponad 80% jezior jest gorszy niż dobry. Gatunki związane z mokradłami dominują w polskich czerwonych księgach fauny i flory, należąc do najszybciej ginących.

Mimo że dotychczasowe projekty odtwarzania mokradeł prowadzone w Polsce i za granicą dostarczyły niezbędnej wiedzy naukowej i technicznej, skala przestrzenna i liczba zrealizowanych projektów są nieproporcjonalnie małe w stosunku do potrzeb. Jednocześnie ochrona i restytucja mokradeł są coraz częściej przywoływane przez różne środowiska jako działania niezbędne, by przeciwdziałać suszom i powodziom, chronić jakość wód, ograniczyć skutki zmian klimatu i… poprawić obronność kraju.

Po tej konstatacji ekspertów następuje lista 10 głównych postulatów (bagna.pl/images/WWD/Wsp%C3%B3lna_deklaracja_uczestnik%C3%B3w_konferencji_Pakt_dla_Mokrade%C5%82.pdf).

Mokradła czy jedność? Są w Polsce bagna, o które naprawdę warto zadbać. I nie są to bagniska polityczne. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2f577505c6

Wspólny rząd zamiast wspólnej listy

Dziś rozmowy o wspólnej liście opozycji przynoszą efekt odwrotny do założonego

Agnieszka Wołk-Łaniewska

Dlaczego ciągle zewsząd słyszymy o wspólnej liście opozycji – choć obiektywnie rzecz biorąc, projekt jest martwy, gdyż nie godzi się na niego nikt poza Platformą? Ponieważ po stronie „demokratycznej opozycji" są cztery formacje, ale radio i telewizję ma tylko Platforma. Wyborcy anty-PiS wierzą we wspólną listę, bo słyszą o niej od poranka w TOK FM do wieczora z TVN 24 i przez cały dzień czytają na stronie Wyborcza.pl.

A wszystkie te media powtarzają wiernie przekaz Tuska. „Jestem gotowy jutro podpisać umowę o jednej liście. Mogę jeszcze miesiąc czekać. Ale za moment muszę wyznaczyć liderów list, nazwę komitetu, muszę zacząć zbierać środki na kampanię. Nie mogę czekać do wakacji", mówił szef PO parę tygodni temu.

Tusk umówiony z ojczyzną

Intrygująca jest ta pierwsza osoba liczby pojedynczej – Tusk nawet nie udaje, że zgłasza to ultimatum w imieniu partii politycznej, złożonej ponoć z 23 tys. członków, że już nie wspomnę o koalicji kilku ugrupowań. Tusk staje samotnie wobec Narodu i Historii i mówi – tu, słowo honoru, cytat – „Umówiłem się z moją ojczyzną", informując innych polityków z antyrządowego obozu, że mogą zabrać się z nim na randkę na trzeciego albo zostać w domu. Nie jest to, powiedzmy sobie szczerze, najlepszy prognostyk partnerskiej współpracy.

Prawda jest taka, że mityczna wspólna lista leży w interesie Platformy Obywatelskiej. Innych ugrupowań opozycji – niekoniecznie. A już na pewno ogłoszenie jej właśnie teraz – czego tak kategorycznie domaga się Donald Tusk – wzmocni PO kosztem innych sił opozycji, gwarantując mu stanowisko premiera w ewentualnym antypisowskim rządzie. Jeśli Polska 2050, lewica i ludowcy już dziś zaakceptowaliby ultimatum Tuska, uznając jego hegemonię – wzmocniłoby to oczywiście Platformę, a ich zmarginalizowało, także w sondażach, co odbiłoby się na podziale miejsc. Bo jesienią PO będzie mogła powiedzieć: „Skoro wy macie 4, 5 czy 6%, a my 30%, to wasze miejsce będzie adekwatne do poziomu waszego poparcia". Zupełnie inaczej negocjuje się z pozycji samodzielnej partii z dwucyfrowym poparciem – na co Hołownia i liderzy lewicy mogą liczyć – a inaczej z pozycji przystawki.

Warto też odnotować, że nieprawdą jest, iż sondaże wskazują jednoznacznie opłacalność jedności. Niektóre, jak obliczenia socjologa Andrzeja Machowskiego, który zainicjował petycję zatytułowaną nieco chełpliwie „Będzie nas 10 milionów", mówią o jej wielkich zaletach. Inne, choćby sondaż United Surveys dla Wirtualnej Polski z początku grudnia, przynoszą obraz zgoła przeciwny: pokazują mobilizację elektoratu PiS i wzmocnienie Konfederacji, która w takim układzie będzie jedyną siłą spoza duopolu. Dwie, a nawet trzy silne listy opozycji mogą liczebnie przynieść tyle samo mandatów co mityczna jedna – D'Hondt nie premiuje „największego", tylko wszystkich dużych, dostających powyżej 15%. O tym, jaki wariant jest najkorzystniejszy, powinni zdecydować eksperci w merytorycznej, szczegółowej dyskusji, a nie w ideologicznym uniesieniu. I powinno to się zdarzyć w ostatnim możliwym momencie, jak najbliżej wyborów. Koalicja, która przywróciła lewicę do Sejmu, powstała mniej niż trzy miesiące przed wyborami – co dało jej dodatkowo walor nowości. Jeśli większość wyborców opozycji naprawdę pragnie wspólnej listy, ucieszy się z niej tak samo w sierpniu, jak i w lutym. Kampania, w sensie promowania kandydatów i haseł (bo raczej nie programów), przecież trwa już w najlepsze. To nie jest tak, że politycy Polski 2050, PSL i Nowej Lewicy nie występują w mediach, nie jeżdżą po Polsce i nie spotykają się z ludźmi, siedzą w domu i grają w szachy z kotem.

Reszta to piąta kolumna

Co gorsza, dziś rozmowy o wspólnej liście opozycji przynoszą efekt wręcz przeciwny. Zamiast budować jedność w obozie anty-PiS, pogłębiają podziały, wywołują hejterskie sztormy wymierzone w polityków, którzy nie chcą się podporządkować woli hegemona. W ostatnich tygodniach ofiarą takiego sztormu padł Szymon Hołownia. Jego rozsądny wywiad w „Gazecie Wyborczej" doczekał się setek komentarzy – i wszystkie bez wyjątku były negatywne, a większość obelżywa: pustak z przerośniętym ego, analfabeta, kretyn, pożyteczny idiota pislamu, piąta kolumna Rydzyka, śliski cwaniak, ciekawe, jakie stanowisko obiecał mu Kaczyński… Nie jestem wielbicielką Hołowni, irytują mnie jego złotousta egzaltacja i zachwycenie tembrem

eprasa.pl 2f577505c6

własnego głosu – ale fakt, że gorący wyznawcy demokracji i pluralizmu są gotowi zatłuc pałami każdego, kto nie maszeruje w rytmie wybijanym przez Donalda Tuska, jest przerażający. Tę nagonkę na polityka, który zmierza wszak do tego samego celu – restauracji demokracji liberalnej, odwrócenia dewastującego wpływu PiS na praworządność – ale widzi inną drogę, najpełniej opisuje twitterowy bon mot Tomasza Lisa: „Kałownia 2023". Ja rozumiem, że Lis jest chorym człowiekiem, ale może jego polityczni poputczycy powinni zachęcić go do milczenia.

Gdyby platformiany komentariat zaryzykował wychynięcie ze swojej bańki, mógłby dostrzec, że Hołownia w kluczowych sprawach ma rację. Logiczna jest teza, że opozycja od siedmiu lat przegrywa wybory, ponieważ nie przeanalizowała swoich błędów z czasów, kiedy wygrywała. Że aby wygrać z PiS, trzeba przedstawić Polakom wizję Polski po Kaczyńskim, nie wystarczy obietnica powrotu do tego, co było – bo bardzo wielu obywatelom to, co było, zupełnie się nie podobało.

Może zatem zamiast mówić o wspólnej liście, której prawdopodobieństwo jest nikłe, należy zacząć mówić o wspólnym rządzie, o jego programie i celach. O ile bowiem wspólna lista jest tylko jednym z wariantów drogi do odebrania władzy Kaczyńskiemu, o tyle wspólny rząd jest warunkiem sine qua non. Jeśli opozycja ma przejąć władzę – musi zbudować w przyszłym Sejmie koalicję, najpewniej złożoną z czterech różnych formacji: PO z przystawkami, Polski 2050, Nowej Lewicy z Razem oraz PSL. Myślę, że nawet najzagorzalsi wyznawcy PO nie wierzą, by Platforma mogła uzyskać wynik wyborczy, który pozwoli jej na utworzenie samodzielnego rządu; w historii III RP udało się to jeden raz, Prawu i Sprawiedliwości w 2019 r., z wynikiem 43,6%. To wynik poza zasięgiem jakiejkolwiek partii strony antypisowskiej, która nie ma ani takich pieniędzy, ani narzędzi propagandowych w postaci mediów publicznych, ani takiej sprawczości, czyli szans na dystrybucję tzw. kiełbasy wyborczej. Nawet jeśli najbardziej przychylne PO sondaże są prawdziwe i partia Tuska przekroczy w wyborach 30%, i tak będzie musiała rządzić z kimś.

Pamiętajcie o PO-PiS

Jeżeli zatem cztery środowiska polityczne, dziś rzucające się sobie do gardeł, mają jeszcze w tym roku współtworzyć nowy rząd – może najwyższa pora, żeby zasiadły do stołu i porozmawiały o tym, jak ten rząd ma wyglądać. Sugeruję wyciągnąć naukę z antycznej lekcji 2005 r., kiedy to do odebrania władzy szorującej po dnie lewicy dziarsko parły dwie postsolidarnościowe partie prawicowe, przekonane, że czeka je wspólna świetlana przyszłość w formie PO-PiS. Pamiętam, jak Jan Rokita – kandydujący wówczas pod nieco uzurpatorskim hasłem „Premier z Krakowa" – po którejś szczególnie brutalnej wymianie kampanijnych ciosów między przyszłymi koalicjantami wzniósł rozpaczliwy okrzyk: „Na miłość boską, przecież za chwilę mamy wspólnie rządzić Polską!". Do wspólnych rządów PiS i PO nie doszło, PiS usiłowało sprawować władzę, wspierając się czarną sotnią z LPR i ludową rebelią z Samoobrony, a stosunki między niedoszłymi koalicjantami stały się zarzewiem trwającej już niemal dwie dekady wojny polsko-polskiej. Żeby zacytować klasyka: nie idźcie tą drogą.

Lepszą drogą byłoby rozpoczęcie – już dziś – rozmów o kształcie przyszłego gabinetu. Rozdzielenie kluczowych ministerstw i powierzenie formacjom, które je otrzymają, obowiązku przygotowania programów dla swoich resortów. Niektóre rozwiązania wydają się naturalne – jak PSL w rolnictwie, lewica w ministerstwie pracy. Resort sprawiedliwości, a może i np. zdrowia, należałoby powierzyć bezpartyjnym fachowcom, autorytetom w danej dziedzinie uznawanym przez wszystkie partie opozycyjne, tak aby radykalne zmiany, bez których się nie obejdzie, nie miały partyjnej etykietki. Problematyczny będzie zapewne podział resortów siłowych. Bez trudu mogę sobie wyobrazić, że Tusk będzie chciał zachować pod swoim wpływem i MON, i MSW, i jeszcze uzupełnić to MSZ – ale gotowość do posunięcia się szczególnie w tych obszarach zdecyduje o jego wiarygodności w oczach koalicjantów. A właśnie brak zaufania i obawa przed podzieleniem losu Nowoczesnej, Inicjatywy Barbary Nowackiej czy Zielonych są rzeczywistą przyczyną, dla której reszta „demokratycznej opozycji" odrzuca „przemocowe zaloty PO" w sprawie wspólnej listy.

•

Dziś najpilniejszym zadaniem jest nie ułożenie list, lecz przekonanie wyborców, że anty-PiS nie schrzani sprawy jeszcze gorzej niż PiS. Wiarygodność opozycji, jeśli chodzi o zdolność do sprawnego rządzenia, jest nikła; także w oczach jej zwolenników. Na zadane w połowie stycznia przez SW Research pytanie, „czy Koalicja Obywatelska, Polska 2050, Nowa Lewica i PSL będą w stanie porozumieć się ws. utworzenia wspólnego rządu po wyborach", zaledwie 30,5% respondentów odpowiedziało: „tak", 41,5% – „nie", 28% nie ma zdania.

Jeszcze bardziej ponury był sondaż Ipsos dla OKO.press sprzed półtora roku, w którym odpowiadający byli podzieleni według sympatii politycznych. Na pytanie, czy „partie opozycyjne są przygotowane do dobrego rządzenia", 62% ogółu badanych – i aż połowa zwolenników „demokratycznej opozycji" – odpowiedziało odmownie.

Drodzy Obrońcy Demokracji, przestańcie się kłócić między sobą i zacznijcie mówić do ludu. Oraz do rzeczy. Wytężamy słuch.

■

Czy korzystniejsza jest jedna lista, czy więcej, powinni zdecydować eksperci w merytorycznej dyskusji, a nie w ideologicznym uniesieniu. I jak najbliżej wyborów.

eprasa.pl 2f577505c6

Niemiecki ból polskiej prawicy

Polityczni i intelektualni przywódcy polskiej prawicy doskonale wiedzą, że za Odrą nie byłoby możliwe dojście do władzy takiej partii jak PiS

Paweł Siergiejczyk

Nic tak nie boli polskiej prawicy jak Niemcy. To nie przypadek, że tegoroczna kampania wyborcza PiS przebiega – i z pewnością nadal będzie przebiegać – pod hasłami skrajnej wrogości wobec zachodniego sąsiada. I nie chodzi tu jedynie o osobistą nienawiść do Donalda Tuska, w którego obóz Jarosława Kaczyńskiego bije „niemiecką pałką" od wyborów prezydenckich w 2005 r. Dobrze władający językiem Goethego (który to język wyniósł z rodzinnej, kaszubskiej tradycji) i blisko współpracujący z niemiecką chadecją Tusk idealnie pasuje do stereotypu „wroga narodu" wysługującego się Berlinowi na szkodę Polski. A stereotyp ten zapisany jest w politycznym DNA polskiej prawicy, i to nie od wczoraj.

Antyniemieckość samego Kaczyńskiego jest jednak dosyć świeżej daty – wszak gdy zakładał Porozumienie Centrum na początku lat 90., wyraźnie wzorował się na partii ówczesnego kanclerza Helmuta Kohla, z którą próbował nawiązać bliską współpracę. Trudno dziś jednoznacznie stwierdzić, czy w stronę antygermanizmu popchnęła go bezskuteczność tych zabiegów (zresztą Porozumienie Centrum dość szybko znalazło się na marginesie polskiej polityki), czy raczej chęć konkurowania z pozostałymi odłamami prawicy, zwłaszcza o proweniencji endecko-klerykalnej (Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, a później Liga Polskich Rodzin). Tak czy inaczej, odkąd PiS zdominowało prawą stronę sceny politycznej – czyli od roku 2005 – Kaczyński nie ma żadnych skrupułów przed sięganiem do arsenału sloganów i insynuacji o wymowie jednoznacznie antyniemieckiej. A ponieważ osobisty autorytet „wodza" odgrywa w jego obozie rolę wyroczni, od lat wszystkie media opanowane przez ludzi prawicy walą w Niemcy i w Niemców jak w bęben. Nie inaczej zresztą jest w środowiskach prawicy opozycyjnej, związanej dzisiaj z Konfederacją – tutaj obsesyjny antygermanizm idzie nawet jeszcze dalej, bo rolę „niemieckiej agentury" przypisuje się również PiS.

Wrogość polskiej prawicy do zachodniego sąsiada można próbować wyjaśniać historycznie. Przecież najmocniejszą i najtrwalszą tradycją prawicową w Polsce jest tradycja Narodowej Demokracji, od początku XX w. skrajnie antyniemieckiej. Co prawda, w okresie międzywojennym na pierwsze miejsce spośród endeckich obsesji wysunął się antysemityzm, ale II wojna światowa i Holokaust sprawiły, że otwarta wrogość do Żydów musiała zostać porzucona, a przynajmniej wyciszona, natomiast nienawiść do Niemców zyskała autentyczne podłoże społeczne, i to na wiele pokoleń. Nic dziwnego, że odwoływały się do niej także władze Polski Ludowej, tyle że w bardzo konkretnym celu: aby wymusić na RFN uznanie polskiej granicy zachodniej. Ale odkąd udało się to osiągnąć ekipie Władysława Gomułki w grudniu 1970 r., kolejna ekipa – pod kierownictwem Edwarda Gierka – mogła już znormalizować stosunki z zachodnimi Niemcami, czemu sprzyjały czasy rządów socjaldemokratów w Bonn.

Antyteza III Rzeszy

Warto w tym miejscu przypomnieć, że w momencie jednoczenia Niemiec w 1990 r. pierwszy rząd III Rzeczypospolitej, z premierem Tadeuszem Mazowieckim i ministrem spraw zagranicznych Krzysztofem Skubiszewskim na czele, również podjął akcję polityczno-dyplomatyczną na rzecz zagwarantowania nienaruszalności naszych granic. Tyle że tamtej ekipie pewnie nawet nie przyszło do głowy, by dla poparcia swojej akcji rozpętywać w kraju antyniemiecką kampanię. Natomiast Jarosław Kaczyński nie ma najmniejszych skrupułów: żądanie od Niemiec reparacji wojennych niemal 80 lat po zakończeniu wojny uznał za znakomity motyw kampanii wyborczej, a winę za oczywistą nieskuteczność tego żądania zamierza zrzucić na „opcję niemiecką", czyli partię Tuska. Jakaż różnica między liderem PiS a prawdziwymi mężami stanu – Gomułką czy Mazowieckim...

Jednak antygermanizm polskiej prawicy nie wynika tylko z „zaczadzenia Dmowskim" czy z rodzinnych wspomnień o krzywdach wyrządzonych przez hitlerowców. Powód jest znacznie bardziej współczesny, a nawet przyszłościowy. Otóż Republika Federalna Niemiec reprezentuje te zasady i wartości, których nasza prawica nie znosi i których panicznie się

Antyniemieckość Kaczyńskiego jest dosyć świeżej daty – wszak gdy zakładał Porozumienie Centrum, wyraźnie wzorował się na partii kanclerza Kohla.

eprasa.pl 2f577505c6

boi. A zarazem stanowi żywy – w dodatku znajdujący się tuż za miedzą – dowód na to, że z powodzeniem może istnieć państwo oparte na tych zasadach i wartościach.

Bo czymże są powojenne Niemcy? Świadomie i konsekwentnie zbudowaną antytezą III Rzeszy. Czyli państwem, którego fundamentami są demokracja parlamentarna, praworządność i wolności obywatelskie, a na żadne przejawy nacjonalizmu, faszyzmu i innego populizmu po prostu nie ma zgody. Swoją dziejową klęskę w 1945 r. Niemcy wykorzystali do przebudowy własnej tożsamości narodowej, eliminując z niej wszystko to, co doprowadziło do dwóch wojen światowych. W ten sposób wytworzyła się formuła „patriotyzmu konstytucyjnego", a więc wspólnoty ludzi połączonych miejscem zamieszkania i wspólną troską o to miejsce, a nie mitycznymi „więzami krwi", stanowiącymi podstawę wszelkich nacjonalizmów w Europie.

Oczywiście ta gruntowna przemiana mentalna Niemców nie byłaby możliwa bez czterech lat powojennej okupacji, jak i bez późniejszego wsparcia oraz ścisłych więzi z liberalnymi demokracjami Zachodu – poprzez udział RFN w NATO i w strukturach europejskich. Dzięki temu Niemcy stały się modelowym przykładem takiej właśnie liberalnej demokracji, a dziś mogą wręcz stanowić wzór dla swoich dawnych okupantów. Wszak trudno sobie wyobrazić, by w Berlinie mógł przejąć władzę ktoś taki jak Donald Trump albo Marine Le Pen, niemożliwy jest także „niemiecki brexit". Dzisiaj więc to Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi mogą się uczyć od Niemców, na czym polega odpowiedzialna polityka oparta na liberalno-demokratycznych wartościach.

Bez politycznego klerykalizmu

Polityczni i intelektualni przywódcy polskiej prawicy doskonale wiedzą – albo przynajmniej wyczuwają – że za Odrą nie byłoby możliwe dojście do władzy takiej partii jak PiS ani zasiadanie w parlamencie takiej grupy jak Konfederacja. Bo nawet tamtejszej formacji „antysystemowej" – izolowanej przez pozostałe partie Alternatywie dla Niemiec (AfD) – daleko do otwartej pogardy dla porządku konstytucyjnego w wydaniu pisowskim czy do nacjonalizmu naszej skrajnej prawicy. W Bundestagu dominują za to ugrupowania szeroko pojętej centrolewicy (socjaldemokraci z SPD, Lewica, Zieloni, liberałowie z FDP), a niemiecka centroprawica to umiarkowana, proeuropejska i prozachodnia CDU – partia Konrada Adenauera, Ludwiga Erharda, Helmuta Kohla i Angeli Merkel, a więc ugrupowanie, które zbudowało Republikę Federalną i przez kolejne dziesięciolecia wyznaczało kierunki jej rozwoju.

Niemiecką chrześcijańską demokrację odróżnia od naszej prawicy jeszcze jedno: brak politycznego klerykalizmu, czyli wykorzystywania Kościoła i religii do celów partyjnych. Wynika to nie tylko z faktu, że społeczeństwo RFN jest mocno zlaicyzowane, ale przede wszystkim z pluralizmu religijnego Niemiec, które przecież są ojczyzną zarówno Marcina Lutra, jak i papieża Ratzingera. Wojny religijne XVI i XVII w. skutecznie nauczyły Niemców, do jakich katastrof i destrukcji państwa prowadzi polityczny klerykalizm, podobnie jak dwie wojny światowe nauczyły ich, czym kończy się nacjonalistyczne oszołomienie.

Nic dziwnego, że dzisiejsze Niemcy są krajem wielokulturowym, czego najlepszą ilustrację stanowi skład Bundestagu. Wśród 736 posłów wszystkich ugrupowań znajdziemy katolików, ewangelików i niewierzących, ale też coraz liczniejszych polityków o nazwiskach tureckich, perskich, arabskich, afrykańskich, południowosłowiańskich czy polskich (trudno zresztą znaleźć na świecie drugi parlament, w którym zasiadałoby tylu posłów polskiego pochodzenia). Oczywiście większość to ludzie dobrze wykształceni, fachowcy w różnych dziedzinach, co jedynie potwierdza tak nielubianą u nas prawdę, że imigranci – a potem ich dzieci i wnuki – wzbogacają kraj, w którym szukają lepszej przyszłości. Dlatego władze RFN, otwierając granice dla kolejnych fal imigrantów, nie tylko działają na korzyść swojego kraju, ale także mogą liczyć na poparcie większości niemieckiego społeczeństwa. To też pozytywnie odróżnia Niemców od ich dawnych okupantów, którzy po wojnie uczyli ich na nowo liberalnej demokracji, a teraz sami mają kłopoty ze społeczną akceptacją współobywateli o innym odcieniu skóry.

Niemiecką chrześcijańską demokrację odróżnia od naszej prawicy brak politycznego klerykalizmu, czyli wykorzystywania Kościoła i religii do celów partyjnych.

Wielokulturowość nie oznacza przy tym, że współcześni Niemcy zapomnieli o swoim dziedzictwie historycznym i kulturowym. Kultura niemiecka przynajmniej od czasów oświecenia jest jedną z najważniejszych w Europie, a roli niemieckich pisarzy, filozofów, kompozytorów czy naukowców nie da się porównać z peryferyjnym miejscem np. polskich twórców czy uczonych. Również o swojej przeszłości Niemcy pamiętają, poddając ją tyleż wnikliwej, co krytycznej analizie we wszystkich aspektach. W zakresie warsztatowej rzetelności, ale i horyzontów intelektualnych nasi historycy mogą bardzo dużo się nauczyć od niemieckich kolegów – i szkoda, że tego nie robią, choć mają znakomite warunki, m.in. dzięki istniejącemu od 30 lat Niemieckiemu Instytutowi Historycznemu w Warszawie.

Tym, co odróżnia zachodniego sąsiada od Polski – a zwłaszcza polskiej prawicy – jest odrzucenie zarówno nacjonalizmu i klerykalizmu, jak i antykomunizmu jako „ideologii państwowej" (u nas propagowanej przez IPN, święto „żołnierzy wyklętych" itd.). Oczywiście Republika Federalna powstała jako państwo antykomunistyczne – tyle że było to w 1949 r., gdy żył jeszcze Stalin, a Zachód drżał przed groźbą kolejnej wojny światowej. Ale już 20 lat

eprasa.pl 2f577505c6

później socjaldemokratyczny rząd w Bonn postawił na Ostpolitik, czyli stopniowe porozumiewanie się ze Wschodem, co po kolejnych dwóch dekadach znacznie ułatwiło demontaż systemu komunistycznego w NRD i zjednoczenie Niemiec.

Jedynym przejawem państwowego antykomunizmu po 1990 r. była działalność urzędu pastora Joachima Gaucka, zajmującego się przechowywaniem i udostępnianiem archiwów NRD-owskiej policji politycznej. A jednak niemieckiego podejścia do powojennej przeszłości nie da się porównać z IPN-owskimi „polowaniami na czarownice". Niemcy nie mogli sobie pozwolić na eliminowanie z życia publicznego części własnych rodaków wyłącznie dlatego, że funkcjonowali oni w komunistycznym państwie. Wręcz przeciwnie – postawili na prawdziwe pojednanie narodowe, czego najlepszym przykładem jest kanclerz Angela Merkel, której NRD-owska młodość nie stanowiła nigdy przeszkody w karierze politycznej w zjednoczonych Niemczech, w dodatku w szeregach CDU.

Koronny zarzut

Ponad 30 lat po upadku NRD i Związku Radzieckiego antykomunizm nie jest więc Niemcom do niczego potrzebny. Tym bardziej że fundamentem Republiki Federalnej ciągle jest antyfaszyzm, stawianie na równi systemu hitlerowskiego i stalinowskiego – co stało się już normą w naszym kraju – w Niemczech nie wchodzi zatem w grę. III Rzesza to zło absolutne, a ZSRR był jednym z państw (może nawet najważniejszym), które pokonały III Rzeszę. Pamięta się o tym w Izraelu, pamięta się też w Niemczech. I tylko polska prawica nie chce pamiętać, że Armia Czerwona zatrzymała hitlerowskie ludobójstwo ludności II Rzeczypospolitej (Żydów, Polaków, Białorusinów, Ukraińców), a tak wyklinana „zdrada jałtańska" umożliwiła odrodzenie państwa polskiego po sześciu latach jego nieobecności na mapie Europy.

Wielce wymowna jest popularność w kręgach prawicowych historyków i publicystów tezy, jakoby „ratunkiem" dla Polski w 1939 r. mógł być sojusz z III Rzeszą, a nawet późniejsza kolaboracja z niemieckim okupantem. W tym celu sięga się po publicystykę Władysława Studnickiego – skrajnego rusofoba i germanofila, którego sami Niemcy nie traktowali poważnie, lekceważąc jego oferty współpracy wysuwane w czasie wojny. To bardzo znamienne, że tylko ten jeden zwolennik sojuszu z Berlinem – i to z Berlinem hitlerowskim – może liczyć na uznanie autorów związanych z naszą prawicą. Tymczasem RFN, bez wątpienia najbardziej „zachodnie" i zarazem propolskie państwo niemieckie w historii, traktowane jest w najlepszym razie z pogardą, a w ostatnim czasie z coraz większą wrogością. Czyżby polska prawica naprawdę wolała III Rzeszę od Republiki Federalnej?

Można odnieść takie wrażenie, słysząc od roku „koronny zarzut" wobec dzisiejszych Niemiec: że są prorosyjskie, pacyfistyczne, chcą ze wszystkimi handlować i w ten sposób de facto wspierają Rosję Putina. Rzekomą prorosyjskość od razu można włożyć między bajki, trudno bowiem o większe przeciwieństwo w dzisiejszej Europie niż demokratyczne, liberalne, tolerancyjne Niemcy i autokratyczna, antyliberalna, ksenofobiczna Rosja – tu żadnej sympatii nie ma i nie będzie. Natomiast zarzut pacyfizmu wysuwany wobec Niemców jest prawdziwy, bo właśnie w duchu antywojennym („Nigdy więcej wojny!") ukształtowano kolejne powojenne pokolenia, zarówno w NRD, jak i w RFN. Tylko czy akurat my, Polacy, powinniśmy mieć to Niemcom za złe? Czy nie jest rodzajem historycznego cudu, że po wiekach militaryzmu nasz zachodni sąsiad odrzucił przemoc jako metodę kształtowania stosunków międzynarodowych? Czy naprawdę powinniśmy mieć za złe Niemcom, że nie mają ochoty kolejny raz w historii wysyłać swojego wojska (a nawet samego uzbrojenia) na Wschód, lecz stali się narodem statecznych biznesmenów uznających, iż handel jest lepszym sposobem budowania stabilnego świata niż wojna?

Polska prawica doskonale wie, że współczesne Niemcy to kraj sukcesu – gospodarczego, społecznego, kulturowego i politycznego – szczególnie dobrze widocznego na tle innych krajów Europy. Stąd bierze się kompleks niższości wobec zachodniego sąsiada, uporczywie maskowany rzekomą wyższością historyczną i moralną. Dlatego też antyniemiecka fobia obecnych polskich władz i ich zwolenników jest głęboko prawdziwa. Skoro bowiem Niemcom udało się zbudować wzorcową demokrację liberalną, bez nacjonalizmu, klerykalizmu, antykomunizmu i w ogóle jakiejkolwiek prawicowej ideologii, podobne „nieszczęście" może również grozić Polsce. I wtedy okaże się, że prawica nie jest już Polakom do niczego potrzebna.

Paweł Siergiejczyk

Zarzut pacyfizmu wysuwany wobec Niemców jest prawdziwy. Tylko czy akurat my, Polacy, powinniśmy mieć im pacyfizm za złe?

eprasa.pl 2f577505c6

Oko w oko

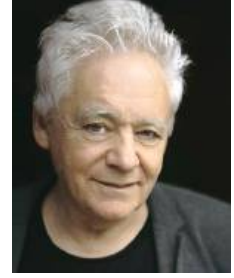

Tomasz Jastrun

Lokator

Od jakiegoś czasu nie czytam powieści, nie mogę, fikcja mnie męczy, cenię różne formy dokumentu, najbardziej dzienniki. Sam jednak piszę powieści, więc to podejrzane. A tu jak wielki wieloryb połknęło mnie „W poszukiwaniu straconego czasu" Marcela Prousta. Czytałem na studiach, ale nie wyszedłem poza tom pierwszy, czyli „W stronę Swanna". Jestem jednak w doborowym towarzystwie, bardziej niż ja znakomitych czytelników, którzy nie mogli. Ale nawet oni zawsze przyznają, że Proust jest genialny. Genialny, lecz nieznośny. I to zawsze wstyd, że nie zna się całego Prousta. Jego zdania monstra ciągną się bez końca. Czas w powieści płynie niezwykle wolno, a dzisiaj czas przyśpieszył, więc to się kłóci. Za to lekko i przyjemnie czyta się spisane wspomnienia gospodyni Prousta, Céleste Albaret. I chyba ta łatwa, niezwykła opowieść prostej kobiety, skupiona na pisarzu, nagle otwiera mi drzwi do prozy Prousta. A ona jak narkotyk, oszałamia. I jaka to lekcja dla pisarza. Proza rozświetlana jest co chwila takimi zdaniami: „Za każdym razem, kiedy widziała czyjąś wyższość – choćby najmniejszą – której nie posiadała, wmawiała w siebie, że to nie jest wyższość, ale upośledzenie, i żałowała tej osoby, aby jej nie musieć zazdrościć". Albo takie cudowne słowa: „Kościół streszczał to miasto". Czy jednak teraz też wyjdę poza pierwszy tom? Nie sądzę. Nie mam czasu na tak wolno płynący czas.

•

Ustępowanie miejsca w autobusie przez młodych już mnie tak nie upokarza. Niedawno jednak stało się coś okropnego. Chciała mi ustąpić miejsca starsza pani, zdawało mi się, że w moim wieku. Tego już za wiele, prawie niegrzecznie odmówiłem. Ze starością jest tak, że na początku zdaje się jakby ciałem osobnym, jakby nosiło się starego lokatora, który jednak często opuszcza nasz dom, a wtedy czujemy się całkiem młodo. Ale potem nie wiadomo kiedy ten lokator staje się tobą. Sam nie wiem, jak jest z moim lokatorem.

•

Cenię Magdalenę Środę, ale inteligencja i wiedza nie chronią od napisania czasami czegoś głupiego i szkodliwego. Stwierdziła: „Gdyby mierzyć międzynarodową karierę różnych chorób, to depresja stanowczo wygrywa z covidem i chorobą niespokojnych nóg. Nie mieć depresji, to jakby nie być dość nowoczesnym. (…) Jak mieszkałam w Stanach Zjednoczonych w latach 90., to niezwykle mnie dziwiło, że niemal każdy z moich akademickich kolegów miał swojego psychoterapeutę i swoje lekarstwa na depresję ostentacyjnie wystawione na łazienkowych półkach. Moda ta przyszła już wiele lat temu do Europy". Ta wypowiedź Środy rozpętała burzę. Okrutnie wzburzyli się ci, którzy chorowali lub chorują na depresję i ją rozumieją w przeciwieństwie do filozofki, która szczęśliwie dla siebie nie ma takich doświadczeń. Kpienie z leków, które przecież zwykle świetnie leczą depresję, to przestępstwo. Problemem nie jest moda na leki, ale to, że wielu chorych nie sięga po nie, że się nie leczą. Ta choroba to epidemia XXI w., często śmiertelna, źródło strasznych cierpień, ból wszystkich zębów duszy, obóz zagłady, niestety wiem, o czym piszę. Piękna mi moda. To jakby napisać, że jest moda na raka, bo kobiety badają sobie piersi.

•

Wiele hałasu, i słusznie, wokół dotacji ministra Czarnka dla fundacji edukacyjnych związanych z ludźmi PiS, a tak naprawdę placówki polityczne, mające w przyszłości promować religijne i prawicowe idee. To przyczółki i wyspy na wypadek przegranych wyborów. A jak ich nie przegrają, to też się przyda. Ale to również tworzenie nowych elit, zaprogramowanych na endeckie myślenie: naród, Bóg, tradycja. A wszystkie zaprawione korupcją. To także skok nieudaczników na kasę i na stanowiska. PiS jest jak rak z przerzutami, dlatego wygrana z nim w wyborach parlamentarnych to dopiero początek długiego leczenia, z niepewnym skutkiem. Polska będzie po tych rządach ciężko chora. W tej całej potworności PiS tylko za jedno mogę tę formację pochwalić. Za jej stosunek i postępowanie wobec wojny w Ukrainie. Ta wojna to jakiś koszmar, zły sen, z którego nie można się wybudzić. Ukraina nie może tego wygrać, potencjał Rosji jest ogromny. I te Himalaje rosyjskiego mięsa armatniego, i brak jakichkolwiek skrupułów! Ale nie może też całkowicie przegrać, myślę o pacyfikacji całej Ukrainy, cywilizowany świat na to nie pozwoli. Intuicja mi mówi, że Putin będzie chciał zdobyć wschodnie prowincje i otrąbi zwycięstwo. To jest od biedy ciemny, ale optymistyczny scenariusz. A wszystko nadal z lekka pachnie wojną światową. A że ona nie mieści się nam w głowach, to słaby argument. ■

Starość na początku zdaje się ciałem osobnym, jakby nosiło się starego lokatora, który jednak często opuszcza nasz dom, a wtedy czujemy się całkiem młodo.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2f577505c6

Przeciwko lukrowaniu prostytucji

Jedna strona potępia kobiety pracujące w seksbiznesie, druga uważa, że to praca jak każda inna. Jakby nikomu nie chodziło o dobro tych kobiet

Dominika Tworek

Prostytucja nigdy nie była moim świadomym wyborem. Gdybym na początku wiedziała, co mnie czeka, nigdy w życiu nie naraziłabym się na takie upodlenie. Do dzisiaj czuję wstyd, obrzydzenie do siebie i nie wiem, czy po tym wszystkim będę kiedykolwiek mogła znowu pokochać – mówi jedna z przetrwanek seksbiznesu, sprzedająca swoje ciało za pośrednictwem portali internetowych.

Gdy pierwszy raz spotkała się ze starszym mężczyzną, miała 16 lat. – Mieszkałam z mamą i rodzeństwem. Czułam się niezrozumiana, niekochana, niechciana. Ojciec mieszkał osobno, więc mój brat przejął rolę męskiego opiekuna, w tym prawo do karania mnie przemocą. Ojciec był agresywnym alkoholikiem, ale codziennie zawoził mnie do szkoły i obdarowywał zabawkami. Nie wiedziałam, że w ten sposób mnie przekupywał.

Nastolatka motywowana korzyścią finansową i potrzebą akceptacji spotkała się z 30-letnim mężczyzną: – Nie przeszkadzało mu to, ile mam lat. Stosunek z nim zakończyłam płaczem. Mój pierwszy chłopak był jego imiennikiem – wyobrażałam sobie, że robię to z nim. Wtedy nie zastanawiałam się długo nad skutkami mojej decyzji, bo tego samego dnia miałam nowy, piękny aparat.

Dziewczyna szybko uzależniła się od prezentów, „łatwych" pieniędzy, złudnego poczucia bezpieczeństwa i władzy nad mężczyznami. Chociaż mówiła sobie, że musi z tym skończyć, tkwiła w zamrożeniu.

W wydostaniu się z martwego punktu pomaga Stowarzyszenie Bez – pierwsza w Polsce organizacja działająca na rzecz kobiet, które uwikłały się w seksbiznes – prostytucję, pokazy erotyczne na kamerkach czy przemysł porno. Każdej, która zgłosi się po wsparcie, oferowana jest bezpłatna, długofalowa pomoc. Przetrwanka trafia pod skrzydła jednej z członkiń stowarzyszenia, która pozostaje z nią w stałym kontakcie i stara się dopasować formy pomocy do jej potrzeb. Na przykład załatwia psychoterapię, nocleg, wizytę u ginekologa, pomaga stworzyć CV, żeby znaleźć inną pracę.

Nie praca, ale wyzysk seksualny

Organizację założyły dwudziestokilkuletnie feministki, zmotywowane buntem przeciwko dominującym w przestrzeni publicznej narracjom na temat prostytucji. – Jedna strona to głos konserwatywny, który moralizuje i potępia kobiety. Krytyka spada nie na kupujących seks, ale właśnie na nie. W kontrze do tego mamy stronę liberalną i „progresywną", która z kolei lukruje prostytucję. W dyskursie feministycznym nie można nawet powiedzieć, że to prostytucja – trzeba użyć określenia praca seksualna. Przetrwanki seksbiznesu często mówią, że gdy próbowały powiedzieć wprost, czym się zajmowały i jak bardzo je to skrzywdziło, słyszały, że to nie przemysł jest krzywdzący, tylko one sobie tam nie poradziły. Mam poczucie, jakby żadnej ze stron nie chodziło o dobro tych kobiet – wyjaśnia Maja Majewska, współzałożycielka i prezeska Stowarzyszenia Bez.

– Prostytucja jest jedną z najjaskrawszych patologii patriarchalnego społeczeństwa. Podczas gdy problem ten powinien być poddawany systemowej analizie, mainstreamowy feminizm podkreśla, że część kobiet tego chce, że jest to ich wolny wybór. Przejawy takiego myślenia widzimy także w środowisku akademickim. Na przykład na Uniwersytecie Jagiellońskim prowadzone są zajęcia z socjologii pracy seksualnej. Podczas gdy ok. 90% kobiet w prostytucji deklaruje, że chciałoby z niej wyjść! Liberalne feministki zarzucają nam, że mówiąc „prostytucja", używamy

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2f577505c6

stygmatyzującego słownictwa. Myślą, że można zmienić naturę tego zjawiska, zmieniając samą nazwę. A przecież słowo prostytucja pokazuje prawdziwszą stronę tego przemysłu. To nie jest pójście do pracy, tylko wyzysk seksualny – wskazuje Oliwia Trybus, współzałożycielka stowarzyszenia.

– W mediach promuje się luksusowe prostytutki. W internecie blogerki czy influencerki chwalą się, że potrafią zarobić 10 tys. zł w jeden weekend – dodaje Oliwia. – Dziś nie posłuchamy podcastu o tym, że dziewczyna musiała za 50 zł zrobić loda jakiemuś obleśnemu facetowi przy autostradzie. A pamiętajmy, że przydrożna prostytucja nadal istnieje. Jednak takie opowieści to nie są fajne historie, które będą się „klikać". Osób skrzywdzonych właściwie nie słychać, bo one skupione są na przetrwaniu, a nie budowaniu swojego medialnego wizerunku.

Pokłosiem promowania w mediach prostytucji jako sposobu zarobkowania oraz swego rodzaju kontrkulturowości (seksworkerki nieraz podkreślają, że nie płacą podatków) są decyzje wielu dziewczyn o wynajmowaniu własnego ciała. Przetrwanki natomiast ostrzegają, że dużo łatwiej zacząć to robić, niż z tym skończyć. Na późniejszych etapach pojawiają się trudności ze znalezieniem zatrudnienia, bo trzeba wytłumaczyć, dlaczego kilka lat nie funkcjonowało się na rynku pracy, czy uzależnienie od szybkich pieniędzy (ale też od alkoholu, narkotyków). Konsekwencją prostytuowania się jest bardzo często również społeczna izolacja.

Prostytucja to przemoc

Badania pokazują, że prostytucja związana jest z przemocą. W San Francisco 82% dorosłych osób w prostytucji padło ofiarą fizycznej przemocy, 83% grożono bronią, a 68% zostało zgwałconych. W Wielkiej Brytanii ponad połowa osób w prostytucji ulicznej i jedna czwarta tych zamkniętych w agencjach miała do czynienia z jakąś formą przemocy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. A według Oliwii już samo znalezienie się w prostytucji wiąże się z doświadczeniem przemocy seksualnej: – To naruszenie fundamentalnej zasady zgody na czynności seksualne, która ma być dobrowolna i nieprzymuszona. A kiedy elementem przetargowym stają się pieniądze – ktoś dysponuje środkami, których ktoś inny potrzebuje, i w zamian wymaga seksu – to te osoby nie mają równej pozycji. Dlatego dla nas kluczowe jest przekierowywanie uwagi z kobiet trwających w tym przemyśle na mężczyzn kupujących seks, którzy twierdzą, że aby uzyskać zgodę na jakąś intymność, wystarczy mieć pieniądze. Perspektywa lukrowania prostytucji pomija pełen mizoginii i pogardy dla kobiet aspekt traktowania nas jak przedmioty do nabycia.

Członkinie stowarzyszenia podkreślają, że prostytucja nie jest wolnym wyborem kobiet. Ten wybór to tak naprawdę brak wyboru. – Kiedy kobieta sprzedaje swoją seksualność, zazwyczaj jest to dla niej ostateczność. Historie naszych przetrwanek zawsze związane są z biedą. To osoby mające bardzo duże trudności materialne. Często w kryzysie bezdomności – i nie chodzi o spanie na ulicy, tylko o tułanie się po znajomych czy stałe problemy z opłacaniem czynszu. Te młode dorosłe nie mają żadnego wsparcia ze strony rodziców lub otoczenia, dlatego bardzo potrzebują pomocy psychologicznej. Trafiają do nas, gdy znalazły się pod ścianą, często nawet z myślami samobójczymi – opowiada Maja.

Legalizacja nie pomoże

Prostytuowanie się i sprzedawanie usług seksualnych nie są w Polsce karalne. A coraz częściej słyszymy postulaty niekarania także stręczycieli czy sutenerów. Według działaczek zarówno ten pomysł, jak i idea legalizacji prostytucji to zła droga, która narazi kobiety na jeszcze większe cierpienie.

– Słyszymy, że legalizacja prostytucji pozwoli zwiększyć kontrolę nad czarną strefą. Jednak przykłady państw, które – jak Niemcy czy Holandia – wyszły z takiego założenia, pokazują, że to tak naprawdę pogłębiło problemy. Ta czarna strefa nadal funkcjonuje. Z badań wynika, że w krajach tych ogromnie rozrósł się handel ludźmi. Mogliśmy to obserwować po eskalacji wojny w Ukrainie, kiedy niemieccy stręczyciele na polsko-ukraińskiej czy polsko-niemieckiej granicy wyławiali młode kobiety, a cały proceder odbywał się pod szyldem właściwie rekrutacji do pracy. Berlińska organizacja pro-sexwork w mediach społecznościowych przedstawiła ofertę „pomocy" dla uchodźczyń. Na infografikach mogliśmy przeczytać, że rozpoczęcie „pracy" jako prostytutka w Niemczech jest korzystnym rozwiązaniem dla kobiet uciekających przed wojną – komentuje Maja.

Badania wskazują, że w Niemczech najczęściej prostytuują się uchodźczynie, bo to jedyna rzecz, którą mogą robić legalnie – ale bez odpowiednich zezwoleń na pracę. Bierna postawa państwa wpycha więc w bagno kobiety z najbiedniejszych warstw społecznych.

Model nordycki

Jednym ze sposobów prawnego rozwiązania kwestii prostytucji jest funkcjonujący już m.in. w Szwecji model nordycki, znany również jako neoabolicjonizm lub model równościowy. Jasno stwierdza on, że prostytucja jako zjawisko społeczne jest szkodliwa, że seksbiznes i ludzie, którzy go podtrzymują (sutenerzy i nabywcy usług seksualnych), utrwalają szkodliwe zachowania społeczne. Model nordycki przewiduje sankcje, które zniechęcają do tego typu działań. Stawia na pełną dekryminalizację kobiet w prostytucji, a za przestępców uznaje osoby kupujące seks. Neoabolicjonizm zakłada o wiele surowsze kary za stręczycielstwo, sutenerstwo i handel seksualny. Uznaje także potrzebę zmian systemowych wraz ze wsparciem ekonomicznym i społecznym dla kobiet uwięzionych w prostytucji.

– Po roku funkcjonowania widzimy, jak bardzo byłyśmy potrzebne. Dlatego tym, co należy natychmiast zrobić, jest uruchomienie programów pomocy ze strony państwa dla osób chcących wyjść z prostytucji. Żadna organizacja z sektora trzeciego sama tego nie zrobi – podsumowuje Oliwia, współzałożycielka stowarzyszenia. ■

eprasa.pl 2f577505c6

Kornel Wawrzyniak

Rynek wart miliardy

Gry wideo to dziś największy kawałek tortu w branży rozrywkowej. Gracze stanowią już 38% populacji

W internecie od lat krąży film z gatunku tych zabawnych, na którym mężczyznę w okularach z bardzo grubymi szkłami dziennikarz pyta, co ten planuje robić w sylwestra. Pada odpowiedź: „Będę grał w grę!". Właśnie taki mamy obraz typowego gracza, określanego często mianem nerda (zapożyczenie z angielskiego, które oznacza przesadnego entuzjastę informatyki i gier komputerowych). Stereotypowy gracz to młodzian siedzący w ciemnym pokoju, najczęściej w samych gaciach, zupełnie oderwany od rzeczywistości – gapi się godzinami w ekran i nic w życiu prywatnym osiągnąć nie umie.

Gracze jednak się zmienili i zmienił się sam rynek gier. Dziś to rozrywka masowa, a gra już prawie co czwarta osoba na świecie. Współczesnemu graczowi bliżej więc do pracowniczki korporacji, która ma ok. 35 lat i do pracy modnie się ubiera.

Gry wpływają na rzeczywistość

W Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie trwa zabieg.

Przeciętny gracz ma 34 lata, jest właścicielem nieruchomości, w której mieszka, i zdążył już założyć rodzinę.

Nad operowanym unoszą się cztery robotyczne ramiona. Wygląda to jak film science fiction, ale to współczesna Polska. Gdzie jest lekarz, który operuje? Siedzi kilka metrów dalej, patrząc w ekran. W dłoniach ma specjalistyczne manipulatory przypominające kontrolery do gier komputerowych. Właśnie tak działa robot da Vinci. Jest przyszłością medycyny, m.in. dlatego, że pozwala operować pacjentów z wysokim indeksem masy ciała. Obecnie już 58% dorosłych Polaków i 53% Europejczyków ma problem z nadwagą. I choć może to się wydawać naciągane, kontrola nad da Vincim naprawdę bliska jest grom komputerowym, a operowanie robotem daje większą precyzję niż najpewniejsza chirurgiczna dłoń.

Gry wideo, kiedy stawały się popularne w latach 90., oskarżano o powodowanie agresywnych zachowań u dzieci. Miały być też przyczyną strzelanin w Stanach Zjednoczonych, a niekiedy nawet zwrócenia się ku okultyzmowi czy szatanowi. Po latach okazało się, że te oskarżenia nie mają pokrycia w rzeczywistości. W 2022 r. 70% respondentów twierdziło, że gry wideo mają pozytywny wpływ na życie ich dziecka, a 67% rodziców deklarowało, że gra wspólnie z dzieckiem przynajmniej raz w tygodniu. Prof. Daphne Bavelier, kognitywistka i neurobiolożka z Uniwersytetu Genewskiego, dowiodła na początku lat dwutysięcznych, że gry komputerowe wpływają na tzw. plastyczność mózgu – zwiększają uważność i umiejętność przyswajania informacji. Nie da się oczywiście zaprzeczyć, że mają też ciemną stronę, ale nadmiar wszystkiego szkodzi. Bavelier zainspirowana swoim odkryciem założyła ostatecznie instytut Akili Interactive, który gry wideo wykorzystuje do celów terapeutycznych. Również badania z 2018 r., prowadzone na Uniwersytecie w Glasgow, potwierdzają, że za sprawą niektórych typów gier wideo młodzi gracze łatwiej adaptują się do nowych sytuacji, są bardziej pomysłowi i potrafią myśleć bardziej krytycznie niż ich rówieśnicy.

To niejedyny wymiar wpływu gier na realny świat. Obecnie szacuje się, że globalnie mamy ponad 3,3 mld graczy. Jeszcze 10 lat temu było ich 1,8 mld. Przeciętny gracz ma 34 lata, jest właścicielem nieruchomości, w której mieszka, i zdążył już założyć rodzinę. Gra także wiele kobiet. Przeciętna graczka ma 36 lat i również jest przedstawicielką klasy średniej. Kobiety stanowią 47% społeczności graczy w Europie i 41% w Ameryce.

eprasa.pl 2f577505c6

Okazuje się też, że gry przestały być rozrywką dla nastolatków. Aż 72% graczy ma ponad 18 lat. Kolejne dane uderzają w stereotyp gracza samotnika. Nie dość, że 56% osób najczęściej gra w gry wieloosobowe, to jeszcze 42% oddaje się rozrywce razem z przyjaciółmi.

Wartość globalnego rynku gier wideo już w 2019 r., czyli jeszcze przed pandemią, wynosiła 144 mld dol. Dla porównania – połączone zyski z produkcji kinowych i muzyki wyniosły w tym samym czasie 109 mld dol. Roczna światowa sprzedaż biletów do kina nie przekroczyła nawet jednej trzeciej wpływów z gier, bo wynosiła 42,5 mld dol. Tymczasem wartość rynku gier cały czas rośnie. Według analityków banku inwestycyjnego Morgan Stanley oraz firmy Newzoo zajmującej się badaniem sektora gier wideo rynek tylko w 2021 r. powiększył się o 18%, osiągając wartość 175,8 mld dol. Mimo odpuszczenia obostrzeń pandemicznych, które wpłynęły na popularność grania w ostatnich latach, biznes nie wyhamował. Newzoo oszacowało, że pod koniec 2022 r. rynek gier znów urósł i był wart ok. 203 mld dol. W raporcie „Global Games Market" obliczono, że 2024 r. przyniesie zyski na poziomie 218,7 mld dol. Specjaliści wskazują, że skumulowany wskaźnik wzrostu dla tej branży wynosi 8,7% w skali roku. Dlatego według firmy Mordor Intelligence zajmującej się trendami na światowych rynkach branża gier do 2027 r. może być warta nawet 339 mld dol., czyli trzykrotnie więcej, niż obecnie warte są kino i muzyka razem wzięte.

Made in Poland

Również w Polsce mamy czym się pochwalić. Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości w raporcie „The Game Industry of Poland 2021" przedstawiła imponujące dane dotyczące rodzimej branży. W 2020 r. przychody z polskiej produkcji gier wyniosły 969 mln euro. Przybywa także przedsiębiorstw zajmujących się ich wytwarzaniem. Obecnie działa ponad 470 spółek, zatrudniających 12 tys. pracowników.

Najbardziej znanym towarem eksportowym jest seria gier „Wiedźmin" stworzona przez CD Projekt. Oparty na prozie Andrzeja Sapkowskiego cykl przyniósł firmie miliardy, stawiając ją w pewnym momencie na pierwszym miejscu Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie. Egzemplarz wydanej w 2015 r. ostatniej części, zatytułowanej „Wiedźmin 3: Dziki Gon", wręczono 44. prezydentowi Stanów Zjednoczonych Barackowi Obamie. Hit sprzedał się w łącznej liczbie ponad 40 mln egzemplarzy (przynajmniej 10 mln kopii sprzedano jeszcze w 2021 r.).

Jednak dobra passa firmy trwała tylko pięć lat, bo łaska graczy (jak i giełdy) na pstrym koniu jeździ. CD Projekt najwięcej wart był w sierpniu 2020 r., kiedy akcje spółki kosztowały 450 zł za jedną. Firma była wyceniana na parkiecie GPW na prawie miliard złotych więcej niż bank PKO BP, który ustąpił producentowi gier pierwszego miejsca. Niestety, kilka miesięcy później, w dniu premiery „Cyberpunka 2077", który miał być hitem na miarę trzeciej części „Wiedźmina", akcje firmy straciły w ciągu kilku godzin ponad połowę wartości. To była spektakularna porażka, o której huczały już nie tylko branżowe media, ale i te głównego nurtu. Pompowana od miesięcy bańka pękła z hukiem, a wszystko przez problemy z działaniem nowej gry. Zawieszający się w dniu premiery „Cyberpunk" kosztował spółkę 35 mld zł. Tej straty nasz rodzimy producent gier nie odrobił do dziś.

Z komunikatu prasowego grupy CD Projekt dowiadujemy się, że ich przychód w 2021 r. wyniósł 888 mln zł, skonsolidowany zysk netto sięgnął zaś 209 mln zł. Przeważająca część tych pieniędzy to zasługa dwóch tytułów. Kłopotliwego „Cyberpunka 2077" (18 mln sprzedanych egzemplarzy po nieudanej premierze) oraz cieszącego się niesłabnącą od ośmiu lat popularnością „Wiedźmina 3".

CD Projekt, którego historia wciąga jak dobry dreszczowiec, nie jest jedynym światowej sławy producentem gier nad Wisłą. Sukces odniósł Techland założony przez Pawła Marchewkę. W ostatnich latach świetnie sprzedawała się wyprodukowana przez studio gra „Dying Light" oraz jej kontynuacja „Dying Light 2". Obecnie wrocławska firma jest wyceniana wyżej niż CD Projekt, chociaż Techland nadal nie zdecydował się wejść na giełdę. „Puls Biznesu" oszacował wartość przedsięwzięcia Marchewki na 10,56 mld zł. Sam założyciel Techlandu z majątkiem opiewającym na 4,1 mld zł znajduje się na dziewiątym miejscu listy najbogatszych Polaków tworzonej przez „Forbesa".

W e-sport zamiast w piłkę

Chociaż trudno w to uwierzyć, zainteresowanie grami prześcignęło oglądanie sportu. Zdaniem analityków z banku Morgan Stanley liczba graczy oraz osób oglądających gry komputerowe przekroczyła w 2019 r. 2,5 mld osób. Jedynym sportem, który cieszy się większym zainteresowaniem, jest piłka nożna – jej oglądalność utrzymuje się na poziomie 4 mld osób. Dlatego coraz popularniejszy nie tylko wśród widzów, ale i sponsorów jest tzw. e-sport, czyli rywalizacja między profesjonalnymi graczami na oczach publiczności. O ile finał piłkarskich mistrzostw świata w Katarze w 2022 r. oglądało ok. 12,5 mln widzów, o tyle e-sportowy finał Worlds 2021, gdzie grano w „League of Legends", przyciągnął ponad 4 mln osób. A jeśli ten wynik na pierwszy rzut oka nie robi wrażenia, warto jeszcze wspomnieć,

Wartość globalnego rynku gier już w 2019 r. wynosiła 144 mld dol.

Roczna światowa sprzedaż biletów do kina nie przekroczyła nawet jednej trzeciej wpływów z gier.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2f577505c6

że finał zmagań kobiet podczas zeszłorocznego Wimbledonu oglądało w BBC 3,1 mln widzów.

Podbijmy jednak stawkę. Oprócz oficjalnych zawodów e-sportowych fani gier mają swój odpowiednik Eurosportu, na którym mogą oglądać innych graczy. Platforma Twitch, bo o niej mowa, gromadzi codziennie ok. 15 mln widzów, którzy patrzą, jak tzw. streamerzy, czyli osoby pokazujące ekran i swoje reakcje podczas gry, prowadzą rozgrywkę. Trend ten wypatrzyły korporacje. Najlepsi streamerzy zarabiają miliony tak samo jak profesjonalni sportowcy. Mają swoich sponsorów i reklamują sprzęt, na którym grają. Chociaż zamiast rakiet do tenisa i piłek mówi się o myszkach czy specjalnych fotelach. Największe imprezy e-sportowe przyciągnęły zaś znane marki, takie jak Coca-Cola, Honda, Google czy ASUS, których banery widać na imprezach.

Przeciętna graczka ma 36 lat i jest przedstawicielką klasy średniej. Kobiety stanowią 47% społeczności graczy w Europie i 41% w USA.

Dlaczego gry tak wciągają? Powodów jest kilka. Niektórzy dostrzegają je w demografii. Granie jest w końcu najpopularniejsze wśród dzisiejszych 30-latków, a to pokolenie milenialsów, które wychowywało się w okresie największych skoków technologicznych i intensywnego rozwoju branży gier. W końcu w latach 90. zawsze ktoś ze znajomych grał. Game Boy, niegdyś sprzęt używany przez zatwardziałych graczy, dzisiaj, w nowej formie, jako Nintendo Switch, święci triumfy jako najlepiej sprzedająca się konsola na świecie.

Rozwój technologiczny to kolejny element, który sprawił, że prawie 25% globu w coś gra. Moc obliczeniowa współczesnych smartfonów jest wyższa niż komputerów sprzed kilkunastu lat. Nic dziwnego, że rynek gier mobilnych generuje ok. 57% całkowitych przychodów z gier wideo na całym świecie. Poza tym nowoczesna technologia to niższe ceny i większa dostępność sprzętu. Gry z komputerów przeniosły się w lwiej części na konsole (kosztujące ułamek ceny dobrego PC do gier). Te zaś dosłownie weszły na salony, gdzie podłączane są do telewizorów, zamieniając się w domowe centra rozrywki. Wreszcie gry z prostych „platformówek", w których trzeba było przejść z dołu ekranu do góry, przekształciły się we wciągające opowieści, na podstawie których powstają coraz bardziej udane filmy i seriale, jak choćby ostatnia produkcja HBO „The Last of Us", opowiadająca o życiu i ojcostwie w postapokaliptycznym świecie.

Na koniec trzeba jednak dodać łyżkę dziegciu i przypomnieć, że gry tworzą korporacje skupione na zysku. Dlatego jakąkolwiek wzruszającą lub wciągającą produkcję by nam zaserwowali, należy pamiętać o tym, że nie my jesteśmy ich celem, ale nasze portfele.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2f577505c6

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Świecka inkwizycja

Podczas rozmowy z zaprzyjaźnionym małżeństwem akademików, będących au courant z kulturą cyfrową i aktualną netykietą, dowiedziałem się o zaniku ironii, jako strategii ryzykownej, bo potencjalnie agresywnej. Hunwejbini poprawności doprowadzili już do gabinetów terapeutycznych wszystkich profesorów, nieustannie narażonych na oskarżenie o mobbing, seksizm, gender shaming, dziaderstwo, krindżowatość, fazdrygulstwo i gnypalstwo, a teraz wzięli się do wykroczenia „permanentnej parabazy". Ironia i dystans są traktowane jako broń hejtersko-besserwisserska, przeto z humorem należy uważać, a najlepiej z niego w ogóle zrezygnować. Zakaz opowiadania dowcipów bierze się z założenia, że ktoś może kawału nie zrozumieć, przez co poczuje się wykluczony – podobnie jak zakaz mówienia o osobach studiujących per „studenci" (aby nie wykluczać kobiet i osób niebinarnych). W ten sposób wpędzamy się w śmiertelnie poważny terror dogmatów, od którego już tylko krok do hekatomby. Potwierdza się moja intuicja, że postawy ultranowoczesnej woke-lewicy są niebezpiecznie bliskie zgoła nienowoczesnym inkwizytorom. Antyprzemocowcom już się zdarzało w przeszłości stawać ludobójcami dla idei powszechnej równości.

Dotąd źródła wrogości wobec ironii dostrzegałem w systemach religijnych – mój najmłodszy syn jest dzieckiem chronionym przed religią. Nie dość ściśle, by nie wiedzieć o idei Boga i cyklach rytuałów chrześcijańskich, ale wystarczająco, by niezmiennie dziwić się z czystością profana pewnym dla nas przezroczystym już kuriozom. Zachodzi np. w głowę, dlaczego miliony ludzi modlą się do narzędzia tortur, a nawet gotowe są walczyć o powszechną jego obecność w miejscach publicznych. Dlaczego w kościołach tyle makabry, podziurawione i ociekające krwią zwłoki obnażonego mężczyzny wiszą w centralnych punktach, ludzie całują jego poranione stopy? Antek ukrzyżowanego Jezusa się boi, intuicyjnie wyczuwa, że kult pod takim symbolem zawiera w sobie mroczne okrucieństwo i pociąg do przemocy.

Sam dość wcześnie, bo jeszcze jako nastolatek, uwolniłem się od dziecięcych neuroz, napędzanych przesłuchaniami w konfesjonałach, groźbą kary za grzechy, a nawet wiecznego potępienia za tzw. grzechy śmiertelne. Prostoduszna część mojej rodziny wierzyła dla świętego spokoju, przemocowy jej odłam korzystał z nauk Kościoła, by rozpościerać nade mną system zakazów i perswazji, a także wpędzać w nieustające poczucie winy i marności osobistej. Nigdy w Boga nie wierzyłem, a mimo to jako dziecko się go bałem – taki zafundowano mi paradoks. Bóg był wszechwiedzącym demonem, który żywił się moimi słabościami, nie powierzałem mu swoich trosk, nie modliłem się, nie przeżywałem świątecznych rozanieleń, ale czułem, że źli ludzie wymyślili tę postać, by przysiadła na moim ramieniu i szeptała mi w chwilach uniesień i radości: *Vanitas vanitatum et omnia vanitas*. Kościół katolicki zdaje się być w rozsypce, czemu przyglądam się z radością i nadzieją na dożycie totalnej sekularyzacji, a nawet dekatolicyzacji społeczeństwa.

Tymczasem jednak sam zaglądam ostatnio do świątyń i muzeów sztuki sakralnej, już oczyszczony z brzemienia religijnej indoktrynacji, aby podziwiać dowody odwiecznej fascynacji Złem, wizerunki Diabła, sceny niewyobrażalnych tortur męczenników, a także alegorie grzechów głównych. Bezkonkurencyjne w piekielnych pomysłach było oczywiście średniowiecze, zatem najwięcej perwersyjnych detali w stylu halucynacyjnego gore znajdziemy w gotyku. Człek rozmodlony nie bardzo się rozgląda wokół, raczej skulony lękliwie patrzy na kapłana lub do brewiarza, nie wie zatem, jak wiele potworności mieszczą w sobie malowidła na skrzydłach ołtarzy, reliefy na ambonach czy freski na ścianach świątyń. Najwspanialsze diabły widziałem na zewnętrznych ścianach malowanych cerkwi bukowińskich, gdzie paszcze Lewiatanów na Sądach Ostatecznych łakomie rozwierają się na stada grzeszników dręczonych przez najdziwaczniejsze straszydła. O Bosche, jakie to strasznie piękne, myślało się i nadziwić nie mogło, że tysiące kilometrów i setki lat od pracowni niderlandzkiego mistrza badtripowych orgii piekielnych ludzie mieli podobnie rozbudzoną wyobraźnię.

W pałacu Erazma Ciołka, który odwiedziłem niedawno, wizytując Kraków, kuszeń i męczeństw co niemiara, wrażliwe panny nie mają dokąd uciec sprzed ołtarza, bo całe muzeum pełne poliptyków, gdzie sceny pasyjne sąsiadują z alegorycznymi występkami, przyobleczonymi w finezyjnie pornograficzne przymioty. Spokoju zaznać nie można nawet w półmrocznej Sali Śmierci, gdzie akcesoria funeralne i szkielety na ornatach pogrzebowych przyprawiają o bojaźń i drżenie. Dzieciom mógłby się spodobać osiołek na kółkach, na którym Pan Jezus wjeżdża do Jerozolimy, gdyby nie trzeba im było tłumaczyć, że już z niej nie wyjechał, bo pięć dni później dokonano na nim okrutnej egzekucji. Kilka kroków dalej wisi krucyfiks autorstwa Wita Stwosza, na którym nie dość makabry samego ukrzyżowania – jest bowiem wykonany w tzw. stylu naprężonym. Nienaturalnie wydłużone kończyny postaci mają oddawać dodatkową torturę, której poddano Jezusa, kiedy się okazało, że… nie pasował do krzyża. Nogi nie sięgały do otworów nawierconych pod gwoździe, więc go ponaciągano za pomocą lin. Sztuka sakralna gotyku to rewia horroru pod głęboko drążonymi fałdami płaszcza świętości.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2f577505c6

Najpierw czytać, potem pisać

Każdy może uczyć się pisania, również po to, aby poznać siebie i pozbyć się zahamowań

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

BRYGIDA HELBIG
– pisarka i literaturoznawczyni, pochodzi ze Szczecina, mieszka w Berlinie

Jesteś literaturoznawczynią, pisarką, nauczycielką sztuki pisania. Polską czy niemiecką? Albo kiedy jesteś polską, kiedy niemiecką?

– Wydaje mi się, że język jest tu najważniejszym wyznacznikiem. Jestem polską pisarką, ale literaturoznawczynią zapewne bardziej niemiecką, większość artykułów naukowych napisałam w tym języku, przy czym duża część została przetłumaczona na polski. Polonistyki i literaturoznawstwa uczyłam się w Niemczech i tutaj robiłam doktorat, habilitację. Szkołę literaturoznawczą tak naprawdę dostałam w Bochum. Najważniejszym moim nauczycielem był prof. Michael Fleischer, który pochodzi z Zabrza. Po latach wrócił do Polski, wykłada we Wrocławiu. Bardzo interesująca osobowość. Dodał mi też szlifu pisarskiego.

Studiowałaś w Szczecinie, potem w Bochum.

– W Szczecinie tylko rok, choć bardzo ważny. Po pierwszym roku studiów wyjechałam do Niemiec. W Bochum była ostra szkoła, nie było żartów. U Fleischera, specjalisty od literatury awangardowej, każde słowo musiało w tekście siedzieć, musiała być ironia, autoironia, żadnego sentymentalizmu, który przywiozłam z Polski poprzez różne lektury. „U Fleischera" czytaliśmy zupełnie inne – Gombrowicza, Schulza, Stachurę. Kształtowały mnie one, chociaż te niemieckie też, studiowałam także germanistykę. Nasze prace naukowe musiały być niezwykle metodyczne, konkretne, mieć odpowiednią strukturę. Tam nauczyłam się dyscypliny językowej. Tych formalnych wymogów jest prawdopodobnie na studiach w Polsce nieco mniej, pracowałam kilkanaście lat na polskich uniwersytetach, wiem, że prace magisterskie wyglądają trochę inaczej. Owa „niemiecka dyscyplina" naukowa powoduje, że struktura i słowo są bardzo ważne, nie można rozwadniać, rozwlekać. Trzeba się obchodzić ze słowem ostrożnie i uważnie.

Polskiego sentymentalizmu się pozbyłaś, co zostało z tej „polskiej duszy"?

– Nie, nie całkiem się pozbyłam, zachowałam uczuciowe podejście i ono później bardzo mi się przydało, bo tylko jedno w połączeniu z drugim daje pożądaną całość. Formalizm, w uproszczeniu „niemiecki", może nam bardzo przeszkadzać w rozwoju literackim, naukowym, jeżeli staje się więzieniem i trzymamy się go np. z lęku przed oceną. Istnieje niebezpieczeństwo zbyt sztywnego trzymania się i powtarzania modnych schematów, metod, fraz, pojęć. Im dłużej pracowałam w Niemczech, tym bardziej próbowałam przemycać osobisty punkt widzenia, także w tekstach naukowych, co jest może bardziej polskie.

Przyjrzyjmy się nauczaniu pisania w komercyjnych szkołach. Jak jest oceniane przez pisarzy?

– Nie mam jednego poglądu na ten temat, mam cały zestaw poglądów. Niektórzy pisarze nie lubią tego, że takie szkoły powstają, nie godzą się np. na prowadzenie zajęć na studiach pisarskich. Uważają, że nie powinno się pisania uczyć na studiach, że to nie jest normalny zawód, że zaniżamy w ten sposób poziom i niszczymy geniusz, indywidualność. A może propagujemy literaturę

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 2f577505c6

przeciętną? Trudno powiedzieć. Bo z drugiej strony... Jako nastolatka fascynowałam się biografiami Clary Wieck i Roberta Schumanna. Schumann podobno, gdy po raz pierwszy przyszedł na lekcje gry na fortepianie do ojca Clary, Friedricha, słynnego lipskiego nauczyciela, zaczął „z marszu" spektakularnie grać wszystko, co potrafił. Nauczyciel jednak uspokoił go, sprowadził na ziemię i zażądał, by zagrał gamę C-dur. Ona jest początkiem.

Czyli nauczyć się podstaw, zasad, również po to, by je łamać?

– Albo co najmniej nauczyć się czytać i interpretować, zanim zaczniemy sami pisać. W szkołach twórczego pisania uczy się pewnych zasad konstrukcji, tradycyjnych wzorców pisania, np. powieści, jak należy zacząć, w jaki sposób rozwinąć akcję, jak scharakteryzować bohaterów. I to jest cenne, ale pisania można też się nauczyć zupełnie inaczej. Wiele i wielu z nas uczyło się pisać przede wszystkim poprzez czytanie, analizę i interpretację. Uwielbiam analizować utwory literackie i uważam, że w sumie to wystarczy, żeby zostać dobrym pisarzem, pisarką. Z reguły nie uczę pisać według konkretnych schematów, nie daję przepisu na napisanie powieści albo wiersza, reportażu, jak na ugotowanie bigosu. Wychowani na „przepisach" pisarze mogą nie mieć odwagi, żeby się wychylić poza szablon, zaszaleć, być sobą, zrobić coś takiego jak Gombrowicz, jak wielu/wiele innych, których podziwiamy do dzisiaj. Tak naprawdę liczy się przede wszystkim oryginalność, osobowość.

Można mówić o fenomenie najróżniejszych komercyjnych szkół pisania.

– Cała ta wiedza, która kiedyś była bardzo elitarna, stała się teraz bardzo egalitarna, uczymy się na coachingach, że możemy wszystko, że damy sobie radę, że każdy potrafi, więc w najgorszym przypadku, niewiele myśląc, chwytamy kamerę, mikrofon i – nieciekawym językiem – uczymy innych, że też mogą pisać. Niepokoi poziom niektórych „nauczających". Chociaż oczywiście prawdą jest, że możemy nauczyć się bardzo, bardzo wiele, że możemy stworzyć coś niezwykłego i oryginalnego, że mamy zwykle dużo większy potencjał, niż nam się wydaje. Potrzebujemy tylko, aby ktoś to w nas rozbudził, ktoś nas poprowadził, uwierzył w nas, najlepiej ktoś, kto sam już przeszedł tę drogę.

Nie mogą istnieć same złe szkoły pisania, prowadzą je wydawnictwa, wielkie nazwiska, że wymienię choćby zajęcia z noblistką Olgą Tokarczuk.

– Skrytykowałam przed chwilą nieco szkoły pisarskie, ale to nie znaczy, że mam tylko złą opinię na ten temat. Sama byłabym wdzięczna, gdyby kiedyś ktoś w ten sposób mnie poprowadził, może mogłabym czegoś się nauczyć wcześniej. Szkoły pisania są potrzebne i umożliwiają większej liczbie osób dostęp do tak ważnej sztuki wyrażania siebie. Gdybym miała o nich złą opinię, nie oferowałabym ich sama. Bardzo doceniam pierwszą uniwersytecką szkołę twórczego pisania w Polsce. Są to podyplomowe studia literacko-artystyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, które założyła i którymi kierowała przez ponad 20 lat prof. Gabriela Matuszek-Stec, znawczyni Przybyszewskiego, którą poznałam w latach 90. w Berlinie. Mniej elitarne, ale równie ciekawe są dzienne studia pisarskie na Uniwersytecie Szczecińskim, firmowane m.in. przez prof. Ingę Iwasiów (z którą studiowałam kiedyś w Szczecinie!).

Czy można porównać szkoły, kursy pisania kreatywnego, pisania różnorakiego w Niemczech i w Polsce?

– Takich komercyjnych w Niemczech jest nieskończenie więcej i są dużo bardziej sprofesjonalizowane niż w Polsce. Najdłużej jednak istnieją takie szkoły i kursy w Ameryce. Jedną z osób, które wniosły twórcze pisanie do Polski, była Izabela Filipiak, dzisiaj Izabela Morska. Wiele lat mieszkała w Stanach Zjednoczonych i tam studiowała. Jest autorką książki „Twórcze pisanie dla młodych panien". Także niemieckie nauczycielki *creative writing* starszego pokolenia uczyły się dydaktyki pisarskiej na amerykańskiej literaturze przedmiotu. Stopniowo powstawały w Niemczech tego typu katedry, instytuty – w Heidelbergu czy w Lipsku – potem prywatne szkoły (najsprawniejsze w reklamowaniu swoich kursów).

Mamy zwykle dużo większy potencjał, niż nam się wydaje. Potrzebujemy tylko, aby ktoś to w nas rozbudził, uwierzył w nas.

Podoba mi się pomysł przyjścia do księgarni, by uczyć się pisania.

– Tak, koniecznie. Najpierw czytać, potem pisać. À propos księgarni, kilka lat temu prowadziłam warsztaty pisarskie w księgarni polsko-niemieckiej w Berlinie. Siadaliśmy przy dużym stole, czytaliśmy, omawialiśmy nasze teksty. Dzisiaj wielki sukces odnosi Karolina Kuszyk, która brała w nich udział, autorka świetnej książki „Poniemieckie". Kiedy przyszła na moje warsztaty, szybko stało się jasne, że ona tych warsztatów właściwie nie potrzebuje. Niemniej jednak takie spotkania pisarskie zawsze są bardzo motywujące i to ich najważniejsza rola.

To także szkoła przekraczania własnych zahamowań?

– Tak, jak najbardziej. Ostatnio prowadziłam miniwarsztaty dla początkujących, które miały przede wszystkim pomóc pokonać blokady. „Poszłam" w rodzaj magii pisarskiej, której elementów tutaj nie zdradzę. Wspomnę tylko, że nawiązałam m.in. do koncepcji amerykańskiej nauczycielki Julii Cameron. ▸

Brygida Helbig – do Niemiec wyemigrowała w roku 1983. Jej powieść „Niebko" znalazła się w finale Nagrody Nike, a jej proza „Enerdowce i inne ludzie" była do Nike nominowana. Ostatnia powieść, zbeletryzowana biografia Marii Komornickiej/Piotra Własta, znalazła się w finale Nagrody Miasta Stołecznego Warszawy.

eprasa.pl 2f577505c6

W warsztatach wzięło udział sporo kobiet, które są coachami, terapeutkami i szukają wsparcia w przezwyciężeniu zahamowań w kreatywności. Wiele osób wstydzi się pisać, a jeszcze bardziej pokazać swoje pisanie światu, no i ma tego wewnętrznego krytyka wyniesionego ze szkoły, z domu: „Co ty za bzdury piszesz!" itp. Pisanie oznacza odwagę bycia sobą i wystawienie się na krytykę, a nawet być może kpinę. Trzeba się rozluźnić, nie bać się, pozwolić długopisowi robić to, co zechce, i nie od razu oceniać. Na tego typu wsparcie jest bardzo duże zapotrzebowanie. Niewiele osób ma śmiałość, żeby myśleć o sobie jako autorce, autorze, żeby się odważyć (a chęci są). Zdziwiłam się, oglądając nagrania z zajęć pisarskich ze znaną niemiecką autorką i trenerką, Doris Dörrie. Prowadziła ćwiczenia z pisania automatycznego (*free writing*) m.in. z dziennikarzami tygodnika „Die Zeit" – byli zaszokowani, że tak można pisać. To nie jest na razie zbyt popularna wiedza.

Czy zajęcia dotyczące pisania, także twoje, to również poszukiwania formy ekspresji, dowiedzenia się czegoś o sobie?

– Staram się łączyć naukę pisania z rozwojem osobistym, duchowością, a nawet rodzajem terapii. To ważne aspekty warsztatów pisania (auto)biograficznego, które planuję. Chcę połączyć artyzm z uzdrawianiem siebie, z odnajdywaniem, mówiąc za Tokarczuk, zagubionej duszy, która w ciągu naszego życia została zagłuszona i mówi do nas np. symptomami chorobowymi albo odzywa się w snach. Praca z metaforą, symbolem bardzo sprzyja poznawaniu siebie. Co może być większą terapią od słuchania własnej duszy i wyrażania jej w pisarstwie, malarstwie czy muzyce? Można nawet w zgodzie z duszą gotować, ale pisanie jest o tyle dobre, że mamy symbolizację, czyli znajdujemy słowo, a ono ma ogromną moc.

W pracy warsztatowej potrzeba gotowości na poddanie się osądowi, krytyce. To bywa trudne.

– Ważne, żeby nie była to niszcząca krytyka, żebyśmy ostrożnie obchodzili się ze sobą i ze swoimi tekstami, budowali zaufanie do siebie nawzajem, pewność, że to, co mamy do powiedzenia, zawsze ma wartość. Niezależnie od tego, czy pisanie w danym momencie nam się uda, czy nie.

Specjalizujesz się w nauczaniu pisania autobiograficznego. Prowadziłaś warsztaty dla uczestników z Polski i Niemiec.

– Tak. I był to jeden z pierwszych tego typu kursów prowadzonych przeze mnie poza akademią, mogłam więc robić wszystko tak, jak sama chciałam. Dla mnie praca z biografią przy uczeniu pisania czy interpretacji jest absolutnie integralną częścią procesu, zawsze starałam się to „przemycić". Mój pierwszy kurs tego typu był bardzo uwalniający, myślę, że wszyscy byliśmy zaskoczeni, co z nami zrobiły to „wolne pisanie" autobiograficzne i temu podobne ćwiczenia.

Uczestniczkami kursów pisania są w większości kobiety.

– Mężczyźni albo bardziej się wstydzą, albo są mniej gotowi na zderzenie z cudzymi opiniami na temat ich tekstów, albo mają więcej oporów przed sięganiem do swojego wnętrza. Pisarzy mimo wszystko pewnie nadal jest więcej niż pisarek, jak wiadomo, kobiety miały bardzo ograniczony dostęp do tej roli. Z drugiej strony w naszej kulturze mężczyźnie nadal nie za bardzo przystoi okazywać (ba, nawet odczuwać!) emocje, będące integralną częścią procesu pisania. Na uniwersytetach jest jednak chyba więcej mężczyzn niż na innych kursach. Na zajęciach, które prowadziłam na uniwersytetach w Poznaniu czy w Szczecinie, około jednej trzeciej uczestników stanowili mężczyźni, którzy chcieli zostać pisarzami.

Jakie są motywacje uczestników kursów, warsztatów, które prowadziłaś?

– Na uniwersytetach to jednoznaczne, ci ludzie chcą zostać zawodowymi pisarzami, pisarkami. Na innych kursach jakaś część chciałaby poeksperymentować albo napisać coś dla mniejszego kręgu. Starsze osoby chcą napisać wspomnienia, autobiografię dla bliskich. No i jeszcze są motywacje grup zawodowych, takich jak coache, terapeuci, chcących zrobić sobie reklamę starym i wypróbowanym elementem marketingowym, jakim jest książka wydana na papierze.

Planujesz kolejne warsztaty nie tylko pisania, ale i czytania.

– Czytamy mało literatury pięknej, ludzie czytają innego rodzaju lektury, jeżeli w ogóle. Zanika sztuka interpretacji literatury pięknej i różnego rodzaju tworów kultury. Ale jeszcze coś wydaje mi się istotne. Jeżeli będę uczyć pisania i czytania, raczej nie pozostanie to celem samym w sobie. Celem nadrzędnym jest poznanie siebie, po to, choć brzmi to banalnie, aby tworzyć sobie mądrzejsze, lepsze, bardziej zharmonizowane życie – i taki też stwarzać świat. Czytanie, interpretacja powinny również służyć naszej umiejętności wczuwania się w inne punkty widzenia, uczyć rozumienia innych. Byśmy nie musieli nawzajem się bić, zabijać, faktycznie lub symbolicznie. Powiem więcej. Sama umiejętność pisania, której nie towarzyszy rozwój wewnętrzny (emocjonalny, etyczny itd.), może być nawet społecznie niebezpieczna.

Jesteś przede wszystkim pisarką, nad czym literacko pracujesz?

– Właśnie w Kołobrzegu kończę powieść, to niejako druga część książki „Anioły i świnie w Berlinie!", a może raczej druga część „Niebka", oparta na wątkach autobiograficznych, nawiązująca do mojej teraźniejszości, mojej kobiecej drogi. Chcę przedstawić kobiece uwikłania w różne wzorce, które nas ograniczają, powodują, że (jeszcze) nie żyjemy tak odważnie, jak byśmy chciały. Ale idziemy do przodu.

Niewiele osób ma śmiałość, żeby myśleć o sobie jako autorce czy autorze.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2f577505c6

Thornton Wilder, „Nasze miasto", tłumaczenie Jacek Poniedziałek, reżyseria Adam Sajnuk, kostiumy Katarzyna Adamczyk, Teatr WARSawy – Społeczna Scena Debiutów, premiera 29 stycznia 2023

KURTYNA W GÓRĘ

Uroda banału

„Nasze miasto" Thorntona Wildera po triumfalnym wkroczeniu na amerykańskie sceny (1938) uchodziło za utwór eksperymentalny i rewolucjonizujący myślenie o teatrze. Dzisiaj jego programowy minimalizm przeszedł do kategorii poszarzałej klasyki, której odkrycia nie podniecają świeżością, ale to wciąż dobry materiał do grania – zwłaszcza do aktorskich ćwiczeń. Toteż wybór tego dramatu dla Społecznej Sceny Debiutów Teatru WARSawy wydaje się szczęśliwy. Wszyscy młodzi aktorzy skorzystali z szansy zbudowania soczystych postaci mieszkańców prowincjonalnego miasta, których codzienne życie przebiega wprawdzie bez szczególnych wzlotów i upadków, ale to i tak dość, aby pokazać skalę wrażliwości i warsztatowego przygotowania do znaczącego istnienia na scenie. Opieka reżyserska Adama Sajnuka sprawiła, że młodzi wykonawcy rysowali swoich bohaterów delikatną, choć wyraźną kreską, a dzięki temu spektakl o banalnym życiu okazał się niebanalnym odkryciem.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Katarzyna Michalczak
Synu, jesteś kotem
Cyranka, Warszawa 2023

Mała, ale pełna emocji, prawdy i miłości książka. Brzmi ckliwie, banalnie? Po pierwszych zdaniach wylecą wam z głowy takie określenia. Katarzyna Michalczak opowiada o trudnej rodzicielskiej miłości do dziecka z zespołem Aspergera. I nie jest to opowieść z próbówki. Autorka przekazuje własne matczyne doświadczenia. Książkowy Radek jest jej realnym synem, który „zgadza się, żeby o nim opowiadać". Ta operacja na żywym, i to bardzo delikatnym organizmie przeprowadzona została jednakowoż z niesamowitą czułością i precyzją. To ujmująca próba pokazania dziecka takim, jakie ono jest, a także odzwierciedlenie najczystszej formy miłości, czyli codziennej troski. Katarzyna Michalczak zdaje trudny egzamin z rodzicielstwa, zarazem udanie pisze, oddając czytelnikom książkę, która czułość ma nie tylko w okładkowym blurbie.

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Wojciech Jeliński,
Poznań Philharmonic Orchestra
Kazimierz Serocki
Trombone Works
DUX

Płyta z utworami na puzon wybitnego, choć już nieobecnego wśród nas kompozytora, Kazimierza Serockiego, zawiera utwory praktycznie dla każdego. Jest typowy koncert z rozbudowaną orkiestrą symfoniczną, są drobne miniatury w wykonaniu kwartetu puzonów, ale na deser mamy żywiołowy utwór jazzowy, który imituje popisy sekcji perkusyjnej. To słynne „Swinging Music". Solistą jest puzonista Wojciech Jeliński.

Bronisław Tumiłowicz

NA EKRANACH

Chora na siebie

reż. Kristoffer Borgli, prod. Norwegia, już w kinach

Ach! Być celebrytką. Za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Zainteresować prasę, agencje reklamowe, telewizję. Każdy sposób jest dobry. Można próbować śpiewać, można przyciągać ładnym ciałem, ale nawet deformacje, blizny czy rany dadzą się sprzedać. Norweska czarna komedia jest satyrą na robienie wokół siebie medialnego szumu. Pokazuje, że przyjaźń czy miłość musi ustąpić przemożnej chęci dostania się na łamy. Koszty się nie liczą, także własne zdrowie można poświęcić. Czy jednak film, który zainteresował publiczność festiwalu w Cannes, powstrzyma kandydatów na celebrytów?

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. RAFAŁ MESZKA, KINO NOWE HORYZONTY (2), MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 2f577505c6

Kate Bryan

Słoń i gołąb

Frida Kahlo i Diego Rivera 1927–1954

Frida Kahlo to najsłynniejsza artystka w historii. Dziś jest postacią kultową: jej wizerunki widnieją na T-shirtach, a jej życie stało się tematem dziesiątek książek, a nawet hollywoodzkiego filmu. Podobnie jak Che Guevara, Frida jest międzynarodową ikoną symbolizującą heroizm, uduchownienie, inność i potęgę odrębności. Ikonografia Kahlo jest tak rozpowszechniona, że prawdopodobnie większość osób, mimo że rozpoznaje jej twarz, niewiele wie o jej twórczości. Jednak nawet pobieżna znajomość jej historii wystarczy, żeby wiedzieć, jak ważnym elementem jej życia i twórczości był związek z meksykańskim artystą Diego Riverą, zmitologizowany na niepojętą wręcz skalę.

Powierzchownie stanowili parę niemal komiczną: piękna i bestia świata sztuki lub, jak mawiali jej rodzice, „słoń i gołąb". Kahlo była atrakcyjna i dbała o swój wizerunek, rozpowszechniając go zarówno w licznych autoportretach, jak i na zdjęciach publikowanych przez „Vanity Fair" czy „Vogue". Podkreślała swoje rysy twarzy, przerysowując brwi w zaakcentowaną monobrew, a owłosienie nad górną wargą w niczym nieskrępowane wąsy. Dbała też o ubranie: nosiła jaskrawy tradycyjny strój Tehuana, a włosy zdobiła w wyszukany sposób zaczerpnięty z tradycji ludowej. Była o 20 lat młodsza, 30 cm niższa i 90 kg lżejsza od Rivery, który nosił źle dopasowane garnitury i patrzył na świat wyłupiastymi oczami przez pryzmat swego wielkiego ego.

Kahlo nie wstydziła się ich kontrastującego wyglądu. W listach miłosnych do Rivery często pisała o jego dużym, białym brzuchu i obwisłych piersiach jako o zmysłowych obiektach jej uczuć. Nie czuła się zagrożona faktem, że ich sztuka i status w świecie artystów znajdowały się na przeciwległych biegunach. Rivera był słynnym muralistą, adaptującym włoską tradycję fresku ku chwale rewolucji meksykańskiej. Jego dzieła były dosłowne, rozległe, dostępne dla każdego i zaangażowane politycznie. Kahlo była artystką intymną pod

Frida Kahlo i Diego Rivera – zdjęcie ślubne, 1929 r.

każdym względem: przez większość życia była niedoceniona, a tematy, jakie poruszała, były na wskroś osobiste, o surrealistycznym, mitycznym wręcz zabarwieniu. Kariera Rivery koncentrowała się na ambicjach odrodzonego Meksyku – opowiadał historię ojczyzny przez pryzmat rewolucji. Sztuka Kahlo była sposobem wyrażania dotkliwego bólu, formą wysoce złożonego katharsis, które czerpało tak z tradycyjnej ikonografii katolickiej, jak i z popularnych wycinków prasowych.

Narracja cierpienia w twórczości Kahlo jest tak silna, że w Meksyku artystka znana jest jako *la heroína del dolor* – „bohaterka bólu". W wieku sześciu lat zachorowała na polio i większość dzieciństwa spędziła samotnie w łóżku. Gdy miała 18 lat, uległa dramatycznemu wypadkowi: autobus, którym jechała, zderzył się z tramwajem. Już nadwyrężona przez polio noga Kahlo została złamana w jedenastu miejscach, uszkodzeniu uległy także jej miednica, obojczyk, kręgosłup i dwa żebra, a jej prawa stopa została zmiażdżona. Po wypadku odnaleziono Kahlo w rozdartych ubraniach, z ciałem pokrytym złotym, błyszczącym pyłem, który wiózł ze sobą jeden ze współpasażerów. Obraz ten szybko stał się częścią jej narracji. Była pokiereszowanym aniołem, który mówił: „W życiu przytrafiły

eprasa.pl 2f577505c6

mi się dwa wielkie wypadki: jednym był tramwaj, a drugim – Diego".

To Kahlo zainicjowała ich związek, przychodząc do Rivery, gdy ten pracował nad muralem w Ministerstwie Edukacji. Zaczęła malować przykuta do łóżka, więc wyszedłszy ze szpitala, chciała dowiedzieć się, czy największy żyjący meksykański artysta uważał, że powinna kontynuować swoją pracę. Rivera potwierdził jej talent i udzielił wsparcia – jego zdanie o sztuce Kahlo pozostało niezmienione aż do końca. Wkrótce potem zaczęli się spotykać. Już wtedy Rivera wiedział, że „Frida stała się najważniejszym faktem w moim życiu. I że pozostała nim aż do swojej śmierci, 27 lat później". Pobrali się w sierpniu 1929 r. Ich fotografia ślubna została opublikowana w prasie, a niezwykła sukienka Kahlo, tak inna od modnego wówczas importowanego stylu flapper, opisana została jako „ubiór chłopski".

Chociaż ich wzajemny szacunek dla pracy twórczej nigdy nie osłabł, małżeństwo było bardzo burzliwe. Rivera opiewał swoje libido, porównując częstotliwość, z jaką się kochał, do częstotliwości oddawania moczu. Jego romanse były kompulsywne i lekkomyślne: przed ślubem z Kahlo miał aż dwie żony i troje dzieci. Najprawdopodobniej porzucił też inną kobietę, która także urodziła jego dziecko. W swoich autoportretach Kahlo często pokazywała siebie poturbowaną emocjonalnie – taka reprezentacja stanowi ponad jedną czwartą ze wszystkich jej dwustu obrazów. W pracy „Szpital Henry'ego Forda" z 1932 r. przelała na płótno krwawe spustoszenie, jakie pozostawiło w niej dramatyczne poronienie, a w „Kilku małych ukłuciach" z 1935 r. usunęła się z widoku, aby zobrazować najbardziej sadystyczną zdradę Rivery: romans z jej siostrą, Kristiną. (…) Praca nie jest jednak sceną męczeństwa rodem z kościoła, a wstrząsającym komentarzem zarówno na temat fatalnego, według Kahlo, statusu społecznego kobiet, jak i najokrutniejszej ze zdrad męża, która doprowadziła do ich rozwodu w 1939 r.

Zbyt łatwo byłoby jednak postrzegać *la heroína del dolor* jako ofiarę. Kahlo może i stała się sławna ze względu na swoją monobrew i wąsy, ale jej osobowość stanowiła zabójczą mieszankę potężnej wewnętrznej siły, tendencji do udręczania się i specyficznej psychiki, która kazała jej utożsamiać ból ze zdobywaniem miłości. Od najmłodszych lat doświadczenia Kahlo związane z uczuciami były trudne, co w znaczący sposób wpłynęło na jej charakter. Jej jedyny brat umarł jako niemowlę niedługo po tym, jak matka zaszła w ciążę z Kahlo. Artystka była ulubioną z sześciu córek ojca i pielęgnowała w sobie chłopięce zachowania. Nosiła męskie garnitury, czesała brwi i wąsy. Już jako dziecko zrozumiała, że dzięki chorobom może zdobyć uczucia, które w inny sposób były dla niej niedostępne. Gdy po raz drugi była przykuta do szpitalnego łóżka, jej matka odwiedziła ją tylko trzy razy w ciągu trzech miesięcy.

Kahlo nauczyła się być niezależna, malując mimo bólu i przejmując dowodzenie w każdym momencie życia. Zamiast biernie obserwować romanse męża, sama była konsekwentnie niewierna, wiążąc się zarówno z mężczyznami, jak i z kobietami. Jej najsłynniejszą kochanką była prawdopodobnie amerykańska malarka Georgia O'Keeffe, a kochankiem – Lew Trocki, któremu ona i Diego, oboje będąc komunistami, zaoferowali darmowe mieszkanie po jego deportacji z Rosji radzieckiej.

Życie Kahlo było niezwykłe, a jednocześnie pełne wzlotów i upadków. Poznała i zachwyciła André Bretona, Pabla Picassa i Wassiliego Kandinskiego, jednak od ukończenia 30. roku życia nieustannie cierpiała, poszukując nowych zabiegów medycznych, które przyniosłyby jej ulgę. Przeszła ponad 30 operacji, w tym bolesne przestawienie kręgosłupa i częściową amputację nogi. Potrafiła zaakceptować gorzkie zwroty w życiu, jak na przykład wtedy, gdy ponownie poślubiwszy Riverę wkrótce po ich rozwodzie, dalej musiała mu matkować. Mimo że bycie razem okazało się lepsze niż bycie osobno, chcąca zachować niezależność Kahlo uparła się, że po drugim ślubie nie będzie już ich łączył ani seks, ani pieniądze. Wyznała: „Diego nie jest niczyim mężem i nigdy nim nie będzie. Ale jest wspaniałym towarzyszem". Była niezwykła i już za życia stała się sławna, najpierw jako osobowość, potem jako artystka. Przed śmiercią doczekała się dwóch indywidualnych wystaw, była też pierwszą kobietą, której prace zakupił Luwr. (…)

Kahlo była artystką intymną pod każdym względem: przez większość życia była niedoceniona, a tematy, jakie poruszała, były na wskroś osobiste.

Kahlo malowała ból i się z nim obnosiła. Igrała ze śmiercią – w lipcu 1954 r., po kilku wcześniejszych nieudanych próbach zakończenia cierpienia, prawdopodobnie popełniła samobójstwo. Riviera zdołał skrzętnie ukryć ten fakt, uzyskując świadectwo zgonu bez autopsji, wystawione przez zaprzyjaźnionego lekarza. Po jej śmierci kult Fridy przybrał astronomiczne wręcz rozmiary i znacznie przewyższył chwałę jej słynnego męża. Jego prace były publiczne i polityczne, zupełnie nieprzemawiające do odbiorców zainteresowanych tematyką przecięcia płci i ras i jednocześnie doceniających to, co osobiste i ekspresywne. Kahlo wciąż zmusza nas, byśmy przyglądali się jej surowej urodzie na autoportretach, podczas gdy ona manipuluje własnym cierpieniem poprzez swoją skomplikowaną narrację. Breton powiedział, że jej malarstwo to: „Wstążka owinięta wokół bomby". To opis, który równie trafnie oddaje jej fatalny stan zdrowia, silną osobowość i niezmienną miłość do Rivery.

Fragment książki Kate Bryan *Sztuka w afekcie. Romantyczne i burzliwe historie najsłynniejszych par,* tłum. Dagmara Budzbon-Szymańska, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 2022

FOT. THENOTSOINNOCENTSABROAD.COM

eprasa.pl 2f577505c6

Wojenne ekozbrodnie

Rosyjska inwazja na Ukrainę ma poważne konsekwencje ekologiczne, zagrażające życiu roślin, zwierząt i ludzi

Marcin Ogdowski

Republikanin Richard Lugar był na przełomie XX i XXI w. jednym z najpopularniejszych polityków w USA. Dwukrotny przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Senatu, w latach 90. mocno zaangażował się w inicjatywy rozbrojeniowe krajów byłego ZSRR. Dawne republiki nie miały technologii ani dość pieniędzy, by utylizować gigantyczne nadwyżki sprzętu wojskowego, co dotyczyło także paliwa z pocisków rakietowych. Dzięki Lugarowi stworzono zaplecze do bezpiecznego przetwarzania toksycznej substancji, ale geopolityczne zmiany pokrzyżowały plany senatora. Rosja, największy dysponent starzejących się rakiet, zaniechała czyszczenia arsenału i weszła na ścieżkę konfrontacji z Zachodem.

W 2022 r. zaatakowała Ukrainę, w ciągu kilku tygodni wyzbywając się zapasu nowych pocisków. Generałowie Putina zajrzeli więc do lamusa, lecz okazało się, że pamiętające czasy Chruszczowa rakiety często nie docierały do celu. Wiele spadało już w pierwszej fazie lotu, co wymusiło na załogach bombowców Tu-95 i Tu-160 wdrożenie swoistego BHP. Polegało to na wystrzeliwaniu pocisków nad Morzem Kaspijskim, by ewentualne niedoloty spadały do wody, nie czyniąc szkód na terytorium Federacji. Ta zapobiegliwość najpewniej uratowała ileś ludzkich żyć, w zamian doprowadzając do masowego wymierania fok kaspijskich. Zdaniem zasłużonej rosyjskiej dziennikarki Julii Łatyniny za pomór ssaków odpowiadało paliwo z wadliwych pocisków. Między 31 marca a 2 maja ub.r. znaleziono ponad 800 martwych zwierząt, latem ta liczba wzrosła do 2,5 tys. U nielicznych fok wykryto wirusa dżumy, miażdżąca większość padła na skutek zatrucia toksynami.

„Dla dobra ludzi i przyrody to świństwo musi zniknąć z powierzchni Ziemi”, mówił w jednym z wywiadów Richard Lugar. Zmarł w 2019 r., nie doczekawszy skutków niedomkniętego projektu.

Powojenny rak

W potocznym wyobrażeniu wojna to śmierć i cierpienie ludzi, a w wymiarze zniszczeń materialnych na pierwszy plan wysuwają się straty w infrastrukturze mieszkaniowej i przemysłowej. Umyka nam fakt, że na wojnie giną również zwierzęta, zabijane intencjonalnie bądź umierające w konsekwencji różnych poczynań wojującego człowieka. Jeszcze mniej uwagi poświęca się wpływowi działań zbrojnych na szeroko rozumianą przyrodę, zwłaszcza w dłuższej, powojennej już perspektywie. Mieszkańcy departamentu Pas-de-Calais we Francji – gdzie w latach 1914-1918 toczyły się ciężkie walki – po dziś dzień nie uprawiają znacznych połaci zanieczyszczonej gleby. To samo dotyczy rolniczych niegdyś terenów w pobliżu nieodległego belgijskiego Ypres. Jak szacują naukowcy, w sąsiedztwie miasta wciąż zalega 2 tys. ton miedzi. Z kolei skażenie rtęcią i chlorem nadal uniemożliwia działalność rolniczą w przygranicznych regionach Iranu, choć od zakończenia iracko-irańskiego konfliktu minęło 35 lat. Niemal ćwierć wieku od zbombardowania przez lotnictwo NATO rafinerii w serbskim Pančevie w okolicy systematycznie przybywa ponadnormatywnych zachorowań na raka.

Wojna bowiem nie jest eko. Gdy w drugim tygodniu marca 2022 r. badano jakość powietrza w Kijowie – wokół którego Rosjanie usiłowali zacisnąć pierścień oblężenia – stężenie zanieczyszczeń okazało się 27 razy wyższe od normy. Eksplozje bomb i pocisków uwalniają cząsteczki metali ciężkich (takich jak ołów, rtęć, zubożony uran), formaldehydów, podtlenku azotu, cyjanowodoru. Związki chemiczne utleniają się w powietrzu, co prowadzi do kwaśnych deszczy. Zanieczyszczenia przenoszone są przez wiatr oraz wody powierzchniowe i gruntowe, dlatego ostatecznie mogą dotrzeć dużo dalej, niż wynosi zasięg działań zbrojnych. Pod koniec zeszłego roku ukraińska Izba Obrachunkowa określiła ilość niebezpiecznych substancji wyemitowanych do atmosfery na 67 mln ton, licząc od dnia rozpoczęcia inwazji. W dwóch poprzednich latach wspomniany wskaźnik wynosił 2,2 mln ton rocznie.

Ołów określany jest mianem wysoce przenikliwego, gdyż dostaje się do organizmu także przez skórę i włosy. Długotrwałe narażenie powoduje niewydolność nerek, krótki kontakt może wywołać encefalopatię, anemię, utratę koordynacji i pamięci. Tymczasem amunicja wykonana jest głównie z ołowiu. TNT – często stosowany materiał wybuchowy – łatwo wchłania się

Materiał wybuchowy TNT łatwo wchłania się przez skórę i błony śluzowe. Działa rakotwórczo, powoduje anemię, niewydolność wątroby i zaćmę.

eprasa.pl 2f577505c6

przez skórę i błony śluzowe. Działa rakotwórczo, wywołuje anemię, niewydolność wątroby i zaćmę. Ekspozycja na heksogen prowadzi do niewydolności nerek. DNT w dużych dawkach zaburza układ sercowo-naczyniowy. Eksplozja pocisku rakietowego Grad uwalnia 500 g siarki, która w reakcji z wodą gruntową zamienia się w kwas siarkowy. Teren ostrzelany gradami jest bardziej spalony kwasem niż ogniem. Do tej pory na ukraińską ziemę spadły setki tysięcy, jeśli nie miliony takich rakiet...

Paliwo z rosyjskich rakiet, które nie doleciały do celu i spadły do Morza Kaspijskiego, spowodowało masowe wymieranie fok.

Zatrważająca statystyka

No właśnie – jaka jest skala ukraińskiego ekodramatu? Nim ją określimy, należy zauważyć, że na obszarze Ukrainy żyje ponad 70 tys. gatunków flory i fauny, co stanowi ponad 35% różnorodności biologicznej Europy. Kraj – z jego ogromnym areałem urodzajnego czarnoziemu – był do czasu inwazji jednym ze światowych liderów w produkcji i eksporcie zboża. Z kolei na wschodzie Ukrainy – w Donbasie – znajduje się strefa wysoce uprzemysłowiona. Jest tam prawie tysiąc ośrodków produkcyjnych, w tym kopalnie, rafinerie, stalownie i zakłady chemiczne. Jak szacuje Conflict and Environment Observatory (CEOBS, Obserwatorium Konfliktów i Środowiska), w regionie składowanych jest 10 mln ton toksycznych odpadów (także poflotacyjnych). Eksplozje w takim otoczeniu generują dodatkowe ryzyko zanieczyszczenia powietrza, wody i gleby. Przykładem niech będzie majowy atak na rafinerię w Lisiczańsku, który spowodował zapalenie się 50 tys. ton szlamu olejowego. Ogień objął też dwa zbiorniki z ropą naftową (po 20 tys. ton każdy) i magazyn siarki. Tylko do połowy ubiegłego roku w ukraińskich rafineriach doszło do 60 pożarów. Część była efektem nalotów, część skutkiem bezpośrednich walk.

Te ostatnie przełożyły się na zatrważającą statystykę. Sumarycznie – do końca minionego roku – 174 tys. km kw. ukraińskiej ziemi zostało „skażone" minami i niewybuchami. Z grubsza odpowiada to wielkości Kambodży i ponad połowie powierzchni Polski. Zdaniem specjalistów rozminowanie takiego obszaru to wyzwanie na lata, którego nie załatwi za ludzi natura. Samoistna degradacja amunicji – zależna m.in. od pH gleby – to proces na 100-300 lat, obejmujący zatem ileś pokoleń, a te nie mogą żyć w zagrożeniu. Tymczasem nie tylko wojenne śmieci stanowią problem. Walki z użyciem wojsk pancernych i piechoty zmechanizowanej to poza wrakami ogromna ilość spuszczonego w ziemię paliwa i smarów. Ba, sam ruch ciężkich pojazdów uszkadza czarnoziem, powodując jego zbrylanie i sklejanie. Hałas odstrasza drobne zwierzęta, np. dżdżownice, odpowiedzialne za mieszanie i napowietrzanie gleby, zerwana pokrywa roślinna nie chroni przed przenikaniem zanieczyszczeń. Trzeba czterech-pięciu lat, by czarnoziem odzyskał po tym wszystkim pełnię sił.

A co z przyrodą? Dotąd przez wojnę ucierpiało 3 mln ha lasów, co stanowi niemal jedną trzecią zasobów leśnych państwa. Ukraińskie parki narodowe i rezerwaty są częścią ogólnoeuropejskiej Sieci Szmaragdowej, będącej domem dla wielu zagrożonych gatunków. W strefie wojny znalazła się ponad jedna trzecia obszarów chronionych w Ukrainie – 1,24 mln ha. W Narodowym Parku Przyrodniczym Wielka Łąka rosyjskie czołgi rozjeździły szafrany wiosenne, przez 16 lat objęte programem ochrony. Poważnie ucierpiał Park Przyrodniczy Meotyda w sąsiedztwie zamęczonego przez Rosjan Mariupola, będący siedliskiem i lęgowiskiem m.in. pelikana dalmatyńczyka i mewy orlicy.

Wojna przetrzebiła też pogłowie zwierząt hodowlanych. Padła jedna czwarta z ponad 3,5 mln sztuk bydła i 5,7 mln sztuk trzody chlewnej. Część kotów, psów i innych zwierzaków domowych została ewakuowana wraz z właścicielami, ale większość pozostała w strefie wojny. Te straty są niepoliczalne. Straty w środowisku naturalnym, które udało się wyliczyć, Izba Obrachunkowa oceniła na 1,35 bln hrywien (162 mld zł). Zastrzegając jednocześnie, że są to wstępne dane (na koniec listopada ub.r.). Oszacowanie całkowitych szkód ekologicznych wyrządzonych Ukrainie będzie możliwe dopiero wtedy, gdy skończy się wojna. A proces odradzania się przyrody potrwa co najmniej 15 lat.

Eksplozja pocisku rakietowego Grad uwalnia 500 g siarki, która w reakcji z wodą gruntową zamienia się w kwas siarkowy.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2f577505c6

Zimowe lęgi

Ptaki muszą wycelować z kluciem w bardzo konkretny moment – kiedy mają największą obfitość pokarmu dla siebie

Konrad Malec

Tydzień przed publikacją tego artykułu, przy porannym karmieniu ptaków, spotkałem kowaliki. Swoje charakterystyczne łit, łit, łit wyśpiewują już prawie od miesiąca. Po wzajemnej gonitwie odwiedziły dziuplę. Jaj z tego nie będzie, w każdym razie nie w tej dziupli, bo ona należy do szpaków, które eksmitują mniejszych lokatorów, nim te zamurują wejście. To coroczny spektakl, oba gatunki przystępują do lęgów w podobnym czasie, czyli wiosną. Ale już teraz trwają umizgi. Gdy słońce mocniej świeci, śpiewają również inne ptaki, najczęściej sikory. Od dwóch-trzech tygodni także dzięcioły czarne dają o sobie znać, intensywnie bębniąc. Dzięcioł duży gra zaś na uschniętej olsze. Ale i one z właściwymi godami jeszcze się wstrzymają. Takie wczesne zaloty dają czas pannom na wydaniu, bo to one wybierają partnerów, czyli najlepszego ojca dla swoich jaj. Chłopak, który przy minus 10 st. C potrafi pięknie i donośnie zaśpiewać, to obiecujący materiał na tatę. Ale dziś o twardzielach, którzy w zimowej aurze siadają na jajach.

Kruk krukowi

Moi ulubieńcy, kruki, już wykonują podniebne akrobacje, godne najlepszego air show. W ich trakcie ptaki kręcą beczki, latają do góry podwoziem, wspólnie wzlatują i pikują. Ktoś powie, że takie rzeczy widywał też o innych porach roku. Sama prawda, kruki to wyjątkowo inteligentne bestie, stąd skłonność do zabawy, podobnie jak u ludzi. Krucze swawole są wyjątkowo demokratyczne, uczestniczą w nich ptaki bez względu na wiek i płeć, a rozrywka nie ogranicza się do współmałżonków. Niemniej jednak igraszki te są elementem toków, więc zimą wyjątkowo często możemy je obserwować u sparowanych ptaków. Kruki i tym nas przypominają, lubimy taniec, pląsamy przy różnych okazjach, niekoniecznie z partnerem czy małżonką. Ale patrząc na parkiet, bez problemu wskażemy, która z tańczących par stanowi tandem i poza nim. U kruków jest to o tyle łatwe, że są terytorialne. Jeśli jakaś para zajmuje dane miejsce i widzimy ją podczas akrobacji, najpewniej to małżonkowie, chociaż czasem również ptaki zaprzyjaźnione, z sąsiedniego terytorium. Albo takie, które nie mają własnego rewiru, ale wówczas zwykle jest to większa gromada. Najciekawsze pokazy lotnicze obserwowałem właśnie w wykonaniu takiej kruczej bandy (wyrostki działają trochę jak młodociany gang uliczny), lecz zawsze szybciej bije mi serce, gdy widzę znajome ptaki.

Moi kruczy sąsiedzi gniazdują za rzeką, w tym roku nie zaszczycili mnie pokazami, czego nie mogę im darować. Od kilku dni widuję tylko jednego ptaka, to znaczy, że drugi siedzi na jajach. Wcześnie, nawet jak na kruki, więc nie mogę wykluczyć, że ten drugi nie żyje, ale jakoś nie wydaje mi się. Kruki składają jaja zwykle pod koniec lutego, ale klimat wariuje,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2f577505c6

może przesuwają kalendarz lęgów, tak jak inne gatunki? U dużych ptaków zmiany zwykle zachodzą wolniej, zresztą mimo wcześniejszych godów mniejsze gatunki i tak nie nadążają za owadami, te z kolei ledwo gonią coraz wcześniejszą wiosnę.

W pierwszej chwili może nam się wydawać, że coś z krukami jest nie tak – nie lepiej z jajami zaczekać, aż zrobi się ciepło? My zimą raczej nie umizgujemy się do wybranej osoby pod gołym niebem, ale to typowo ludzki punkt widzenia, który często przenosimy na inne zwierzęta. Ptaki muszą wycelować z kluciem w bardzo konkretny moment – kiedy mają największą obfitość pokarmu dla siebie. Wszak każdy rodzic wie, ile energii kosztuje wychowanie potomstwa, karmienie wiecznie głodnych szkrabów w gniazdowych pieleszach. Pisklęta wykluwają się po trzech tygodniach inkubacji, na przedwiośnie. To dla zwierząt najtrudniejszy czas – kończą się zasoby, do których miały dostęp przez zimę, a wegetacja dopiero rusza, przez co roślinożercy są osłabieni. Mniejsze drapieżniki, takie jak lisy, również, w końcu zimą gryzonie przeważnie się nie rozmnażają i są przetrzebione. Dzięki temu pojawia się sporo padliny, wymarzona chwila dla smakoszy truchła. Jednocześnie mięso zapewnia więcej energii niż pozostałe pokarmy kruków, bo te ptaki są wszystkożerne, tak jak my.

Już słyszę głosy oburzenia, że człowiek nie jest padlinożercą, choć to nieprawda. W ewolucyjnej przeszłości, nim nauczyliśmy się polować, często jadaliśmy padlinę. Niektórzy nawet wskazują, że nasza padlinożerność przyczyniła się do ukształtowania nas jako dwunogów – by lepiej dostrzec pokarm, nasi przodkowie mieli stawać na zadnich łapach. Gwoli jasności, nie do końca wiemy, jak uzyskaliśmy postawę wyprostowaną, a wspomniana hipoteza jest co najwyżej uzupełnieniem innych czynników ewolucyjnych. Kończąc zaś wątek padlinożerności, większość z nas je mięso od dawna martwe – niewielu samodzielnie zabiło zwierzę, a potem je oporządziło i zjadło. Obecnie możemy je mieć w świeżej postaci dzięki lodówkom i zamrażarkom, ale jeszcze niedawno nasi przodkowie jadali znacznie mniej świeżo, stąd w kuchni staropolskiej obecność intensywnych, słodko-kwaśnych sosów, w dużej ilości. Dziś żołądki niewielu z nas podołałyby prawdziwie staropolskiej kuchni.

Nie taki jastrząb straszny

Podobnie rzecz się ma z jastrzębiami, które także już tokują. Jaja złożą na koniec kalendarzowej zimy. Tu też widać zależność między czasem przyjścia na świat młodych a pojawieniem się pokarmu. Maluchy w gnieździe klują się od drugiej dekady kwietnia, a więc gdy pojawiają się podloty średniej wielkości ptaków, będących podstawą pokarmu jastrzębi. Wiedzą o tym doskonale hodowcy gołębi, często niszczący ich lęgi. Ba! Gołębiarze polują na jastrzębie cały rok, nieraz bardzo brutalnymi metodami. Do najokropniejszych należą sidła ucinające ptakom nogi. Taki jastrząb jest skazany na powolną śmierć z głodu, o ile inny drapieżnik nie zakończy wcześniej jego żywota. By było jeszcze straszniej, napiszę, że miłośnicy gołębi (skądinąd sam do nich się zaliczam i marzy mi się mały gołębnik na podwórku, nawet jeśli najwięcej pożytku z gołębi miałyby drapieżniki, wszak las to nie najlepsze miejsce dla podopiecznych człowieka) zwykle nie znają ptaków drapieżnych i zamiast skrytych jastrzębi zabijają inne ptaki, najczęściej myszołowy. Wszystkim zwolennikom takiego załatwiania spraw przypominam, że jastrzębie są pod ochroną, a ich zabicie jest przestępstwem, za które można trafić do więzienia; w przypadku stosowania metod brutalnych można dostać dodatkowe kilka lat z ustawy o ochronie zwierząt.

Skoro już jesteśmy przy jednym z moich ulubionych drapoli, chcę obalić dotyczący go mit. Przez wieki jastrzębie były uważane za krwiożerczych zbrodniarzy, zabijających wszystko, co tylko dojrzą. To jedna z większych bzdur, jakie ludzkość wymyśliła, przenosząc zapewne własne cechy na te piękne ptaki. Jastrzębie nigdy nie zabijają więcej, niż potrzebują do przeżycia i wykarmienia młodych, jeśli nie z powodów charakterologicznych, to ze zwykłej racjonalności. Lot jest bardzo energochłonny, polowanie ponad miarę byłoby marnotrawstwem cennych zasobów. Wbrew pozorom w kontakcie z ludźmi niezagrożone drapieżniki są znacznie łagodniejsze niż duzi roślinożercy.

Owo wyobrażenie o krwiożerczości przeniesiono na życie rodzinne jastrzębi, gdzie rodzeństwo miało się nawzajem mordować. Cóż, u wielu ptaków drapieżnych, np. szanowanych orłów, starsze rodzeństwo często zabija młodsze (zwykle z powodu niewystarczających zasobów pokarmowych), ale nie u jastrzębi. Samica jest bardzo troskliwą mamą, po równo dzieli zdobycz między pisklęta, a samo rodzeństwo nie wszczyna krwawych bójek w gnieździe, jak to było np. z potomstwem legendarnego Kraka na Wawelu, o Kainie i Ablu nie wspominając.

Kruki są terytorialne. Jeśli jakaś para zajmuje dane miejsce i widzimy ją podczas akrobacji, najpewniej to małżonkowie.

Innymi moimi zimowymi ulubieńcami są puszczyki, nasze najliczniejsze sowy. Słyszę je przez cały rok, ale właśnie zimą najintensywniej pohukują. Niemal zawsze, gdy nocą prezentuję komuś głos puszczyka, widzę mieszankę fascynacji i lęku. Pewnie ma to związek z ponurą reputacją sów, które bywają utożsamiane ze śmiercią, demonami i wszelkimi siłami nieczystymi.

W tradycji ludowej czarnym ludem są pójdźki, których przeciągłe wołania interpretowano jako „póóójdź", do czego dodawano: „w dołek, pod kościołek". Ów motyw wykorzystał radziecki noblista Michaił Szołochow w „Cichym Donie", gdzie pójdźka przepowiedziała Kozakom nadejście I wojny światowej i rewolucji, w wyniku których zginęli niemal wszyscy bohaterowie książki. Drugim czarnym charakterem była płomykówka, której charczące, ochrypłe skrzeki

eprasa.pl 2f577505c6

brzmią tak uroczo, że dały początek słowiańskim strzygom. Na tym tle pohukiwanie puszczyka jest nader przyjemne, w każdym razie bardzo je lubię. Dlatego nie mogę się nadziwić, że mając tyle strasznych głosów nocnych ptaków, właśnie śpiew puszczyka najczęściej wykorzystują twórcy horrorów. Przyjemnym głosom samca niejednokrotnie towarzyszy wysokie ni to pogwizdywanie, ni to popiskiwanie samicy. W ten sposób daje ona znać, gdzie małżonek ma dostarczyć paszę. Albo go pogania, bo zgłodniała.

Takie głosy słychać już od grudnia, dziewczyny w ten sposób testują kandydata na męża albo przypominają mu o powinnościach, wszak to ona będzie wysiadywała jaja, a w pierwszych dniach nie opuści potomstwa w innej sprawie niż potrzeby fizjologiczne i odbiór pokarmu od ojczulka jej pociech, który w całości bierze na siebie aprowizację. Te same głosy usłyszymy później, często po kilka naraz, z różnych kierunków. To maluchy, które opuściły gniazdo, dają znać rodzicom, gdzie dostarczyć śniadanko. Albo kolację, bo chyba trudno mówić o śniadaniu po zmroku?

Jastrzębie nigdy nie zabijają więcej, niż potrzebują do przeżycia i wykarmienia młodych.

Znacie mszarniaka?

Puszczyki nie są jedynymi sowami, które przystępują do lęgów zimą, podobnie zachowuje się bardzo rzadki puszczyk uralski, w slangu ornitologicznym zwany uralem, i mszarny, zwany mszarniakiem. Ten ostatni chyba wyczuł konflikt za naszą wschodnią granicą i nim Moskale zajęli Krym, osiedlił się na naszych obecnych kresach wschodnich, ale niezbyt licznie, mamy go ledwie kilka par. O urala ledwie się otarłem, tzn. bywałem w miejscach, gdzie mieszka, ale spotkać nam się nie udało. Mszarniak to raczej kwestia marzeń, choć to najpiękniejsza polska sowa. No i wreszcie on, puchacz! Też marzenie, bo nie miałem okazji widzieć go na wolności, jedynie w zoo, gdzie odpracowywałem wojsko. To wspaniała, majestatyczna sowa. Zwykle ludzie spodziewają się czegoś dużo większego, ale kto spotkał inne sowy, wie, że to olbrzym. Nie byłem świadkiem reakcji na jego głos, ale Jan Sokołowski, najpiękniej piszący o ptakach ornitolog, utrzymywał, że „na ludzką fantazję działa niezwykle silnie". Warto puścić go sobie w domowym zaciszu, po ciemku, ale nie róbmy tego w lesie, zwłaszcza takim, w którym występują puchacze. To odciąga ptaka od gniazda, co naraża jaja lub pisklęta, a do tego dorosły puchacz niepotrzebnie zużywa energię, potrzebną do wychowania potomstwa. Nadmienię, że wabienie puchaczy jest nielegalne i może przykro się skończyć, podobnie jak przebywanie w pobliżu gniazda, wokół którego wyznacza się specjalne strefy ochronne. Ochrona strefowa dotyczy najrzadszych i najbardziej wrażliwych zwierząt, roślin i porostów. W tym roku obchodzimy jej 40-lecie, ale więcej o tym napiszę niebawem.

Opisane tu dotychczas gatunki są stosunkowo duże, niektóre wręcz największe w swojej rodzinie – kruk jest największym ptakiem wróblowym, puchacz największą sową, a i pozostałe do ułomków nie należą. Ostatni bohater wyłamuje się z tego schematu, rozmiarem niewiele przewyższa wróbla. To krzyżodziób świerkowy. Jego imię, dawniej brzmiące krzywonos, nawiązuje do tego, że żuchwa krzyżuje się z górną szczęką. Według ludowych legend ptak chciał uwolnić przybitego do krzyża Chrystusa i usiłował wyrwać gwoździe z jego dłoni. Niestety, Rzymianie znali się na robocie i jedyne, co uzyskał, to pokrzywiony dziób. Coś chyba jest na rzeczy, bo pisklęta wykluwają się z prostym dziobem, zakrzywia im się, dopiero gdy dorastają. W rzeczywistości to niezwykle zmyślny wynalazek ewolucji, ptak wsuwa dziób między łuski świerkowej szyszki. Nie tylko dziób jest asymetryczny, również czaszka i mięśnie, przez co krzyżodziób jest w stanie przesunąć żuchwę w bok, podważając tym łuskę, i jednocześnie językiem podbić nasionko, by je zjeść. Aby zdobyć szyszki, krzyżodzioby chodzą po gałęziach, pomagając sobie dziobem, jak papugi. Do tych zamorskich ptaków upodabniają je też barwne pióra, czerwone u samców i żółtozielone u samic.

Dieta krzyżodziobów składa się niemal wyłącznie z nasion drzew iglastych, a te przesiąknięte są żywicą. Z czasem całe ciało ptaka staje się tak żywiczne, że po śmierci ulega on mumifikacji i jego rozkład trwa kilka lat. Rzecz jasna i tu przyczyną zimowych lęgów jest pokarm, świerki najwięcej nasion produkują w grudniu i styczniu, ale ich obfitość zdarza się o każdej porze roku, więc termin godów tych ptaków jest bardzo zmienny, choć najczęściej pisklęta pojawiają się zimą. By jaja nie zmarzły, krzyżodzioby budują bardzo głębokie gniazda, o grubych ścianach, wysłane solidną porcją mchów, porostów i igliwia. Kiedy wykluwają się pisklęta, samica niekiedy zostawia je na bardzo długi czas same, bez szwanku dla młodych, co dobrze świadczy o ich odporności na mróz. Zwykle ptaki tej wielkości muszą często i dużo jeść, tymczasem wysiadujące samice przez wiele godzin nie ruszają się z gniazda. Dzieje się tak za sprawą nasion, które z jednej strony są ciężkostrawne, z drugiej to pokarm wysokoenergetyczny, toteż samica może sobie pozwolić na długie… Miałem napisać lenistwo, ale żona na wspomnienie ciążowego lenistwa mogłaby mi zapewnić dłuższy pobyt w łożu, niekoniecznie domowym. Przyjmijmy zatem, że mogą sobie pozwolić na długie wysiadywanie.

Wprawdzie krzyżodzioby świerkowe nie są uznawane za gatunek zagrożony, ale na skutek zmian klimatu świerki ustępują z Polski. Mamy powody obawiać się, że wkrótce stracimy te ptaki. Ich krewniacy, krzyżodzioby sosnowe, wraz ze zmianami klimatu – i prawdopodobnie z intensyfikacją leśnictwa – wycofują się z południowej części zasięgu. Dawniej niekiedy gniazdowały również w Polsce, ale od lat 60. spotykane są tylko od czasu do czasu, a najbliższe tereny lęgowe znajdują się kilkaset kilometrów od naszej granicy.

Konrad Malec

eprasa.pl 2f577505c6

Agata Romaniuk

Powrót Hani

Tadeusz nie mówi od 25 lat. Przestał mówić po śmierci żony Hanny w 1993 r. Miała wtedy 42 lata, on 51

Do ojca dzwoni się codziennie. Każdego dnia punkt jedenasta, nie później, nie wcześniej. Dzwoni się tak: trzy dzwonki, cztery, pięć, czeka się. Kiedy słychać trzask słuchawki, już można odkładać – wiadomo, że podniósł. Czasem się jednak czeka jeszcze chwilę, dwie. Słucha oddechu. Czasem się mówi: „Niech ojciec kichnie".

Z tą jedenastą to jest ważne. Bo kiedy pora była przypadkowa, to zaraz stres. Nie odbiera, bo albo jest na poczcie, albo leży martwy w łazience. Nie odbiera, bo albo poszedł po gazetę, albo miał udar. A tak ustalone – dzwoni się, żeby sobie pomilczeć.

Mariusz dzwoni w tygodniu, Mira w weekendy. Jedenasta obowiązuje od sześciu lat. W tym czasie Mariusz spóźnił się tylko dwa razy, Mira nie spóźniła się nigdy. Ona dzwoni z wybiciem pełnej godziny. Nienawidzi jedenastej. Nienawidzi weekendów. Nienawidzi też milczenia ojca.

Ojciec Miry i Mariusza, Tadeusz, emerytowany księgowy, nie mówi od 25 lat. Przestał mówić po śmierci żony Hanny w 1993 r. Miała wtedy 42 lata, on 51, Mariusz 13, a Mira 21. Ta arytmetyka jest ważna. Minęło ćwierć wieku, to prawie dwa razy tyle lat, ile miał Mariusz, kiedy ojciec zamilkł. I tyle, ile trwało małżeństwo Tadeusza i Hanny.

Nikt nie pamięta dobrze, jak to było z tym jego milczeniem. Czy w pierwszych dniach po śmierci żony jeszcze coś mówił? Chyba nie, ale kto wie, może. Jakie było jego ostatnie zdanie, o czym, do kogo – nikt nie pamięta. Żona zmarła pod koniec lutego, a na Wielkanoc na pewno nie mówił już wcale. Wiadomo, bo siostra ojca robiła sceny: „Tadziu, co ty wyrabiasz. Dla dzieci się zmiłuj, przecież to wariactwo". Załamywała ręce, ale on nic nie powiedział.

Na początku ludzie pytali, próbowali zagadać, zawołać znienacka. Teraz już nie. Obcy może się dziwią, ale nie ma wielu obcych w życiu Tadeusza. Można tak wszystko zorganizować, żeby się w ogóle nie odzywać.

Idziemy na spacer i na zakupy. Bankomat nie zadaje pytań. W Żabce samoobsługa. Na poczcie dobrze go znają.

– Z awizem pan dzisiaj? No, to już szybko daję. A widzę, że z panienką pan przyszedł, nowość, nowość. Pan mi się nie rumieni, panie Tadeuszu, pan podpisze – mówi pani w okienku i zwraca się do mnie. – Żeby każdy klient był taki grzeczny, Boziu kochana, żeby każdy.

W przychodni zdrowia też się przyzwyczaili. W rejestracji pielęgniarka bierze od Tadeusza kartkę z nazwiskiem lekarza i sprawdza godzinę wizyty w komputerze. Na bazarze wiele załatwi sam uśmiech. Tadeusz wszędzie chodzi sam i radzi sobie. Nikogo nie kłopocze, nikogo nie zaczepia.

•

Tadeusz i Hanna poznali się na balu maturalnym. Tadeusz był starszy, ale dorabiał jako didżej. Panienka z dobrego francuskojęzycznego liceum Żmichowskiej i student zaoczny.

Szybki ślub. Czy to była wielka miłość? Czy to była idealna para?

Dozorczyni: – On zawsze z kubełkiem biegał i mówił jej „śmieci ci wyniosłem", jak z biura szła i się akurat spotkali. A to było, jeszcze zanim mężczyźni byli przyuczeni do życia, do dzieci, śmieci, do wszystkiego.

Sąsiadka z parteru: – Chodzili pod rękę, ona była ciut wyższa, nigdy nie czesała się w wysoki kok. Chował papierosy, żeby mniej paliła. Ale jak chorowała, to już nie, nie zabierał. Sadzał ją na balkonie, trzymał jej papierosa w ustach i czytał na głos „Kobietę i Życie".

Siostra Tadeusza: – Jaka tam idealna. Darli koty. O działkę, jak przywoził te wszystkie cukinie i patisony. Pani wie, co to jest powekować 7 kilo minipatisonów? Ona była tym umęczona. Tam były dantejskie sceny o te słoje.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2f577505c6

Mira: – Kochali się jak to w PRL, jak z pocztówki dźwiękowej. Mama kręciła wałki, ojciec leciał z koniaczkiem, z goździkiem, tańczyli, normalnie.

Mariusz: – Nie wiem, nie pamiętam. Widziałem raz, jak stał w przedpokoju i głaskał kołnierz jej płaszcza, taki rudy, z nutrii. Głaskał i płakał.

Na zdjęciach Tadeusz i żona zawsze są razem. Na schodach sanatorium w Krynicy-Zdroju, zima 1972: ona w męskim palcie, on z papierosem, nonszalancki. Krutynia, 1976, przy kajaku: ona siedzi jak pańcia, on leży na trawie. Bukareszt, 1986, na lodach: on szepcze jej coś do ucha. I wreszcie ślubne: on chudy, ona w klipsach wielkich jak planety. Stos albumów w skajowych okładkach leży na półce koło tapczanu Tadeusza. Obok szklana kasetka, w niej biżuteria żony: sznur bursztynów, miedziany wisior, obrączka, i te klipsy ze zdjęcia.

Jakie było jego ostatnie zdanie, o czym, do kogo – nikt nie pamięta.

Mira nie ma żadnych rzeczy po matce, biżuterii, niczego. Nie chciała. Jest inna niż matka, nie odziedziczyła po niej urody. Niska, sucha, mówi i pali na przemian. Wyrzuca z siebie potoki słów, śmieje się gardłowo, obgryzając turkusowe paznokcie. – Ja muszę to wszystko zagadać, pani rozumie, jego zagadać, tę ciszę zagadać. Jak jestem u niego, to gadam non stop.

„Teraz Mircia wstawi herbatkę, o, już się parzy ładnie. To teraz wypakujemy zakupy: kefirki dwa, metka, twaróg, trzy grahamki. Mira teraz schowa wszystko, zapali sobie spokojnie, usiądziemy, tak?" I tak bez przerwy. Bo ja się boję tego jego milczenia, po tylu latach się boję. Więc gadam. I czasem on tylko kładzie mi rękę na ramieniu, jakby mówił: „Już dobrze, cicho już, Mircia" i wtedy sobie siadamy, z kawą i gazetą. Kilka razy była nadzieja. Jak Mira wychodziła za mąż, jak się rozwodziła, jak Mariusz zdał maturę, jak obronił dyplom. Jak urodziła mu się córka. Ale nie. Ojciec słowa nie powiedział. Mira ma mu to za złe, ale też nie może znieść, jak ludzie się czepiają. Jak ta sąsiadka z pierwszej klatki, która ostentacyjnie przeciąga słowa i mówi głośno, wolno i wyraźnie: „Panie Tadeuszu, dzień dobry". Ojciec może nie mówi, ale nie jest głuchy.

•

– Nie, nigdy mi nie brakowało męskich rozmów. Ojciec nie mówi i już. Jemu się najważniejsza rozmowa w życiu urwała, nie ma już nikogo, komu chciałby coś powiedzieć. Mnie to nie boli. Może ojciec milczy, ale potrafi słuchać – tłumaczy syn Tadeusza.

Mariusz lubi konkret i kolor. Mimo chłodu siedzi w żółtym podkoszulku i sztruksach podciągniętych niemalże pod pachy. Jest inżynierem w elektrociepłowni, lubi swoją pracę. Nie roztkliwia się łatwo.

– Było normalnie. Przez sześć lat ojciec chodził na wszystkie zebrania. I żaden nauczyciel nigdy się nie zorientował, że on nie mówi. Ja się starałem żadnych powodów do gadania nie dać.

Mariusz nie lubi tracić czasu, rozmawiając ze mną czyści filtr do okapu. Ojciec go wszystkiego nauczył – jak zmienić koło, uszczelkę w pralce, wymienić fugi na nowe, kaloryfery odpowietrzyć. Ojciec robił, pokazywał, Mariusz patrzył i uczył się. Teraz lubią sobie tak po prostu posiedzieć.

Można tak wszystko zorganizować, żeby się w ogóle nie odzywać.

– Pani pije herbatę, bo stygnie – mówi do mnie, a potem do ojca. – Nie szkodzi, że nic nie mówisz, tatku, wszyscy teraz za dużo mówią. Świat stał się bardzo głośny, pani zauważyła może?

Wbrew pozorom cisza Tadeusza jest pełna dźwięków. Czajnik gwiżdże, gra radio, stukają szklanki ze staromodnym uszkiem. Jest trąbienie w chusteczkę, jest gardłowe „hmm" przy lekturze gazety, jest siorbanie bawarki. Są też karteczki, ołówki, krzyżówki, listy zakupów i kalendarzyk. Jest gruba teczka, a w niej papiery sądowe. Bo była sprawa w sądzie. Tadeusz pracował w spółdzielni mieszkaniowej, w księgowości. Dziwili się, kiedy przestał mówić, chcieli go wysłać na urlop zdrowotny, do sanatorium, ale nie ma takiego sanatorium, które leczy z żalu i z milczenia, więc odpuścili. Tadeusz dobrze wykonywał swoją pracę, był lubiany, w aktach nagrody i premie. Aż po siedmiu latach przyszedł nowy szef. Milczenie pracownika mu przeszkadzało. Na pożółkłej kartce czytam: „Tadeusz T. uporczywie i w sposób zawzięty milczy. Nie odpowiada na pytania zadane przez przełożonych i pracowników inaczej niż pisemnie. Jego postawa zaprzecza zasadom dobrej komunikacji biurowej i podkopuje morale innych pracowników. Wezwany do usprawiedliwienia swojego zachowania, nie odpowiada. Wobec powyższego w dniu 17 października 2000 r. udziela się nagany i nakłada karę (…)".

Najpierw poszli po premii, potem zabrali paczkę świąteczną, wreszcie przyszło wypowiedzenie. Był jakiś pretekst, ale wszyscy wiedzieli, że chodziło o milczenie. Tadeusz wypowiedzenie odebrał bez komentarza, ale poszedł do sądu pracy. Sprawa ciągnęła się trzy lata. Przesłuchano 11 świadków i dwóch biegłych psychiatrów. Zapis zeznań to setki stron słów. Tadeusz zeznawał na piśmie. Biegli orzekli, że pod względem psychicznym jest z nim wszystko w porządku i że nie mówi z wyboru. Sąd uznał, że nie ma takiego prawa, które może zmusić człowieka do mówienia, czy to w domu, czy w pracy. A jeśli wykonuje swoje obowiązki, to milczenie nie ma znaczenia. Zasądzono przywrócenie na stanowisko pracy, ale Tadeusz do spółdzielni nie wrócił. Wybrał wcześniejszą emeryturę. Poszedł tam jeszcze tylko raz – oddać brązową odznakę zasłużonego spółdzielcy. Nie chcieli wziąć, ale nie pytał, czy chcą.

•

Tadeusz rzadko prosi o pomoc. Czasem zapisuje coś na kartkach. Wiszą na lodówce. „Mariuszku, napraw kran w łazience u Miry", „Zakręć wodę na działce, mrozy idą",

eprasa.pl 2f577505c6

„Ciotka Luśka nie żyje, poślijcie wieniec". Są pożółkłe, bo ostatnimi laty coraz mniej karteczek. W tym roku jedna, dwa miesiące po narodzinach wnuczki. Urodziła się we wrześniu, dali jej Hania, po babci. Na karteczce Tadeusz napisał: „Chcę pójść z Hanią na spacer". Mariusz się zgadza, ale Anita, jego żona, protestuje: „A co, jak mała zapłacze? Jak coś się stanie? Jak ojciec się zgubi? Jak dziecko porwą? Przecież nawet nie krzyknie o pomoc, nie ma mowy".

Żona Mariusza wymawia się katarkiem, kolkami. W styczniu, kiedy mała ma cztery miesiące, Tadeusz ponawia prośbę: „Chciałbym pójść z małą na spacer w tę sobotę". Młodzi się naradzają. I ustalają warunki: tylko na pół godziny, nie dalej jak do granicy lasku, tylko po chodniku, nigdzie nie przystawać. Wyszykowali wózek, opatulili dziecko, wszystko gotowe. I jeszcze jedno, już w tajemnicy: Anita schowała do bocznej kieszonki wózka telefon komórkowy. Włączony, trwa połączenie z komórką Mariusza, żeby mogli słuchać, co się dzieje na spacerze, w razie czego biec, interweniować.

Kochali się jak to w PRL, jak z pocztówki dźwiękowej. Mama kręciła wałki, ojciec leciał z koniaczkiem, z goździkiem, tańczyli, normalnie.

Tadeusz wychodzi z wózkiem, młodzi wracają do mieszkania, nachylają się nad telefonem. Mało co słychać, trzaski tylko, stuki, stłumione dźwięki miasta. Siedzą tak dziesięć minut, piętnaście. Turkocze wózek. Aż nagle mała zaczyna płakać. Anita martwieje, Mariusz podnosi wzrok znad gazety. Mała najpierw kwili, potem zaczyna zanosić się płaczem. I wtedy słychać głos: „Ciiii… nooo… ciiii… już ciiii…". I dalej:

Już śpij, kochanie.
Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz Czego pragniesz, daj mi znać
Ja ci wszystko mogę dać.
Więc dlaczego nie chcesz spać? Aaaa aaa były sobie kotki dwa
Aaa aaaa szarobure, szarobure obydwa Więc śpij, kochanie…

Po chwili śpiew cichnie, dziecko także, znów słychać turkot wózka. Nic więcej. Tadeusz z wnuczką wracają po kilkunastu minutach, Mariusz i Anita o nic nie pytają. Następnego dnia wszystko jak dawniej: jedenasta, do pierwszego trzasku słuchawki, odłożyć.

Reportaż z książki Agaty Romaniuk *Krótko i szczęśliwie. Historie późnych miłości*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2022

eprasa.pl 2f577505c6

JOLKA

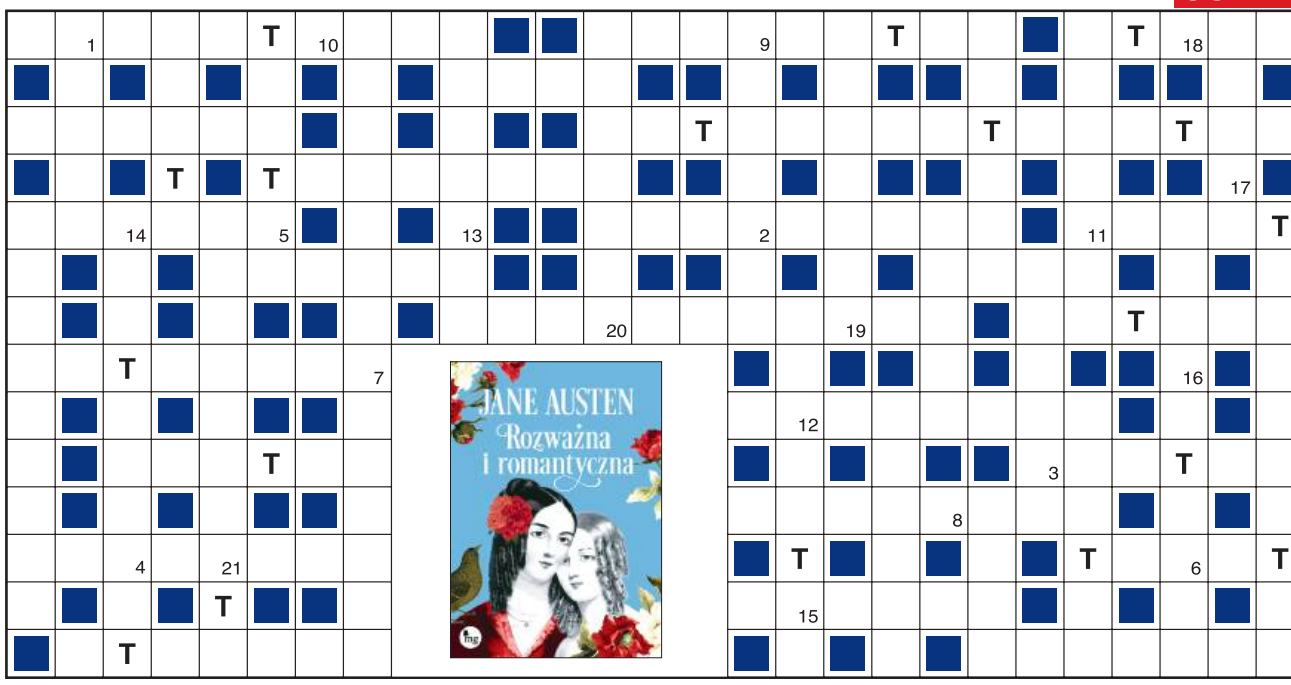

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- imię Zandberga z Lewicy Razem
- był siedzibą Agencji Afryka Mieczysława Słowikowskiego
- ma krótszy i szerszy pysk niż krokodyl
- dawny boczny pokoik sypialnia
- hodowana w Peru i Boliwii m.in. na wełnę
- dziwne upodobania ma …kwaśnych jabłek
- aktor Jakubik lub piłkarz Milik
- Nostradamus, Faust albo John Dee
- nimb, gloria wokół głowy
- dawniej pieszczoty, dziś z obiecankami
- zespół czyichś cech psychicznych
- jeszcze cztery lata, nim zagłosują
- …sitowy – serigrafia
- sami najlepsi
- jedna z elektrod w tranzystorze
- belgijskie – grubsze i smażone dwukrotnie
- błahostka, drobiazg, bzdurka
- doskonałość, najwyższy cel dążeń
- przyrząd laboratoryjny do pomiaru ciepła
- Polski… Naftowy Orlen
- o kimś bezwolnym, podatnym na manipulację
- starogrecki instrument strunowy
- farsz
- hańba, zła opinia
- wafel z masą miodowo-orzechową
- trwa papieża Franciszka
- rezerwa, np. w okazywaniu uczuć
- popełnia czyn karalny
- bardzo mały pies pokojowy
- siedziba miejskich władz
- orzeczono: stadło się rozpadło
- Lucjan, pierwowzór Pana Młodego w „Weselu”
- miasto z Muzeum Dobranocek
- komfortowy, specjalnie umeblowany wagon
- krótka broń palna potocznie
- jesień życia
- Jan, współtwórca Panoramy Racławickiej
- szybka do zegarka
- podał syna bogom na uczcie
- dawniej nazywana świekrą
- smar wprost i wspak
- roślina nazywana też tradeskancją
- kawałek tekstu, melodii
- mineralna, sodowa lub ognista
- hobby – szczególne… do czegoś
- jolka na fali

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1104”. Do rozlosowania książki „Rozważna i romantyczna” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 19 lutego 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1101” z nr. 4: *Szczery wzroku nie ukrywa.*
Nagrody otrzymują: Katarzyna Bochenek z Zabrza, Magda Małecka z Dymin-Granic, Piotr Swoboda z Adamowa-Wsi.

eprasa.pl 2f577505c6

Plan A i plan B

Wiosna (powoli) się zbliża, więc MSZ wchodzi w fazę rozważań dotyczących rotacji, kto gdzie pojedzie itd. W roku wyborczym są to bardzo ciekawe dyskusje.

Na przykład na jaką placówkę wyjedzie były dyrektor generalny Andrzej Papierz? I czy w ogóle wyjedzie? Jeżeli bowiem decyzja o wysłaniu go na ambasadora zostanie podjęta, będzie musiał przejść przez przesłuchanie w sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. A tam awanturę ma jak w banku. Dodajmy do tego jeszcze jeden element – Papierz jest wzywany na różnego rodzaju rozprawy sądowe, związane z jego działaniami w MSZ. Zeznaje w nich. I już został przez jedną z byłych pracownic ministerstwa oskarżony o składanie przed sądem fałszywych zeznań. Póki więc nie „wyprostuje" swoich spraw, trudno go promować na ambasadorskie stanowiska.

Ale przecież nie takie rzeczy w PiS widziano! Dlatego na ministerialnych korytarzach dominuje przekonanie, że jeśli decyzja o nominacji zostanie podjęta, żaden decydent awanturami nie będzie się zbytnio przejmował.

OK – dokąd zatem Papierz mógłby zostać wysłany? Przeważa opinia, że będzie to Czarnogóra. Placówka trochę na boku, ale mająca wiele walorów turystycznych, gwarantująca sporo oddechu. Obecnie ambasadorem w Podgoricy jest Artur Dmochowski, który wyjechał tam w roku 2018, więc czteroletni okres rotacji już mu się skończył. I mógłby wracać do Warszawy. Kłopot w tym, że nie za bardzo wiadomo, jak go odwołać. Dmochowski to zasłużony bojownik prawej strony. Był działaczem NZS, a potem m.in. dziennikarzem „Gazety Polskiej", prezesem Polskiej Agencji Prasowej (już za PiS), a także autorem różnych demaskatorskich pozycji, np. książki „Kościół »Wyborczej«. Największa operacja resortowych dzieci". Więcej już chyba pisać nie trzeba. Co najwyżej tyle, że w jej zapowiedziach mogliśmy przeczytać: „Artur Dmochowski szuka odpowiedzi m.in. na pytania: Co łączy Adama Michnika z Jerzym Urbanem? Który z nich jest skuteczniejszy i dlaczego? Jakich metod używają przeciwnicy Kościoła w mediach? Jakie jest drugie dno głośnych afer pedofilskich i finansowych?".

Ale Dmochowski ma też pewną skazę – był rzecznikiem MSZ w czasach Waszczykowskiego i jest z nim łączony. Oto ciekawa rozgrywka: czy człowiek Waszczykowskiego i „Gazety Polskiej" obroni się przed naciskiem człowieka Mariusza Kamińskiego.

W MSZ mówi się również o planie B, gdyby Papierzowi z Czarnogórą nie wyszło. Czyli o Kazachstanie. Tam ambasadorem jest Selim Chazbijewicz, profesor politologii, autor poematów, który wielkiego umocowania w PiS nie ma. Ani w MSZ. Poza tym jest już w Astanie od 2017 r., czyli szósty rok, no i wszedł w wiek emerytalny. Nie sposób go zatem obronić.

Papierz, dodajmy, był na placówce w Kazachstanie, jako konsul, zna ten kraj i dobrze się w nim czuje. Owszem, był autorem pewnego skandalu, który za nim się ciągnie, ale… Jeśli chodzi o ambasadę w Astanie, większy kłopot Papierza polega na tym, że jest wola wysłania do Kazachstanu kogoś poważniejszego, większy rozmiar kapelusza, bo i pozycja tego państwa gwałtownie się zmienia. Stąd ten pat… Ale to nie nasz problem.

Attaché

Kim Dzong Un z żoną i córką na obchodach 75. rocznicy powstania Koreańskiej Armii Ludowej. Pjongjang, 8 lutego 2023 r.

FOT. AFP PHOTO/KCNA VIA KNS/EAST NEWS

eprasa.pl 2f577505c6

PENETRACJE

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

O rozrodczości Polek najchętniej rozprawiają duchowni katoliccy i prawicowi politycy, często starzy, bezdzietni kawalerowie. Ideolodzy. Ostatnio przemyśleniami nad spadkiem dzietności podzielił się ze słuchaczami Radia Maryja nieznany bliżej ks. prof. Krzysztof Bielawny z Elbląga. Wybitny teolog. Może i najwybitniejszy w tamtejszym powiecie. – Kto dzisiaj mówi, że kobieta jest w stanie błogosławionym? Nikt. Kobieta jest w ciąży. A coś, co mi ciąży, to trzeba się tego pozbyć, tego ciężaru. To jest gra słów, pojęć, które zostały nam w jakiś sposób zaaplikowane, i to przyjęliśmy. Stan błogosławiony to jest stan boży, a dzisiaj stanu bożego nikt nie chce – prawił głośno, głupio i od serca, lokując Radio Maryja w umysłowym nurcie Radia Erewań.

RAFAŁ WOŚ,
PUBLICYSTA

W zachodniej ekonomicznej blogosferze zaroiło się teraz od prac pod hasłem „Co po wojnie?”. Jeśli donatorzy podejmą próbę meblowania Ukraińcom kraju wedle wyłącznie swoich wyobrażeń, to ja widzę tu potencjał raczej wybuchowy. Nie wydaje mi się dobrym pomysłem zaczynanie rozmowy o odbudowie tego kraju od czynienia założeń, że jego mieszkańcy to banda skorumpowanych złodziei niezdolnych do zrozumienia tak trudnych pojęć, jak rządy prawa albo demokracja liberalna.

PRZEMYSŁAW PREKIEL,
PUBLICYSTA

Spór o polskość zapoczątkowany tuż po odzyskaniu niepodległości trwa nadal. Wówczas jego endecka wersja była niezwykle hermetyczna, antysemicka, a wzorem prawdziwego Polaka był oczywiście ten głosujący na endecję katolik. Niewiele się dziś zmieniło. Nacjonalistyczna heca okazała się iskrą, która doprowadziła do wielkiej tragedii. Mimo wszystko endecji nie udało się narzucić swojego modelu patriotyzmu i wizji budowy narodu, choć jej jad przetrwał i zatruwa życie publiczne do dziś. To nie trumny Piłsudskiego i Dmowskiego nami rządzą, to trumna Narutowicza nam ciąży.

ANNA ROMANTOWSKA,
AKTORKA

Starość to wolność. Młody człowiek bywa przewrażliwiony na swoim punkcie, zabiega o akceptację, uwagę. Starość uwalnia od pogoni za sukcesem, od lęku „co o nas powiedzą”. Wiem, że nawet gdybym zagrała wybitnie jakąś rolę, to i tak w moim wieku nie przełoży się to na kolejne.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, POLSKA ORKA POLITYCZNA

eprasa.pl 2f577505c6

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter

1. TOP + SĘP =
2. ELF + DNI =

Wyrazy z **siedmiu** liter

3. ZBÓJ + REP =
4. ŁĄKA + GAZ =

Wyrazy z **ośmiu** liter

5. SOJA + FRYC =
6. WARI + KUMA =

ROZWIĄZANIA: POSTĘP, DELFIN, PRZEBÓJ, GAŁĄZKA, FORSYCJA, AKWARIUM

Aby język giętki…

ANDRZEJ SKWORZ O MARIUSZU GIERSZEWSKIM

Dziennikarz Radia Zet samotnie ratował honor polskich dziennikarzy, bo rozumiał, że ustalanie z władzą oficjalnego przekazu nie jest rolą dziennikarza.

KRZYSZTOF VARGA O STAROŚCI

Umrzeć młodo to żaden wyczyn, dotrwać do starości i wciąż być młodym – oto wyzwanie.

KUBA SIENKIEWICZ O ATEIZMIE

To nie jest wielka ekstrawagancja ani wyczyn. Młodzież nie czuje już presji pozostawania w katolickiej obrzędowości.

TOMASZ KOT O BOYU-ŻELEŃSKIM

Dzisiaj też by nie oszczędzał zarówno rządzących i Kościoła, jak i tych, którzy trwonią potencjał Strajku Kobiet.

ANDRZEJ SEWERYN O KŁAMSTWACH

Człowiek w życiu kłamie wiele razy, czasami dla dobra osoby, z którą się rozmawia, a czasem ze złych instynktów.

RAFAŁ BLECHACZ O CHOPINIE

Odkryć na nowo Chopina… Każdy pianista w jakimś sensie to robi.

NATALIA RYBICKA O MICHALE SOBOCIŃSKIM

To niepoprawny marzyciel, uwielbiam tę cechę. Mam dla niego dużo tolerancji i cierpliwości.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 2f577505c6

Sztuka Fantastyczna
w Warszawie

„Sztuka Fantastyczna w Warszawie" jest drugą edycją entuzjastycznie przyjętej wystawy mistrzów surrealizmu i sztuki fantastycznej, którą latem zeszłego roku odwiedziło kilkadziesiąt tysięcy osób. Podziwiać można dzieła m.in. Zdzisława Beksińskiego, Jerzego Dudy-Gracza, Wiesława Wałkuskiego, Dariusza Zawadzkiego, Jacka Szynkarczuka, Maksymiliana Novaka-Zemplińskiego czy Andrzeja Olczyka. Olbrzymia większość prac prezentowana jest po raz pierwszy.

Zdzisław Beksiński, CŃ, 2003

Jacek Szynkarczuk, Melancholia II, 2022

Muzeum Sztuki Fantastycznej
Warszawa, ul. Ząbkowska 31
do 28 maja

Jacek Szynkarczuk, Poszukiwania nieodkrytych katedr, 2022

Maksymilian Novak-Zempliński, bez tytułu, 2017

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2f577505c6

CZESKI LEW
Najlepszy aktorka, aktorka drugoplanowa, scenariusz

NAGRODY CZESKICH KRYTYKÓW FILMOWYCH
5 nominacji

NYSKI FESTIWAL FILMOWY
Nagroda publiczności

Przegląd filmowy KINO NA GRANICY

CINEAST
Festiwal filmowy Kina Europejskiego w Luksemburgu

Komedia dla tych, którzy tego nie doświadczyli... dramat dla tych, którzy to przeżyli...

Właściciele

reżyseria Jiří Havelka

Ponad 300 000 widzów w Czechach!

w kinach od 17 lutego

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

epiasa.pl 215775

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA NA

SPEKTAKLE IMPROWIZOWANE

Bądź częścią tej historii!

KOMEDIA ROMANTYCZNA
14 i 16 lutego

HISTORIA PEWNEGO ZESPOŁU
17 lutego
31 marca
9 czerwca

KRYMINAŁ IMPROWIZOWANY
10 i 24 marca
19 maja
26 czerwca

WILKOŁAKI
horror improwizowany
24 lutego
17 kwietnia
12 maja

IMPRO ATAK
3 marca
14 kwietnia
2 i 30 czerwca

• KUP BILET TEATR CAPITOL 2023 • www.teatrcapitol.pl

Szalona NOWOŚĆ!

Patroni Medialni: RMF MAXX, Tele Tydzień, Rzeczpospolita, ams, onet, Przegląd, Kobiety, Familie.pl

Partnerzy Teatru: Strefa Music, O bag, kicket, Aktywna Warszawa, Mza

Producent: Teatr Komedii

Partner producenta: Angora

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 2f577505c6